

44056.

1930
1936

ОСНІВ

OGNIWO

JEDNODNIÓWKA
KLASY ÓSMEJ
PAŃSTWOWEGO
GIMNAZJUM
IM IENIA
MARSZAŁKA
JÓZEFA
PIŁSUDSKIEGO
W BIAŁYMSTOKU

B I A Ł Y S T O K 1 9 3 6

WYDAWCA: KL. VIII. P. G. M. J. P. W BIAŁYMSTOKU

WYDANO CZTERYSTA

NUMEROWANYCH
EGZEMPLARZY



44056

BIBLIOTEKA WYDZIAŁU
Pedagogiki i Psychologii - Uniwersytetu w Białymstoku



FPP0015470

Nr. 128

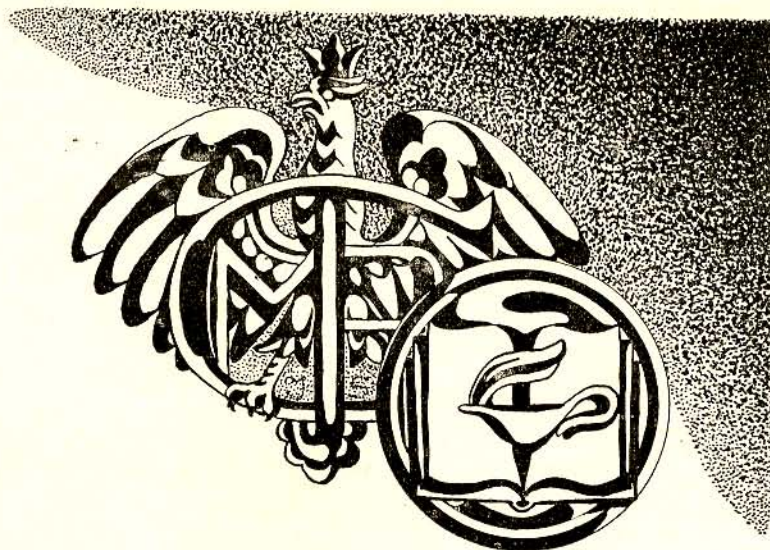
W SKŁAD KOMITETU
REDAKCYJNEGO WCHODZĄ:
OPIEKUN KLASOWY
Mgr. filozof. JAN GACIŃSKI
i UCZNIOWIE KLASY ÓSMEJ

16718

36,00

K- / 225 / 98 / BWPP

Stenoc
notepne



Wydając Jednodniówkę „Ogniwo”, pragniemy dać pełnię zadowolenia każdemu jej czytelnikowi, pragniemy, by treść, w niej zawarta, przypominała członkom „Ogniwa” duchową łączność, by tworzyła nieprzerwany łańcuch wspomnień uczniowskiego życia.

Jednodniówka ma dać obraz naszych dążeń i zamiłowań, ma przedstawić ciągłość rozwoju intelektualnego zarówno poszczególnych uczniów, jak i całej klasy na przestrzeni lat 1930 — 1936.

Jednodniówka — to bezcenna i miła pamiątka, trwały ślad, pozostawiony szkole, ślad niezatarty po tych, którzy pracą zadokumentowali swój pozytywny stosunek do szkoły i społeczeństwa.

W szlachetnem współzawodnictwie wyrobiliśmy w sobie poczucie obowiązkowości i odpowiedzialności za wykonywaną pracę, zaprawiliśmy się do przyszłego, samodzielnego życia.

Praca ta nie była łatwa. Niejedną trudność musieliśmy pokonać.

Wykorzystanie w należyty sposób materiału „Tek literackich” z lat pięciu — to nie była łatwa rzecz. Prace, z nich wybrane, mają świadczyć, czy cel swój osiągnęliśmy, czy nie. Jeżeli chodzi o inne źródła, z których czerpaliśmy odpowiednią treść do Jednodniówki, były nimi: sądy Pana Dyrektora, Pana Opiekuna klasowego i uczniów klas innych o nas. Poza tem kronika i akta szkolne dostarczyły dużo cennego materiału.

Dokonailiśmy wielkiego wysiłku!

Pozostaje nam podziękować Czcigodnemu Panu Dyrektorowi, Kochanemu Opiekunowi klasowemu i wszystkim życzliwym nam Osobom za współpracę i pomoc przy wydaniu Jednodniówki oraz P. P. Subskrybentom, a w szczególności Komitetowi Opieki Rodzicielskiej, Samopomocy Uczniów i L. O. P. P. za poparcie finansowe.

Pracowaliśmy szczerze, z oddaniem, nie szczędziliśmy trudu, a zwłaszcza wtedy, kiedy spotykaliśmy się z życzliwą radą, czy uznaniem Osób, dla których mamy tyle szczerzego uczucia.

Składamy więc Panu Dyrektorowi, Panu Opiekunowi klasowemu, P.P. Profesorom najserdeczniejsze podziękowania za opiekę i trud, położony nad wykształceniem naszych umysłów i uszlachetnieniem naszych dusz.

Wychowani na świadomych obywateli kraju, już jako ludzie dojrzały, rozchodzimy się w różne strony.

Niechże marzenia każdego spełnią się w stu procentach, niech każdy idzie przez życie odważnie, z podniesioną głową, niech codzienny trud będzie słodzony wspomnieniami tych niepowrotnych, młodzieńczych lat.

Może zjedziemy się kiedyś i przypomnimy sobie nasze wspólne radości i smutki szkolne, ale to nastąpi może za wiele lat. Więc, żegnając się po tylu latach wspólnie spędzonych, każdy z nas dostaje do rąk Jednodniówkę, by mógł w niej w każdej chwili znaleźć łączność z minioną przeszłością szkolną, by stała się ona skarbnicą wspomnień koleżeńskiego życia szkolnego.

REDAKCJA



PREZYDENT IGNACY MOŚCICKI

(DZIAŁALNOŚĆ NAUKOWA)

PROF. IGNACY MOŚCICKI
swą działalność naukową rozpoczął na obczyźnie.

Do opuszczenia kraju został zmuszony w 1892 roku wskutek represyj, jakie skierowały przeciwko Niemu władze zaborcze, zaniepokojone żywym Jego udziałem w ruchu niepodległościowym.

Pierwszym etapem dwudziestoletniego, przymusowego pobytu na obczyźnie był Londyn.

W tym czasie w Londynie właśnie zogniskowany był polski ruch emigracyjny, tu przebywała elita naszych wychodźców. W ciągu pięcioletniego pobytu w stolicy mglistego Albionu Ignacy Mościcki zmuszony był do ciężkiej pracy zarobkowej, mającej zapewnić jutro rodzinie. Wyczerpująca praca niewiele czasu pozostawia na studia naukowe. Zaledwie jedno półrocze może przeznaczyć na laboratoryjną pracę w Technical College Finsburg, a nieliczne, wolne od zajęć chwile poświęca studjom chemiczno-fizycznym w Patent-Library.

Mimo tylu absorbujących jego uwagę zajęć nie zapomina bynajmniej o obowiązkach narodowych. Bierze czynny udział w pracach i życiu organizacji polskich, działających na gruncie angielskim. Od tego też czasu datuje się nawiązanie pierwszych nici sympatii między Nim a Józefem Piłsudskim, które z biegiem czasu przekształciły się w szczerą przyjaźń.

W roku 1897 opuszcza Londyn, by osiąść w Szwajcarii. Przebywa tu do roku 1912. Przez pierwsze cztery lata pobytu we Fryburgu pełni obowiązki asystenta przy miejscowej katedrze fizyki prof. Józefa Wierusz-Kowalskiego. Jednocześnie uzupełnia swą wiedzę studjami w zakresie nauk fizyczno-matematycznych, a specjalnie w dziedzinie elektrotechniki.

Objąwszy w roku 1901 kierownictwo techniczne specjalnie utworzonej Spółki technicznej dla realizacji Jego prac doświadczalnych, bierze się z zapałem do samodzielnej i twórczej pracy. Jest to okres niezwykle bogatej w plany działalności wynalazczej. Celem zaś finansowania prac nowo-

utworzona Spółka pod nazwą Société de L'Acide Nitrique à Fribourg zbiera kapitał przeszło 90 tysięcy franków z przewagą kapitału polskiego.

W tym czasie w świecie naukowym wyłoniła się kwestja otrzymywania kwasu azotowego z powietrza, którego, jak wiemy, największym procentowo składnikiem jest azot.

Sole kwasu azotowego, t. zw. saletry, mają szerokie po dziś dzień zastosowanie w rolnictwie pod postacią nawozów sztucznych. Na schyłku ubiegłego stulecia wraz ze wzrostem produkcji rolnej wzrosło zapotrzebowanie na nawozy sztuczne, a więc między innymi i na saletrę. Podówczas największym i prawie jedynym źródłem, skąd czerpano ten rodzaj nawozu, były kopalnie soli azotowych, znajdujące się w Ameryce Południowej, w republice Chili. Lecz jednocześnie ze wzrostem zapotrzebowania na saletrę cały świat stanął w obliczu wyczerpania się pokładów tego związku. Istniały wprowadzić pewne sposoby otrzymywania saletry, lecz były zbyt kosztowne, aby można było brać je pod uwagę.

Coprawda wpływ wyładowań elektrycznych na wiązanie się azotu z tlenem znany był oddawna, bo od czasów Cavendisha i Priestley'a, wszelako dla potrzeb przemysłowych dotychczas nikt tej metody nie zastosował.

Otrzymywane ilości tlenków azotu, które w połączeniu z wodą dają kwas azotowy, były zbyt znikome, aby można było mówić o praktycznym zastosowaniu tej metody dla celów technicznych.

Mimo to już w roku 1902 Ignacy Mościcki zaczął pracować nad wprowadzeniem tego sposobu otrzymywania kwasu azotowego do techniki. Cały szereg niezadawalających wyników nie zrażał bynajmniej Uczzonego do dalszych badań, a nawet przeciwnie, pobudzał do dalszej, niestrudzonej pracy.

W tym też czasie w pracach swych Ignacy Mościcki napotyka na nowe trudności, o które, zda się, mogą się rozbić dotychczasowe wysiłki i badania. Okazuje się bowiem, że ówczesna wiedza elektrotech-

niczna niedostatecznie była rozwinięta, aby sprostać warunkom, w których miało zachodzić wiązanie się azotu z tlenem w łuku elektrycznym. Chodziło bowiem o jednostajne działanie łuku elektrycznego pod wysokim napięciem. Tymczasem okazało się to prawie technicznie niemożliwe, albowiem kondensatory elektryczne, używane w odpowiednich elektrycznych aparatach, ulegały pod wpływem napięć, niejednokrotnie przekraczających 50.000 V, przebicciu. I znowu cały szereg prób i doświadczeń, które zostały tym razem uwieńczone pomyślnym wynikiem. Nowy i oryginalny kształt, jaki nadał tym przyrządom Ignacy Mościcki, całkowicie zabezpiecza je przed przebicciem i umożliwia dalszą pracę.

Znaczenie tego wynalazku było olbrzymie. Wkrótce została zbudowana w Sz wajcarji fabryka, która zajęła się wyrobem kondensatorów systemu Ignacego Mościckiego, na które znalazła olbrzymi zbyt. Fabryka ta była przez długi czas jedyną tego rodzaju wytwórnią na całym świecie. Problematy, związane z elektrotechniką, w dalszym ciągu interesują Profesora Mościckiego. Wynikiem tych prac jest cały szereg pomysłów urządzeń, mających na celu zapobieżenie zaburzeniom w przewodach elektrycznych wskutek wyładowań elektryczności w atmosferze. Urządzenia te zostały w roku 1905 zademonstrowane przed uczestnikami zjazdu elektrotechników.

Prace te nie odrywają bynajmniej uwagi od głównego celu, jaki sobie wytknął Profesor Mościcki. Zrozumiałe już wówczas było, że całokształt fabrykacji kwasu azotowego z powietrza dzieli się w zasadzie na dwie części. Pierwszą z nich jest produkcja tlenku azotu, drugą zaś stanowi absorpcja otrzymanych tlenków. Dotychczasowe wynalazki w zakresie otrzymania w łuku elektrycznych tlenków azotu wymagały znów intuicyjnego wyczucia, co należy zrobić, aby ciągłą pracę łuku uczynić pożyteczną i bardziej wydajną. Zagadnienie to zostaje rozwiązane w bardzo oryginalny sposób przez zmuszenie łuku do ciągłego wirowania pod wpływem silnego pola elektromagnetycznego. Rezultat był taki, że powierzchnia działania łuku na przepływające powietrze została wielokrotnie zwiększona. Metoda ta okazała się znacznie lepsza i bardziej wydajniejsza, niż wszystkie dotychczas istniejące, a szczególnie lepsza od niedawno przedtem ogłoszonej metody prof. norweskiego Birkelanda.

Po ostatecznem rozwiązaniu zagadnień natury elektrotechnicznej przyszła kolej na dalsze działy, z pomiędzy których najważniejszy—urządzenie absorbcyjne—udało się opanować nadzwyczaj szczęśliwie. Urządzenie to, służące do pochłaniania, a następnie wiązania tlenków azotu w zakresie laboratoryjnym przedstawiały się bardzo prosto, ale przy przejściu na przemysłową produkcję HNO_3 stawiały swoją niedokładnością olbrzymie trudności.

Opracowane przez Profesora Mościckiego koncepcje wież absorbcyjnych znalazły w przyszłości olbrzymie zastosowanie nie tylko w dziedzinie produkcji kwasu azotowego. Teoretyczne podstawy konstrukcji wież absorbcyjnych systemu Profesora Mościckiego odpowiadają następującym warunkom: a) instalacja dla absorbcji umożliwia jak najdokładniejsze zetknięcie gazu z cieczą pochłaniającą, b) materiał, wypełniający wieżę, nie licząc wody, nie bierze udziału w reakcji i nie ulega żadnym chemicznym zmianom, umożliwiając jednocześnie jak najdokładniejsze zetknięcie wody z tlenkami azotu. Przez zastosowanie materiału o dużej powierzchni czynnej wymiary wież zostały zredukowane do minimum, co ma swoje znaczenie w praktyce, gdyż rozmiary wież normalnie dochodzą do 30 m. wysokości. Dzięki tym zaletom nowe urządzenia absorbcyjne przewyższyły prawie dziesięciokrotnie pod względem wydajności dotychczas używane.

Gdy tak stopniowo cały problem został opanowany, Profesor Mościcki w roku 1908 przystępuje do budowy w Chippis dla potężnego towarzystwa szwajcarskiego pod firmą Aluminium Industrie A. G. Neuhausen dużej fabryki (2500 KM). Już w roku 1910 wyszła z wyżej wymienionego przedsiębiorstwa pierwsza cysterna kwasu azotowego, wyprodukowanego całkowicie według metod Uczzonego polskiego.

Równolegle z powyższym został rozwiązany przez niestrudzonego Badacza inny problem, wiązanie azotu wobec węglowodorów. Tworzący się obficie przy tej reakcji cyjanowodór obiecywał w razie podjęcia tego tematu powodzenie techniczne. Przy współpracy Dr. Jabłczyńskiego Profesor Mościcki dochodzi do zadawalających rezultatów dzięki temu, że urządzenia, służące do utlenienia azotu, dały się tu prawie bez zmian zastosować. Mimo wystarczających wyników tych prac realizacja tego problemu na większą skalę znalazła miejsce dopiero

w Polsce Niepodległej (fabryka w Jaworznie). Powodzenie swoje w pracy naukowej zawdzięcza Profesor Mościcki wyjątkowemu darowi, dzięki któremu mógł wyczuć przebieg zjawisk i wpływ, jaki na te procesy mają kształty lub inne szczegóły aparatury. Stąd też to pochodzi, że zawsze, wprowadzając jakieś nowe urządzenie, uzyskiwał efekt dodatni tam wszędzie, gdzie bardziej doświadczeni technicy widzieli li-tylko niepowodzenie.

Ten cały szereg powodzeń wzbudza pragnienie jak najszybszego powrotu do kraju, by resztę swego ofiarnego życia poświęcić pracy nad rozbudową krajowego przemysłu i nad stworzeniem odpowiedniego środowiska, któreby mogło wyszkolić zastęp ludzi, mogących w przyszłości zająć kierownicze stanowiska w życiu technicznym przyszłej Niepodległej Polski.

To pragnienie spełnia się w roku 1912 przez powołanie Ignacego Mościckiego na katedrę profesorską w Szkole Politechnicznej we Lwowie.

Pracę swą na tej nowej placówce rozpoczyna późniejszy Prezydent w styczniu 1913 r.

Z zapałem zabrał się do tej nowej pracy tem miłszej, że wśród swoich i dla swoich.

Jego myślą przewodnią jest obecnie stworzenie silnego i niezależnego przemysłu chemicznego i elektrochemicznego w Polsce. Przywozi więc z Fryburga komplet wagi kilku tonn przyrządów i aparatów, którymi posługiwał się przy pracach w Szwajcarii.

W tym też czasie zwraca uwagę na szereg zagadnień, związanych z przemysłem naftowym. Wykrywa nową metodę rozdzielania emulsyj ropnych. Sposób ten, niezwykle pomysłowy i technicznie prosty, rozpowszechnia się w przemyśle naftowym. Jednocześnie opatentowuje cały szereg wynalazków, związanych ze zgęszczeniem roztworów kwasu azotowego oraz z otrzymywaniem metalicznego glinu z krajowych gliniek. Prowadzi też badania nad koksowaniem i brykietowaniem węgla.

Zdając sobie sprawę z doniosłości wysiłku zbiorowego, zakłada w 1916 roku spółkę Metan, mającą prowadzić pracę wynalazczą w Polsce. Doceniając znaczenie tej instytucji, utrzymującej się z dochodów, płynących z eksploatacji własnych wynalazków, rozszerza i przekształca jej działalność, zakładając w r. 1927 Chemiczny Instytut

Badawczy, którego celem jest słuzenie przemysłowi we wszystkich jego poczynaniach.

Profesor Mościcki opracowuje również projekt fabryki żelazocyjanku sodowego w Borach pod Jaworzniem. Wypadki wojenne wstrzymują realizację tych projektów. Dopiero w roku 1917, w związku z potrzebami rolnictwa krajowego, mogła się rozpocząć budowa wielkiej fabryki azotanu amonowego dla tow. akcyjn. Azot w Borach. Fabryka ta została ostatecznie uruchomiona w roku 1921.

W chwili objęcia po Niemcach Fabryki Związków Azotowych w Chorzowie zjeżdża tam Profesor Ignacy Mościcki, otoczony sztabem oddanych sobie współpracowników, by uruchomić powyższy zakład, który Niemcy opuścili w przekonaniu, że Polacy nie dadzą sobie rady z tamtejszymi urządzeniami, co da im pretekst do wtrącania się w sprawy wewnętrzne kraju. Okazało się jednak, że dzięki wyjątkowej wiedzy Profesora Mościckiego oraz entuzjizmowi współpracowników udało się w krótkim stosunkowo czasie doprowadzić fabrykę do stanu używalności, a nawet dzięki ulepszeniom w budowie pieca karbidowego wydajność jej zwiększyć.

Wszelako, według głębokiego przekonania Profesora Mościckiego, fabryka chorzowska łącznie z fabryką Azot nie mogły sprostać nawet krajowemu zapotrzebowaniu nawozów sztucznych. Za potrzebą zwiększenia produkcji kwasu azotowego przemawiają jeszcze względy obrony kraju, gdyż ma on szerokie zastosowanie w wytwarzaniu środków wybuchowych. W tym czasie na barki Profesora Ignacego Mościckiego spadł jeszcze jeden zaszczytny obowiązek. Wypadki majowe 1926 roku wyrwały Go z kręgu prac na posterunku chorzowskim.

Zgromadzenie Narodowe w dniu 1-go czerwca 1926 r. obiera Profesora Ignacego Mościckiego na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Mimo wydarzeń o tak wielkim znaczeniu, które nakładają Nań olbrzymie obowiązki, Pan Prezydent nie zaniedbuje bynajmniej swych prac na polu uprzemysłowienia kraju. To też Pan Prezydent realizuje projekt budowy nowej fabryki związków azotowych pod Tarnowem, w której produkcja była oparta na nieco innych, zmodernizowanych zasadach. Miejscowość, w której stanęły zakłady, w uznaniu zasług Pana Prezydenta Ignacego Mościckiego społeczeństwo nazwało Mościcami.

Mimo nieustannych trosk o bieg spraw państwowych, mimo udziału w ciężkiej walce z kryzysem znalazł Pan Prezydent czas na dokonanie nowego wynalazku, mającego na celu oczyszczanie powietrza w pomieszczeniach zamkniętych. Próby działania tej aparatury, mającej na celu usunięcie z powietrza szkodliwych składników i nadania mu właściwości powietrza górskiego świetnie się powiodły. Uzyskane wyniki przewyższały przewidywania i zachęciły do przedstawienia tej pracy gronu specjalistów oraz do dalszego eksperymentowania w szpitalach jako też w szkołach.

Górskie powietrze charakteryzuje się: zmniejszoną ciśnieniem, czystością, znaczną jonizacją i niewielką ilością ozonu.

Przystępując do stworzenia odpowiedniej aparatury, Pan Prezydent uwzględnił powyższe czynniki. Przy późniejszych próbach okazało się, iż ozon w takich ilościach, po których można się spodziewać działania dezynfekcyjnego, działa jednocześnie szkodliwie na tkanki ciała ludzkiego. Zmniejszenie zaś ciśnienia w pomieszczeniach zamkniętych okazało się technicznie niemożliwe do osiągnięcia. To też nie dziwnego, że aparatura, obmyślana i wykonana pod osobistym kierownictwem Pana Prezydenta, składa się tylko z dwóch zasadniczych części: z instalacji do oczyszczania, a następnie naświetlania celem jonizacji powietrza. Przy realizacji całości problemu Pan Prezydent z całą swobodą opierał się na swych gruntownych studjach

z dziedziny absorpcji gazów oraz na swym przebogatem doświadczeniu z zakresu elektrofizyki. Powietrze, oczyszczone metodą Pana Prezydenta, jest nie tylko prawie całkowicie wolne od wszelkich zawiesin, ale nawet jest pozbawione zanieczyszczeń gazowych, jak n.p. bezwodnika kwasu siarkowego i innych, z których szkodliwą obecnością należy się liczyć w miastach i ośrodkach przemysłowych.

Ten ogólny rzut oka na działalność naukową Pana Prezydenta świadczy aż nadto wymownie o tem, że jest On obdarzony rzadko spotykanym zespołem cech i właściwości umysłu, które przy pracy bez wytchnienia zapewniły Mu przodujące stanowisko jako uczonego i wynalazcy. A zwróciwszy jeszcze uwagę na Jego właściwości, które pozwalają Mu zdecydowanie kierować nawet państwową i śmiało patrzeć w Jej przyszłość, możemy powiedzieć, że w swej Dostojnej Osobie połączył spokój wnikliwego badacza z optymizmem przyrodnika, który twierdzi, że: *„Przyszłość nasza, oparta na wysoce ideowych walorach naszych obywateli i bogactwie kraju, rokuje jak najlepsze nadzieje. Spostrzeżenie to jest obiektywnym faktem i wszyscy w to nareszcie uwierzyć musimy. Nad małostkami, absorbującymi jeszcze umysły niektórych, samo życie przejdzie do porządku dziennego. Trwałemi pozostaną tylko dzieła wielkie”*.

Stanisław Pużanowski
kl. VIII.

LEKTURA

- Prof. Dr. Wojciech Świętosławski — Prezydent Rzeczypospolitej Prof. Dr. h. c. Ignacy Mościcki jako uczonego, badacza i wynalazcę.
- Dyr. Inż. Eugenjusz Kwiatkowski — Wyścig pracy Prof. Ignacego Mościckiego.
- Dr. Lech Suchowiak — Życiorys i działalność Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Prof. D-ra h. c. Ignacego Mościckiego.
- Doc. Dr. Inż. Ludwik Wasilewski — Techniczno-naukowe prace Pana Prezydenta R.P. Profesora Dr. h. c. Ignacego Mościckiego na polu przemysłu nieorganicznego.

Orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej

Do Obywateli Rzeczypospolitej!

Marszałek Józef Piłsudski życie zakończył.

Wielkim trudem Swego życia budował siłę w Narodzie, genjuszem umysłu, twardym wysiłkiem woli Państwo wskrzesił. Prowadził Je ku odrodzeniu mocy własnej, ku wyzwoleniu sił, na których przyszłe losy Polski się oprą. Za ogrom Jego pracy danem Mu było oglądać Państwo nasze jako twór żywy, do życia zdolny, do życia przygotowany, a Armję naszą — sławą zwycięskich sztandarów okrytą.

Ten największy na przestrzeni całej naszej historii Człowiek z głębi dziejów minionych moc Swego Ducha czerpał, a nadludzkim wyężeniem myśli drogi przyszłe odgadywał.

Nie Siebie tam już widział, bo dawno odczuwał, że siły Jego fizyczne ostatnie posunięcia znaczą. Szukał i do samodzielnej pracy zaprawiał ludzi, na których ciężar odpowiedzialności z kolei miałby spocząć.

Przekazał Narodowi dziedzictwo myśli o honor i potęgę Państwa dbalej.

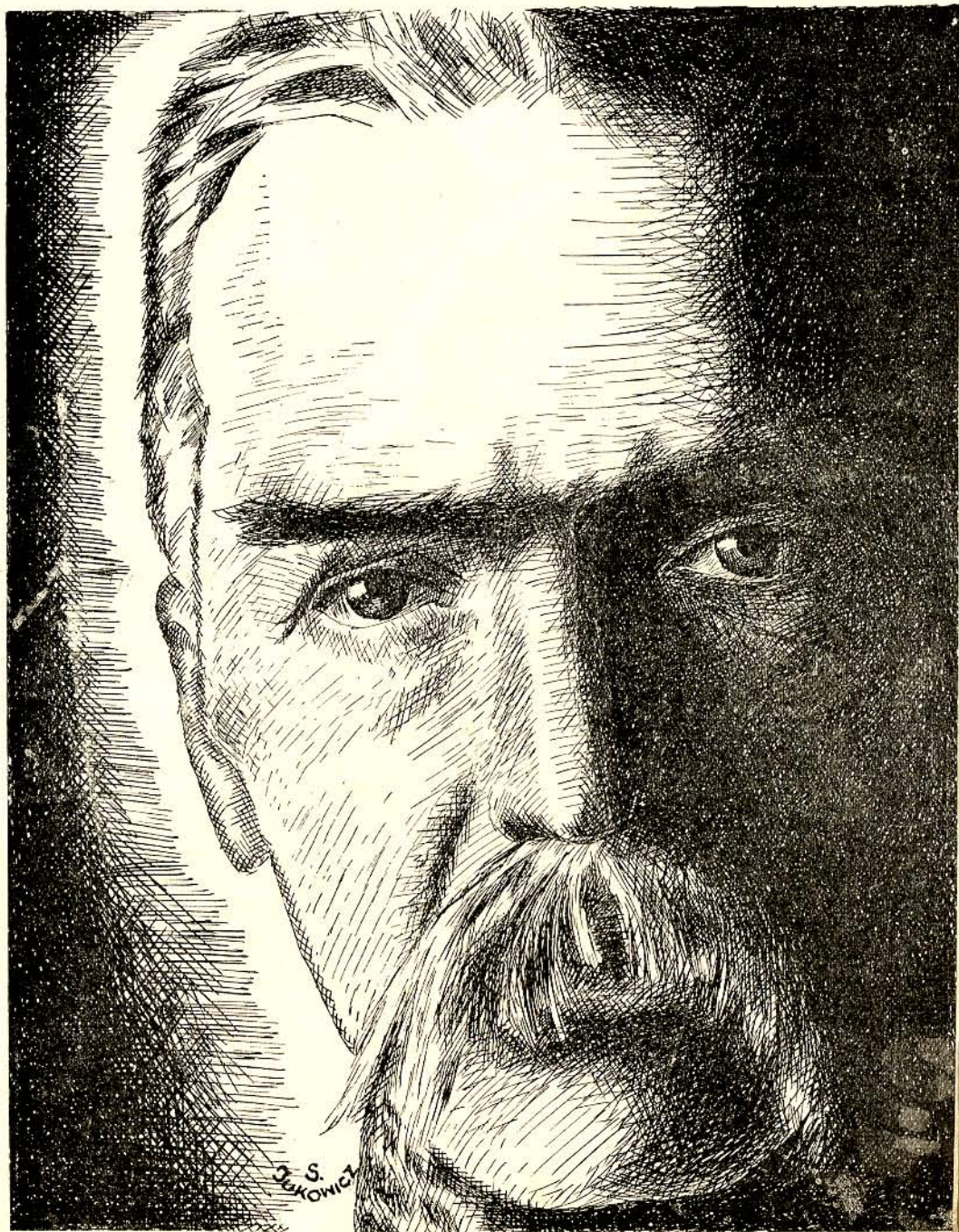
Ten Jego Testament, nam żyjącym przekazany, przyjąć i udźwignąć mamy.

Niech żałoba i ból pogłębią w nas zrozumienie naszej — całego Narodu — odpowiedzialności przed Jego Duchem i przed przyszłemi pokoleniami.

Prezydent Rzeczypospolitej

(—) I. MOŚCICKI

Warszawa — Zamek, dnia 12 maja, 1935 r.



KULT PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W NASZEJ SZKOLE

„Dla Ciebie, Polsko,
i dla Twojej chwały!”

wolał Wódz Narodu, kiedy szedł w bój zwycięski, powtarzał te słowa, kiedy wspominał o wielkości minionej, kiedy wpajał w swych żołnierzy ducha narodowego, dumę i wiarę w lepsze jutro.

Z okrzykiem tym szedł legionista do ataku, w największy wir walki, a kiedy ginął, to nie smutek, ale radość i cichy szepot myśli o Polsce i Jej chwale zjawiały się na jego ustach.

W słowach tych wyrażała się odwaga i męstwo, moc i siła niezmienna tych szarych zastępów wojska polskiego. A gdy przyszła wiosna wolności i rozpoczął się okres ciężkiej pracy państwowo-twórczej, nikt inny, tylko Wódz podjął się tego olbrzymiego wysiłku — stworzenia państwa zdrowych, nienaruszonych posad bytu. Z bezprzykładną ofiarnością i zaparciem się poświęcił swój żywot w wolnej ojczyźnie pracy dla ogółu, pracy dla państwa.

Cokolwiek czynił, czynił dla Polski, dla Jej chwały. Z całego serca pragnął, by wskrzeszone państwo było potęgą, jak niegdyś za Chrobrego, Jagiellonów, Batorego, by stało się świetnością, o jakiej marzyli nasi najwięksi poeci. Ta myśl nie dawała Mu chwili spoczynku. Chciał porwać za sobą naród, chciał pracą swoją i trudem wykazać łączność z odrodzonym społeczeństwem. Potęgę państwa oparł nietylko na sile fizycznej, stokroć więcej cenił podstawę moralną, podstawę zdrową, trwałą, niezniszczalną. W młodzież więc wpajał od zarania Niepodległości cechy prawdziwego obywatela, hasła piękne i wzniosłe, stanowiące największy skarb życiowy człowieka — oto one: ojczyzna, nauka, cnota.

Stał się każdą chwilą życia swego przepięknym wzorem, godnym naśladowania. Kult Jego życia i czynów stał się ciągle i nieustannie wśród nas — młodzieży!

23 stycznia 1929 r. Gimnazjum nasze otrzymało za Patrona Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Skupiona pod sztandarem, wsłuchana w szum skrzydeł orła białego, upojona szczęściem młodzież rozmyślała o swej zaszczytnej roli, jaką ma spełnić w życiu Niepodległej Ojczyzny.

Jego czyny, Jego prace i myśli o państwie stały się rozkazem dla nas — a rozkaz wykonać musimy!

Jeżeli nam zaufała, jeżeli w nasze ręce włożył odpowiedzialność za przyszłość państwa i narodu polskiego, powinniśmy być dumni, powinniśmy szczyć się z tego i zawsze być gotowi do poświęcenia, gdy ofiar zażąda ojczyzna i dobro ogółu.

Postać Budowniczego Państwa była od tej chwili przewodnikiem naszych myśli. W niej skupiony był ideał ofiarności i poświęcenia, karności i solidarności.

Hasłem Jego naczelnem była wiecznotrwała potęga Polski. My, jako spadkobiercy tej idei wzniosłej duchowego Wodza Narodu, staramy się pracą nad sobą, nad wykształceniem rozumów naszych wytworzyć jedną spójnię duchową, która ma być podłożem do jedności silnej Polski.

Szkoła uczy nas wcielać w życie wskazania Marszałka Józefa Piłsudskiego, dąży do wpojenia w nas poczucia obowiązku, karności, pragnie, by dusze nasze stały się granitem, trwałym materiałem, z którego zostanie zbudowany gmach przyszłej potęgi. Za to, że możemy uczyć się w szkole polskiej, winniśmy spełnić włożone na nas obowiązki.

Kult Marszałka Józefa Piłsudskiego rósł wśród nas.

Do ręki wkładano nam oręż, którym możemy wywalczyć triumf idei Najlepszego Obywatela Polski, oręż, który w najtrwalszej skale duszy wykuwał strumień żywej miłości do tych, którzy życie swe złożyli



w ofierze za Wolność i Niepodległość Polski.

Dzieła Marszałka Józefa Piłsudskiego stały się niewyczerpaną skarbnicą wskazań życiowych, według których mamy żyć i postępować, by przyczynić się do uświetnienia mocarstwowości kraju, by stać się takimi obywatelami, jakim był On. Dzieła Jego to ognisko, wiecznie sypiące skrami, to znicz Polski, to źródło hasła, to głębia myśli narodowych, to bezden, którą napróżno silimy się przejrzeć. Im więcej, im dłużej wpatrywać się będziemy w głębię myśli Marszałka, tem więcej szczegółów spostrzeżemy, więcej barw i odcieni myślowych przesunie się przed oczyma naszej młodzieńczej duszy.

Nieraz wsłuchiwalismy się w słowa Wodza, rzucane w naród, jak zdrowe ziarno w urodzajną glebę. Stawała tedy przed nami nie pochylona wiekiem postać, ale wódz potężny, niezwalczony, surowy, który nie chciał pozwolić,

„aby w czasie, gdy na żywym ciele naszej Ojczyzny miano wyrąbywać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przy tem brakło”,

który nie chciał dopuścić,
„by na szalach, na które miecze rzucono, zabrakło polskiej szabli”.

Niejednen chwytając „Pisma, mowy i rozkazy”, by lepiej i głębiej zrozumieć intencję Twórcy Państwa, by poznać Jego życie, by przeżyć to, co On przeżył, by pojąć prawdy życia, które odzwierciedlają duszę narodu polskiego.

Zrozumienie idei Budowniczego Państwa—to potrzeba nasza. Każdym czynem staraliśmy się zadokumentować stanowisko młodzieży w odrodzonym państwie, staraliśmy się wykazać, że Wódz Narodu stał się umiłowanym, a Jego myśli stały się ideą przewodnią we wszelkich poczynaniach młodzieży. Stał się On siłą, krzepiącą ducha w armji przyszłych szermierzy niezłomnych—w młodzieży polskiej.

Jak przepiękne były uroczystości w naszej szkole, urządzone czy to z okazji rocznic odzyskania niepodległości, czy też Imienin Marszałka! W nich wyrażała się zawsze nasza gotowość do wielkiego czynu, do poświęcenia, bo byliśmy pod Jego urokiem, bo On zarył się głęboko w duszach młodzieży, bo on zasłużył na miłość taką.

Jak dobry ojciec otacza troską swe dzieci, tak On otaczał szczególną opieką młodzież. Nic więc dziwnego, że w nas na-

gromadziła się energia czynu. Wspomnijmy te referaty, odzwierciedlające całe życie Marszałka Józefa Piłsudskiego, Jego czyny, Jego myśli, pracę nad kształtowaniem organizmu państwowego i trud nad wychowaniem młodzieży na niestrudzonych bojowników lepszego jutra. Zawsze byliśmy olśnieni Jego postacią, byliśmy pokrzepieni Jego słowami. A ileż uczuć nappełniało zawsze nasze serca, ileż myśli cisnęło się do głów, gdy usłyszeliśmy przepiękne żołnierskie piosenki legionowe, gdy tony „Pierwszej Brygady” nappełniały salę, a ileż radości, ileż zadowolenia okazywał każdy, gdy słyszał „Wiązanek piosenki legionowych”? Piosenki, te drogie pamiątki narodu polskiego, będą zawsze piękne, będą zawsze przemawiały do najbardziej twardych serc. W nich doszukujemy się tonu pewnego, tonu triumfu.

Któż z nas nie uczył się napamięć tych piosenek? Któż z nas nie umiał sobie pracy ich nuceniem? Jesteśmy tak wychowani! Małe dziecko, które nie potrafi dobrze słów wymówić, uczy się już wierszyków, takich, jak: „Kochamy Cię, Polsko, chcemy żyć dla Ciebie...”, czy „Do Belwederu brama jest otwarta...” i innych. Już w jego młodocianem serduszkach budzi się miłość ku Ojczyźnie, miłość, która już w niem na zawsze zostanie.

To sprawił On—Wychowawca Narodu Polskiego.

Myśl o Nim nie opuszczała nas nigdy. Nadszedł wreszcie dzień 19 marca 1935 r., dzień, który nie zostanie skreślony w pamięci naszej, dzień imieninowy, w którym wołaliśmy: „Siedemnasta wolna wiosna! Świat uśmiecha się tęczą swych obietnic. Mamy lata pokoju, budujmy mocne, trwałe ściany od Karpat po Bałtyckie morze. Mamy Wodza, który odnawia Polskę. Niech imię Jego ma moc ziarna, rzuconego na uprawną rolę!”

Ostatni raz wtedy staliśmy nasze życzenia do Belwederu. Okrzyk na cześć Jego wzniesiliśmy tak szczerze, tak potężnie!

Nikt z nas nie przypuszczał, że radość ta i wesele długo trwać nie będą.

W dniu tym rozpoczął się nowy okres w naszym życiu. Portret Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, dzieło byłego profesora naszego Gimnazjum, zawieszony w auli, zawisł, byśmy jego widokiem mogli pokrzepiać się na duchu, by przypominał nam o wskazaniach Wodza, jak mówił Pan Naczelnik, by przed nim zbierała się młodzież, jak zaznaczył Pan Dy-

rektor, by wpatrywała się w Jego oblicze, pełne łagodności i powagi.

Pamiętamy ten moment dokładnie, pamiętamy o obowiązkach, jakie w tym dniu na nas zostały włożone. I od tej chwili stawaliśmy przed portretem, wczuwaliśmy się w Jego myśli, przypominaliśmy sobie Jego czyny, Jego życie, pełne ofiarności i poświęcenia. Budziła się w nas wtedy chęć czynu, chęć ofiarnej służby dla państwa i narodu polskiego.

Ten zapał do czynu, tę chęć do pracy oraz wdzięczność za trudy Marszałka nad wywalczeniem wolności wyraziliśmy w utworze scenicznym p. t.: „Nie zginęła!” w dniu 5 maja 1935 r.

„Niech żyje Polska Niepodległa!

Niech żyje Armja Polska!

Niech żyje Ten, który prowadził Ją do zwycięstwa!” — oto ostatni nasz okrzyk na Jego cześć.

Kult Wychowawcy młodzieży w naszej szkole wzrósł znacznie. Mielśmy już powody, żeby cieszyć nasze serca, gdy nagle kraj cały obiegła wiadomość, że Ten, którego wszyscy kochają, odszedł od nas na zawsze. Sztandar smutku i żałoby powiał nad Polską, a szum jego dotarł do najodleglejszych zakątków kraju.

Bolesnie odczuliśmy stratę ukochanego Wodza, stratę Najlepszego Obywatela Polski. Delegacja młodzieży naszej szkoły złożyła Mu hołd, wzięła udział w Jego pogrzebie i przysięgła miłować Polskę, Ojczyznę naszą tak, jak On Ją miłował. Reakcja była samorzutna, każdy czuł potrzebę oddania Mu ostatniego hołdu. Duch Jego potężny natchnął niejedno serce, niejedną umysł. Jakaś siła przepotężna zawładnęła uczuciem naszym. Każdy czuł w sobie wielkość i natchnienie. Posypały się wiersze i artykuły na cześć wielkości Ducha i Genjusza twórczego Budowniczego Polski. Popłynęły żałosne tony chopinowskie, łza smutku i tęsknoty za czemś niepowrotnem zjawiała się w oczach naszych. Straciliśmy Opiekuna, ale Duch Jego wszechwładnie opanował nasze serca i w nich pozostał.

„Są ludzie — mówił Marszałek — i są prace ludzkie tak silne i tak potężne, że śmierć przewyciężają, że żyją i obcuja między nami.” Odszedł, ale On żyje wśród nas, Duch Jego roztoczył opiekę nad nami i nie opuści nas nigdy.

On nam przewodził, On nas prowadził. Poszliśmy za nim!

Poszliśmy aż hen! do Krakowa, by złożyć należny hołd Temu, który królom był równy, by wziąć wraz z innymi udział w sypaniu kopca, który będzie najtrwalszym pomnikiem oddanej Mu czci.

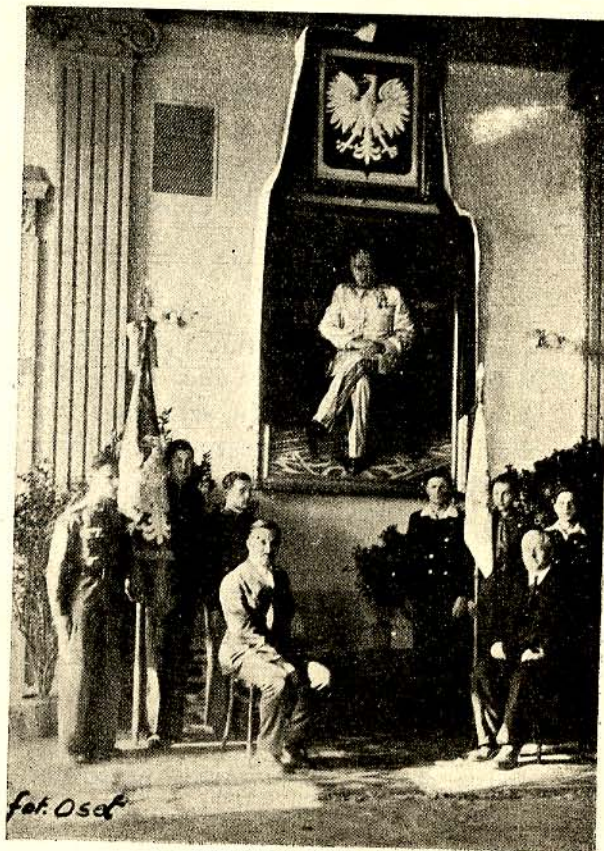
Pamięć o Nim nie zginie. Życie Jego przeszło do historii, ale hasła są nadal żywotne, myśli Jego są nieomylne.

Starajmy się więc w dalszym ciągu w myśl tych haseł postępować, pracujmy usilnie nad rozumieniem i pogłębieniem Testamentu Wodza Narodu. Niech wiara we własne siły nas nie opuszcza, niech miano Polaka będzie dumą każdego!

Mamy przecież wolną Polskę. Niech Ona będzie celem naszym! Dla niej pracujmy, udoskonalajmy się wewnętrznie, bądźmy dobrymi obywatelami kraju i przyrzeknijmy sobie na zawsze, że postępować będziemy w myśl Jego zasady: „Dla Ciebie, Polsko, i dla Twej chwały!”

Witold Żur.

kl. VIII.



WSPOMNIENIA Z POGRZEBU MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Cicha, głęboka noc...

Idą... posępni... milczący...

Tam, w jarzącej się światłami świątyni, leży On — cichy, spokojny.

Dumnie w ciemności przeżą się mury gotyku, kornie chylą się głowy tysięcy, zalegających

Plac Zamkowy.

Ciężkie, ponure chmury wiszą nad stolicą i płaczą rzęsimi kroplami deszczu.

Płaczą, jak płacze dziecko po utracie kochanego ojca, jak płacze naród po utracie

Najlepszego Obywatela Kraju.

Półcień zalega ulice.

Tłumy.

Zda się opuszczeni, osamotnieni stoją w bezruchu już tak od rana.

Stoją cierpliwie. Nie odstąpią od wrót świątyni, nie opuszczą Go.

Był z nimi zawsze, a teraz już odchodzi, opuszcza tych, którzy Go kochają.

Rwie się ku niebu potężny krzyk duszy zebranego tłumu, krzyk potężny, żywiołowy,
żądający sprawiedliwości...

A jednak cisza wokoło...

Myśl biegnie ku Niemu...

Żeby choć raz spojrzeć, choćby zdaleka!

Ach! Jakże byłbym szczęśliwy!

— — — — —
Wstał dzień ponury, dżdżysty, wiosenny.

Ludność stolicy zaległa Pole Mokotowskie.

Co ją tam sprowadziło?

Na kogo czeka?

A fala ludzka płynie bez przerwy...

Tam obok krakowianina i ślązaka idzie kurp i kaszub, obok inteligenta zwykły robotnik.

Wszyscy idą! Wszyscy chcą oddać ostatni hołd Wodzowi.

A ponad morzem głów sztandary i sztandary.

Wzrok nasz wciąż biegnie ku miejscu, gdzie zwykle stał On—Najdostojniejszy...

Puste — kirem okryte...

Nie stanie On więcej na tem wzniesieniu, nie spojrzy już na swych żołnierzy, których
tak kochał, którym przewodził.

A obok — wzniesienie... armata!

Tam nasza myśl, tam nasze spojrzenia...

— — — — —
Dzwony biją...

Biją dzwony...

Jedno potężne echo płynie po kraju.

Jedno głębokie westchnienie płynie ku Bogu.

Już idą!

Ostatnia Jego podróż ulicami Warszawy, podróż, pełna powagi i majestatu.
Ponure bicie dzwonów przejmuję dreszczem.

Czekamy w skupieniu, ciszy, powadze...

Nareszcie!...

Padł tłum na kolana, pochyliły się sztandary, a środkiem przesuwiał się zwolna kondukt pogrzebowy.

Chwila wzruszająca... W duszy szloch przepotężny!

Oto wiozą Go.

Słychać tylko turkot kół armatnich...

Na trumnie maciejówka, szabla i buława marszałkowska.

Potężne uczucie, rozpacz i żal wypełnia serca.

Łza mimowoli zjawia się w oku.

— — — — —
Zapominam o wszystkim.

Patrzę, a nic nie widzę, słucham, a nic nie słyszę.

— — — — —
Rozdarła się ponura zasłona nieba i jasny promień słońca padł na orła strzeleckiego.
Błysnął w słońcu, które ostatni raz słało Mu pożegnanie.

— — — — —
Stoi teraz, jak posąg nieruchomy, pełen powagi i majestatu.

A przed Nim przeją się maszerujące oddziały, chylą się sztandary. Wgórze warkot motorów. Ostatnia rewja!...

Idą przed Nim, a On na nich nie patrzy, grają Mu poraz ostatni „Brygadę”, ale On już nie słyszy nic...

— — — — —
Ostatnie nasze spojrzenie...

Patrzymy z żalem na trumnę, znikającą wśród kwiecia.

— — — — —
Skończył się trud Jego.

Spokojnie, przy huku strzałów armatnich, opuszczał stolicę, a za Nim szły tęskne i żalosne spojrzenia tłumów.

— — — — —
Żyć będzie wśród nas na wieki!

Witold Żur
Kl. VII.



W Y W I A D



Umieszczając wywiad z Panem Dyrektorem, Doktorem Wacławem Kwapieńskim, Opiekun klasowy i wszyscy tegorocznicy składają najgorętsze życzenia, aby jak najdłużej danemu Mu było pracować dla dobra Szkoły i szerzenia wiedzy pedagogicznej.

Dnia 3 lutego b. r. zgłosiliśmy się do Pana Dyrektora z prośbą o łaskawe udzielenie odpowiedzi na kilka interesujących nas szczególnie pytań. Pan Dyrektor życzliwie przyjął naszą delegację i udzielił wyjaśnień, które przytaczamy niżej.

1. Jakie były metody nauczania i sposoby wychowywania dawnej młodzieży?

Metoda nauczania w szkołach zaborczych, przedwojennych polegała na wykładach nauczycieli lub na zadawaniu z podręcznika „stąd-dotąd”.

Pracowni szkolnych nie było zupełnie. Były zbiory pomocy naukowych np. do nauczania fizyki, lecz te były niedostępne dla uczniów, rzadko przez nich oglądane.

W zaborczej szkole przedwojennej wychowania w znaczeniu kształtowania charakteru nie było. Wychowanie sprowadzało się tylko do czysto zewnętrznych form, pierwiastka duchowego w wychowaniu nie było.

2. W jaki sposób pracowała dawna młodzież nad samokształceniem?

Odczuwając braki w ówczesnym nauczaniu i wychowaniu, młodzież dawniejsza tworzyła tajne organizacje, do których należały lepsze jednostki.

Głównym jednak celem tajnych organizacji uczniowskich była mobilizacja sił moralnych i materialnych (np. składki na Skarb Narodowy) do przyszłej walki o niepodległość Polski. Było to w epoce, kiedy

Marszałek Piłsudski, duchowy przywódca tajnych organizacji, rzucił hasło przygotowywania się do zbrojnej walki z zaborcami.

Młodzież ówczesna, należąca do tajnych organizacji, rozumiała, że pracę należy rozpocząć od samego siebie. Uzupełniano więc braki wykształcenia, ucząc się historii Polski, poznając literaturę ojczystą i nowe prądy socjalne, nurtujące w społeczeństwie.

Wydawano tajne gazetki, szerzono kult mowy polskiej, wystawiając zabronione przez zaborców sztuki polskie w tajnych teatrach, tworząc tajne zespoły wokalne i muzyczne.

Wiele również pracowano nad uzupełnianiem wiedzy z zakresu nauk przyrodniczych i matematycznych. Pęd do pracy umysłowej był wówczas bardzo duży, a życie umysłowe pochłaniało znaczną część młodzieży szkolnej.

3. Co Pan Dyrektor myśli o współpracy w naszej szkole z młodzieżą w ogóle, a w szczególności z nami?

Pracując lat kilka w tutejszym Gimnazjum, doszedłem do przekonania, że współpraca grona nauczycielskiego z uczniami jest zupełnie możliwa i daje dobre wyniki, jeżeli tej pracy towarzyszy zapał.

Nie idziemy bowiem drogami różnymi, lecz temi samymi, bo mamy jeden wspólny cel życia i całej działalności—dobro i potęgę Rzeczypospolitej Polskiej.

Wszelkie więc jawne poczynania uczniów są przez nas cenione i w miarę możliwości popierane, o ile zmierzają pośrednio czy bezpośrednio do tego celu.

Że z ósmą klasą praca jest możliwa i celowa, to może najlepiej zaświadczyć o tem wasza Jednodniówka.

RZUT OKA



WSTECZ



Motto:

Kto żyje z plonu dawniejszych lat,
Przeżuwa przodków d ostalki,
Temu dowództwo odb'rze świat,
A mienie wydrą wypadkil

A. Asnyk.

Bardzo się ucieszyłem, gdy zaproponowaliście mi współudział w Jednodniówce. Wszak wiele mogę powiedzieć o swoich uczniach, z którymi w ciągu siedmiu lat zapoznawałem się, żywałem, których szczerze pokochałem.

Kiedy wspomnę o pięknej naszej współpracy, żywo w wyobraźni przesuwają mi się minione lata, a wraz z nimi snują się w pamięci radości i troski, związane z lekcją, zebraniem, akademią, wycieczką. Kilka momentów ze współżycia szkolnego o charakterze ogólnych rozważań pragnę zanotować, by stały się one wspomnieniem, pamiątką, a może wskazówką, wyjaśniającą, jak podejść, by pozyskać ucznia, by poznać go lepiej i dać się poznać jemu.

Już wcześniej spostrzegłem, że chcecie mi dużo powiedzieć, zaufać, odsłaniać niejednokrotnie głębie swych uczuć i namiętności, które w Was nurtują.

Sprawa, jak zużytkować, wyzyskać i umiejętnie pokierować informacjami, uwagami, zwierzeniami, wynurzeniami była zasadnicza.

Jako opiekun, świadomy swych obowiązków, wiedziałem, że wiele zdziałać mogę, ale muszę naprzód poznać duszę młodocianą, muszę zrozumieć Was, poznać Wasze potrzeby, zainteresowania, marzenia, ideały, niezadowolenie z przyziemności i po-

spolitości życia, słowem cały wewnętrzny świat.

Badalem nadto usposobienie, skłonności, dążenia, potrzebę zużytkowania w pewnym wieku nadmiernego zapasu energii, troszczyłem się o rozwój umysłowy, apelowałem do najrozmaitszych właściwości psychicznych, by oddziaływać od „wewnątrz”.

Jako polonista, starałem się tchnąć w naukę języka polskiego nowego ducha, wiązać przeszłość z teraźniejszością, zbliżać ją do dzisiejszego życia, wprowadzać aktualne problemy państwa. W młodszych klasach wdrażałem Was do poszanowania Władz Państwowych oraz osób, które położyły wielkie zasługi przy odzyskaniu Niepodległości, zwracałem uwagę na uznanie i szacunek dla osób, które okryły imię Polski sławą na polu nauki, oświaty, sztuki i t. p. Uczyłem poszanowania sztandaru szkolnego, munduru uczniowskiego i starałem się o głębokie ugruntowanie poczucia honoru uczniowskiego, o wyrobienie poczucia odpowiedzialności za rezultat prac i zobowiązań dobrowolnie podjętych. W klasach starszych przy nauczaniu literatury ojczystej wskazywałem na wartości wychowawcze: pierwiastek obywatelski, rozumne rady i przestrogi. Łącząc one bowiem nierozzerwalnym węzłem przeszłość ze współczesnością. Literatura uczyła więc szanować szlachetne tradycje,

przekazywać nie ideową, spajającą nas z minionymi pokoleniami, budziła cnoty obywatelsko-państwowe, jak podporządkowanie swej woli woli ogółu, poszanowania praw, posłuchu dla władz i przełożonych, poczucia odpowiedzialności i uczciwości. Wy zaś domagaliście się, by uwzględniano Wasze dążenia, pragnienia, słowem Wasze swoiste prawo. Nie chcieliście być bierni, ale szukaliście okazji i osób współdziałających w Waszym własnym wychowaniu.

Stałem wobec zadania, jak wciągnąć Was do czynnego współdziału w pracy wychowawczej i jak zorganizować ten współdział.

Moja praca wychowawcza nad Wami w niższych klasach polegała na budzeniu, wyzwalaniu w Was określonych wartości dodatkich. Można to było osiągnąć przez nawiązanie do bezpośrednich zainteresowań i dążeń ucznia. Doceniając i szanując indywidualność, wyrabiałem w Was poczucie własnej odpowiedzialności i dopomagałem w dążeniu do współpracy kulturalnej i społecznej. Mając na względzie nowoczesne wychowanie, dotychczasowy martwy proces przyswajania pewnych wartości intelektualnych przetwarzałem na żywy proces rozwoju. Drogą zaś przyswajania i naśladowania pewnych form i umiejętności starszego społeczeństwa łączyliśmy się w naturalny sposób z nim, wrastaliśmy w społeczeństwo.

Niewątpliwie samowychowanie zależy od chęci i pragnień dokształcania i doskonalenia się klasy. Pragnienia mogą być różne, zależy to od zasobów kulturalnych i społecznych, tkwiących w łonie zespołu.

Aby cel samowychowawczy był osiągnięty t. zn., aby uczeń uczył się poznawać konieczności, warunki życia społecznego, panował nad sobą, wyrabiał samodzielność, poczucie obowiązku i sumienności, potrzebna jest jeszcze wiara i zapał opiekuna, te największe dwie dźwignie życia.

Istotnym zadaniem nie jest bynajmniej udzielanie wychowankowi jak najwięcej zdobyczy cywilizacji materialnej, natomiast największą jego troską musi być wzbogacenie duszy wychowanka kulturą duchową.

Skłonny jestem do zajęcia stanowiska, że nie metoda, ale osobowość wychowawcy, polegająca na skłonnościach, jakie wnosi do swej pracy, jest głównym czynnikiem, rokującym powodzenie w pracy wychowawczej.

Jak organizowano życie zbiorowe, aby się przygotować do życia w społeczeństwie?

Poszukiwano coraz-to innych, lepszych metod, sposobów, by nie skostnieć w dotychczas stosowanych. Wszak chodziło mi głównie o pracę, o poszanowanie pracy tak fizycznej, jak umysłowej, zbiorowej czy jednostkowej. Przez planową, rozłożoną na lata pracę wychowawczą uczyłem Was patrzeć na pracę, jako na źródło istotnych i nieprzemijających wartości społecznych. Uczyłem patrzeć na dobro własne poprzez dobro ogółu, a więc wyrzeczenie się osobistych interesów, gdy tego w przyszłości będzie wymagała potrzeba kraju.

Słusznie powiedział A. Skwarczyński, że: „praca nawiązuje kontakt człowieka z rzeczywistością, ona pozwala tę rzeczywistość kształtować — i ona jednocześnie, stawiając i wypełniając konkretne cele z dnia na dzień, z kroku na krok, łączy moralnymi więzami zespoły ludzkie, kształtuje ich nastrój moralny, kształtuje charaktery, wytwarza między nimi łączność zbiorowego chcenia, dążenia i zbiorowego czynu. Więc: praca. Z niej rodził się w Polsce cud siły moralnej, zbiorowej: wielkość narodu.” (Myśli o nowej Polsce, str. 27).

Ideale życiowe, wpajane przez szkołę, nie mogą być pustym dźwiękiem realizmu, ani martwą formą pobożnych życzeń. Wszelki frazes i fałszywy patos nie może mieć miejsca. Gdyby oprzeć się tylko na abstrakcyjnym wychowaniu moralnym, mogłoby to grozić rozmiłowaniem się w nieuchwytnych ideałach np. dobra, piękna, bohaterstwa, poświęcenia się.

Szkola ma wskazać konkretny cel i określony sposób urzeczywistniania go. Do tej pracy potrzebne jest współdziałanie wychowawcy z domem. Rodzina bowiem jest naturalnym środowiskiem, wywierającym decydujący wpływ na kształtowanie się charakteru dziecka. Od jej wartości kulturalnych, społecznych i warunków materialnych w dużej mierze zależy rozwój indywidualności dziecka w duchu egoizmu lub uspołecznienia. Słusznie powiedział Kreffer: — „W środowisku rodzinnym dziecko dla rodziców jest jak książka, która w dniu urodzenia otwiera się na pierwszej stronie; książkę tę należy czytać bez przerwy codziennie, codziennie bowiem karta się odwraca, a kto pominie jeden dzień w tem czytaniu, ten naraził się na niezrozumienie dalszego ciągu”.

Rodzice dobrze znają swe dzieci i nie raz mogą przyjść szkole z pomocą, jeśli

chodzi o poznanie duszy dziecka i wyalenie odpowiednich środków kierowania niem.

Dom, zapoznawszy się z celami i dążeniami szkoły, może wpłynąć i wdrożyć dziecko do sumiennej pracy, może spotęgować poczucie więzi społecznej przez zaprawianie do posłuszeństwa.

Szkoły nie można dzisiaj traktować jako placówki oderwanej od życia, nie wolno przeto tkwić w dotychczasowości. Należy w szkole stwarzać takie warunki, z jakimi spotkamy się później w życiu społecznym. Najwłaściwszą formą organizacji życia zbiorowego młodzieży wydaje mi się samorząd. Jest on doskonałym terenem, na którym są badane, rozwiązywane i oceniane różne bolączki uczniowskie, obradowane i organizowane zamierzenia, jak urządzanie obchodu, wycieczki, bezpłatne korepetycje, prowadzenie korespondencji np. z Polonią z Zagranicy, z dziećmi w szkołach na Kresach Wschodnich.

Wszelkie prace miały znaczenie budujące, jeżeli wpływały z głębszych pobudek duchowych uczniów, skupiających się wokół realizacji zamierzonych celów i postanowień.

Praca w Waszym samorządzie dawała wyniki pożyteczne, zgodnie z postulatami dzisiejszego wychowania. A więc: a) zaznajamiała z życiem społecznym i państwowym, b) uczyła pracować, c) wyrabiała poszanowanie prawa przez przestrzeganie własnego statutu, d) wyrabiała odpowiedzialność, e) potęgowała i wzmacniała uczucia koleżeńskie.

Praca, wykonana wspólnymi siłami, jak np. założenie czytelnia, przyczynienie się do uświetnienia uroczystego obchodu, współudział w pracy zespołowej nad opracowywaniem utworu scenicznego, budowa sceny, projekty i malowanie dekoracji wymownie stwierdziły, iż kierownik szkoły, opiekun i uczniowie są przepełnieni jedną zbiorową troską, nieprzepartą chęcią i mocnym postanowieniem.

Niemalą usługę oddała czytelnia. Przypomnijmy sobie, jaką odczuwaliśmy potrzebę poznania współczesnego życia Polski. Interesowały nas sprawy kulturalne, gospodarcze, polityczne. Gazeta więc była doskonałą rękojmą, pozwalającą na wydobycie sumy wiadomości o Polsce Współczesnej, by zwrócić Wasze uczucia i myśli na najwyższe dobro, jakim jest Rzeczpospolita.

Wiedząc o wielkiej wartości pedagogicznej, jaką ma fantazja, mogąca się wyżyć w rysunku, silniejsze jej działanie obserwując w zabawie, szczególnie zaś dostrze-

gając w młodzieży niezaprzeczony pęd do uprawiania aktorstwa, zdecydowałem się na założenie teatrzyku szkolnego. Jak chętnie zamienialiście powiastkę lub podpatrzone życie na dramat i naprędcie improwizowaliście teatr.

Prowadzenie teatrzyku szkolnego w roku szkolnym 1933/34 i 1934/35 przekonało mnie o dużych jego korzyściach wychowawczych. Teatr szkolny przyzwyczajał do pracy zespołowej, wyzwalał twórczą siłę fantazji, uwzględniał swobodę inicjatywy.

Produkcja własna t. zw. naukowa, czy literacka rzadko miała wartość obiektywną, tem niemniej była niesłychanie ważnym czynnikiem wykształcenia i wychowania.

Tradycją w Waszej klasie stało się kompletowanie corocznie „Tek literackich“, na które składały się Wasze sprawozdania, listy, nowelki, wiersze i fotografie.

Uważam je za pożyteczne. Zachęcały one bowiem do wypróbowania własnych sił.

W rozmowie z Wami poza nauką szkolną, a więc na posiedzeniach kółek, na wycieczkach, słowem wtedy, kiedy byliście inni, niż na godzinach lekcyjnych, niejednokrotnie wyjaśniałem wiele spraw i przedstawiałem je we właściwym oświetleniu, względnie powoływałem się na tę lub ową książkę. Książka, skłaniała Was do dalszego zastanawiania się nad różnymi zagadnieniami, uczyła kochać życie, dodawała fantazji skrzydeł, normowała i nadała życiu sens.

Jako opiekun klasowy wszystkie zabiegi wychowawcze, stosowane przez siebie lub swych Kolegów, PP. Profesorów, koordynowałem, wiązałem je z całokształtem życia szkolnego.

Wyrabiając sobie opinię o każdym z Was na podstawie odkrycia osobowości, zanotowałem wiele faktów zaobserwowanych, aby zużytkować je w pracy nad dalszym podnoszeniem poziomu wychowawczego i naukowego Gimnazjum. Wiadomości zebrane służyły mi za cenny materiał do opracowywania nowego planu pracy wychowawczej i dydaktycznej.

Wiara w możliwości osiągnięcia zamierzonych celów pozwalała mi spojrzeć na swą pracę od strony twórczej, świadomość zaś, iż pracuję w bardzo znamienitych czasach przejściowych, w czasach przekształcania psychiki starego człowieka na wolnego obywatela dodawała mi sił i uwielokrotniała moją żywotność.

Jan Gaciński
Opiekun klasowy



STATUT SAMORZĄDU KLASOWEGO, uchwalony przez uczniów, uczęszczających w roku szkolnym 1932/33 do kl. V-ej Państwowego Gimnazjum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Białymstoku

Art. I. Nazwa i siedziba.

- § 1. Samorząd nosi nazwę „Ogniwo”.
- § 2. Siedziba „Ogniwa” — Państwowe Gimnazjum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego — w Białymstoku.

Art. II. Celem „Ogniwa” jest organizacja życia klasy.

- § 1. Wzmoczenie życia koleżeńskiego klasy.
- § 2. Uspołecznienie członków „Ogniwa”.
- § 3. Samopomoc koleżeńska uczniów, należących do „Ogniwa”.
- § 4. Pomoc koleżeńska wogóle.

Art. III. Celem zorganizowania życia klasy Zarząd „Ogniwa” zajmie się:

- § 1. Przestrzeganiem porządku w klasie (estetyczny wygląd klasy).
- § 2. Regulowaniem życia klasy.
- § 3. Organizowaniem zebrań towarzyskich.
- § 4. Organizowaniem wycieczek.
- § 5. Opracowywaniem tematów społecznych (referatów).
- § 6. Opracowywaniem tematów aktualnych.
- § 7. Estetycznym rozbiorem utworów literackich.

Art. IV. „Ogniwo” niesie pomoc doraźną swym członkom i uczniom innych klas gimnazjum.

- § 1. „Ogniwo” bierze udział w całokształcie życia koleżeńskiego Gimnazjum.

Art. V. Członkowie, ich prawa i obowiązki.

- § 1. Członkami „Ogniwa” są wszyscy uczniowie klasy, która założyła „Ogniwo”.

§ 2. Każdy członek „Ogniwa” ma prawo wyboru czynne i bierne.

§ 3. Każdy członek „Ogniwa” jest obowiązany do płacenia składek w terminie przewidzianym przez Walne Zebranie.

§ 4. Każdy członek „Ogniwa” jest obowiązany czynnie i ochoczo popierać wszelkie imprezy klasowe.

§ 5. Każdy członek „Ogniwa” jest obowiązany znać i przestrzegać Statut „Ogniwa”.

§ 6. Każdy członek „Ogniwa” jest obowiązany uczęszczać na Walne Zebrania i Zebrania Nadzwyczajne „Ogniwa” oraz brać żywy udział w obradach.

Art. VI. Władze organizacji.

§ 1. Najwyższą władzą „Ogniwa” jest Walne Zebranie członków, odbywające się cztery razy do roku:

- a) wyborcze na początku roku szkolnego,
- b) dwa w ciągu roku szkolnego,
- c) sprawozdawcze w końcu roku szkolnego.

§ 2. Sprawami organizacyjnymi „Ogniwa” kieruje Zarząd, składający się z 6-ciu członków, wybieranych przez Walne Zebranie na przeciąg 1-go roku.

Art. VII. Walne zebrania.

§ 1. Termin i porządek dzienny obrad Walnego Zebrania muszą być podane do wiadomości członków najpóźniej na jeden dzień przed Zebraniem.

§ 2. Do kompetencji Walnego Zebrania należy:

- a) wybór Zarządu,
- b) wybór Komisji Rewizyjnej,

- c) udzielenie absolutorjum ustępującemu Zarządowi,
- d) uchwały Walnego Zebrania zapadają większością $\frac{2}{3}$ głosów.

Art. VIII. Skład Zarządu, jego prawa i obowiązki.

§ 1. Zarząd składa się z 6 członków, wybranych przez Walne Zebranie:

- a) prezesa,
- b) vice-prezesa (kierownika „Teki literackiej”, kronikarza),
- c) sekretarza,
- d) skarbnika,
- e) gospodarza klasy,
- f) bibliotekarza.

§ 2. Najpóźniej w ciągu tygodnia od wyboru Nowego Zarządu Nowy Zarząd zwołuje zebranie Zdawczo-odbiorcze, któremu przewodniczy prezes ustępującego Zarządu. Na Zebraniu tem następuje podział funkcji między członków Nowego Zarządu oraz protokółarne przyjęcie agend od Zarządu ustępującego.

§ 3. Członkowie Zarządu są odpowiedzialni przed prezesem za bieg spraw swych działów.

§ 4. Prezes:

- a) reprezentuje organizację na zewnątrz i nadaje ogólny kierunek pracom koła,
- b) układa wraz z Zarządem program pracy na Zebraniu Zarządu i dba o wykonanie programu,
- c) zwołuje Zebranie Walne i Zebranie Zarządu,
- d) proponuje kandydatów na przewodniczących Zebrań Walnych, Zebrań sprawozdawczych i wyborczych,
- e) kontroluje prace poszczególnych działów,
- f) podpisuje protokoły,
- g) wydaje zlecenia wypłaty, opierając się na uchwałach Zarządu,
- h) przechowuje oryginał statutu „Ogniwa”.

§ 5. Vice-prezes — zastępuje prezesa w razie jego nieobecności, przysługują mu wtedy wszystkie prawa prezesa. Vice-prezes jest:

- a) kierownikiem „Teki literackiej” — ocenia prace literackie, nadsyłane na jego ręce,
- b) kronikarzem —

§ 6. Sekretarz —

- a) sporządza protokoły zebrań i daje je prezesowi oraz Opiekunowi do podpisu.

§ 7. Skarbnik —

- a) zarządza skarbowością „Ogniwa”,
- b) prowadzi księgi: kasową, składek, dłużników, teczki rachunków i kwitów,
- c) uiszcza wypłaty na zlecenie prezesa.

§ 8. Gospodarz — dba o estetyczny wygląd klasy.

§ 9. Bibliotekarz — prowadzi bibliotekę klasową.

Art. IX. Ważność dokumentów i prawo podpisu dokumentów.

§ 1. Wszelkie dokumenty i zobowiązania „Ogniwa” są ważne z chwilą stwierdzenia ich czytelnym podpisem prezesa, sekretarza i Opiekuna „Ogniwa”.

Art. X. Komisja Rewizyjna.

§ 1. Komisja Rewizyjna składa się z 3-ech członków:

- a) przewodniczącego,
- b) dwóch członków, wybieranych przez Walne Zebranie.

§ 2. Komisja Rewizyjna zbiera się dla kontroli dwa razy do roku i przeprowadza kontrolę działalności Zarządu „Ogniwa”.

Art. XI. Członkowie „Ogniwa”, niepodporządkujący się przepisom w myśl statutu „Ogniwa”, będą odpowiedzialni przed Zarządem.

Art. XII. „Ogniwo” podlega całkowicie zarządzeniom Dyrekcji Gimnazjum i podporządkowuje się przepisom szkolnym.

Statut w powyższym brzmieniu staje się prawomocny po zatwierdzeniu go przez Dyrekcję Gimnazjum i przez Walne Zebranie członków „Ogniwa”.

Dyrektor P. G. im. M. J. P. w Białymstoku

(—) *Dr. Wacław Kwapiński*

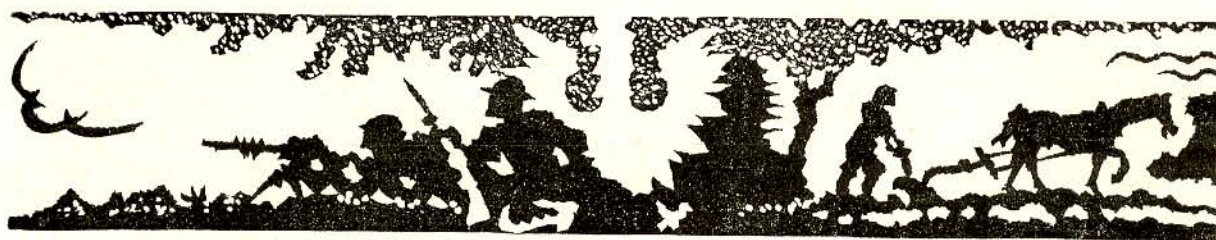
Opiekun klasowy

(—) *Jan Gaciński*

Prezes (—) *Wiktor Sałata*

Sekretarz (—) *Stanisław Jukowicz*

Białystok, dn. 29.III., 1933 r.



NA DZIEŃ 11. LISTOPADA

Po przeszło wiekowej niewoli i niedużych próbach odzyskania utraconej wolności naród polski nie wyrzekł się prawa do wskrzeszenia państwa, przeciwnie, rósł, męźniał i wierzył, że nadejdzie chwila wyzwolenia.

I znalazł się Mąż, który poprowadził w bój garstkę młodzieży „człowiek, którego imię stało się symbolem ideału, wcielonemu w czyn—obywatel Józef Piłsudski“.

Pod jego rozkazami poszły legiony w bój, drogą poświęceń, bohaterstwa i ostrzem bagnetu skreśliły nową kartę w historii narodu naszego.

I powstała znowu nowa, wysniona przez wieszczów, wielka Polska Zjednoczona i Niepodległa.

Dzień 11 listopada 1918 roku dał nam ponownie możność swobodnego działania i stworzył państwu istotne warunki niepodległości. Rozpoczął okres wytrwałej i nieustannej pracy od podstaw, pracy dla niepodległego państwa i narodu polskiego we wszystkich dziedzinach jego zbiorowego życia. Kapitał moralny młodej Polski stał się podłożem, na którym miało zakiełkować i rozkwitnąć całe życie gospodarcze i polityczne. Ludzie, zaprawieni do służby państwowej długoletnią walką o zdobycie niezależności, ludzie, którzy nauczyli się poświęcać cały swój wysiłek państwu, zapominając o własnych interesach, potrafili zdobyć dla Polski samodzielność gospodarczą i polityczną. Ale to dzieło odbudowy wolnego państwa jeszcze nie jest skończone, jeszcze nie czas dać w „fanfary triumfu“.

Odrodzona Polska podjęła pracę olbrzymiej, którą skierowała na drogę wła-

ściwego i naturalnego rozwoju. Nieustanny czynnik twórczo-gospodarczy niweluje nasze braki i z każdą niemal chwilą dostarcza nam nowych narzędzi produkcji, pozwalających panować nad żywiołami i przyrodą. Polityka gospodarcza ma stwarzać jak najlepsze warunki zamiany narastających stale kapitałów na „nowe narzędzia wytwórczości przemysłowej“, ma czuwać, by rozwój gospodarczy nie był jednostronny, by „nie pozbawiał Polski maximum możliwej do osiągnięcia równowagi wewnętrznej, nie czynił z polskiego organizmu gospodarczego przybudówki do innej, większej, obcej całości“, by naczelnym jej celem był rozwój potęgi państwa, by wszystkie środki były zużyte w sposób najbardziej ekonomiczny, celowy.

Naczelne i właściwe idee gospodarcze—to wysiłek myślowo-organizacyjny całego społeczeństwa, które narzuca coraz większe zadania ekonomii państwowej, będącej podmiotem zasadniczym w gospodarstwie Polski.

Harmonja zasad polityki gospodarczej i pokierowanie jej w myśl potrzeb ogółu świadczy o ofiarnej, zgodnej i wydajnej pracy całego społeczeństwa wśród spłotu potężnych, licznych, nowych i nieoczekiwanych trudności.

Młoda Polska dostosowała metody pracy i organizacji do życia, wpoila w powszechną świadomość zrozumienie racjonalnej gospodarki Polski, dla której polityka gospodarcza jest częścią ważnej i rozległej polityki narodowej.

Dziś już państwo nasze rozporządza całym szeregiem środków, prowadzących do oświecenia Polski, coraz większe połacie kraju zużytkowane są pod uprawę,

coraz więcej bagien osuszonych, pól zdrenowanych, piasków zalesionych, coraz gęstsza sieć dróg bitych i żelaznych przecina ziemię polską, coraz więcej rzek uregulowanych toczy swe wody ku Bałtykowi, dookoła którego skoncentrowały się dzisiaj niemal wszystkie problemy gospodarcze. Od ich rozwiązania zależy los i byt narodu i państwa. Spiętrzone i splątane trudności sytuacji gospodarczej 32 milionowego narodu, cisnącego się do tego małego skrawka wybrzeża, są powoli usuwane. Z milionów mieszkańców czyni się stałych konsumentów, węgiel przerabia się na energię elektryczną, z płodów rolnych i surowców powstają, wyroby gotowe, wśród bezdroży powstają, nowoczesne drogi, a wszystko wywołane jest tą fizyczną koniecznością, tym nieodpartym przymusem wobec odpowiedzialności za przyszłość narodu. Pod naciskiem tych konieczności gospodarczych zaczął powoli realizować się program morski i dziś nie zawstydzimy się, spoglądając wstecz na nasz dorobek na polskim wybrzeżu. Przed kilkunastu laty zastaliśmy na wybrzeżu ławice piasków i pustkowia, a dziś wznoszą się tam potężne, nowoczesne urządzenia najlepszego portu nad Bałtykiem — Gdyni.

„Każdy, kto czuje się Polakiem, — woła Eug. Kwiatkowski — każdy, kto pragnie dobra własnego narodu, jego istotnej niepodległości, każdy, kto wierzy, że przyszłość gospodarcza nasza będzie lepsza, zna to słowo Gdynia”.

Jest to nie tylko młody port, rywalizujący ze starymi nad Bałtykiem, ale jest w nim coś więcej, coś, co pociąga i przykuwa dusze Polaków, jest to program pracy naszej na całe lata, jest to symbol naszej niezłomnej, ciągłej i owocnej pracy, jest to „ofiara dzisiejszego pokolenia na rzecz pokoleń przyszłych, to nierozdzielna więź między Pomorzem a całą Polską po najdalsze jej kresy”. Ale nie tylko uruchomienie portu jest sprawdzianem akcji morskiej dzisiejszej Polski, nie tylko nagromadzenie instytucji rządowych i samorządowych, handlowych i przemysłowych, ale zapoczątkowanie własnej floty handlowej i wojennej, powstanie pierwszych stałych linii okrętowych i cały szereg innych zagadnień, dotyczących się naszej polityki morskiej, a będących wytworem ducha polskiego i przywiązania Polaków całą duszą i sercem nie tylko do ziemi, na której żyjemy, ale do małego, polskiego i bardzo drogiego morza.

Naród polski wykazał swój ogromny hart ducha i czynu, wykazał swą siłę przetrwania, swoje wyrobienie obywatelskie i poczucie solidarności społecznej. Ta współpraca społeczeństwa z państwem i rządem ujawniła się w powszechnym powodzeniu Pożyczki Narodowej.

I wzrasta powoli nowoczesne, silne państwo polskie. We wszystkich dziedzinach zagadnień gospodarczych i społecznych dokonaliśmy bardzo wielkiego wysiłku. Wszelkie ustawy, tradycje, słaby stopień uprzedmiotowienia i rozwoju społecznego, zostawione nam w spadku po zaborcach, zostały usunięte. W szybkim tempie zbudowane ramy ustroju społecznego zdziałały to, że Polska zajęła jedno z czołowych miejsc wśród państw, które w myśl traktatu wersalskiego przystąpiły do polepszenia warunków pracy robotników. Wraz z okresem tworzenia się państwa postępował okres tworzenia się praw, które miały usunąć dotychczasową niesprawiedliwość społeczną z młodej Polski. Wprowadzono w życie ustawę o ochronie macierzyństwa robotnicy, o bezpieczeństwie pracy, o higienie i zapobieganiu chorobom zawodowym, o opiece Ubezpieczalni Społecznej nad młodzieżą pracującą. Wprowadzenie 8-io godzinnego dnia pracy i całego szeregu innych ulg świadczyły, że powstająca Polska szukała oparcia o cały naród, o wszystkie warstwy, że tylko dobrobyt całego społeczeństwa zadecyduje o potędze Polski.

Życie gospodarczo-społeczne rozwijało się pomyślnie i nie załamało się w czasie wszechświatowego kryzysu gospodarczego, który nie ominął i Polski. Wprawdzie zaciężał na naszym życiu gospodarczym i wywołał widmo bezrobocia, ale dzięki rządowi, który stanął do walki o dalsze losy pracy i łagodzenia tych walk społecznych, utrzymuje się wewnętrzna równowaga państwa.

Niemniej żywiołowo rozwijały się prace nad odbudową gospodarstw rolnych, zniszczonych przez wojny i długie lata niewoli. Państwo wzięło w opiekę warsztaty rolne, ponieważ one stanowią źródło wyżywienia i zaopatrzenia całego narodu, stanowią siłę i dobrobyt państwa. Prace scaleniowe i melioracyjne doprowadziły do stworzenia gospodarstw, zdolnych do intensywnej produkcji, odpornych na ciosy kryzysu, będących największym producentem artykułów rolnych i zarazem odbiorcą artykułów przemysłowych. Zagadnienie reformy rolnictwa pchnęliśmy naprzód. Dobrze rozwiązane zagad-

nienie gospodarcze stanowi bowiem nierozłączny składnik naszej siły politycznej i jest wskaźnikiem, że trudności gospodarcze są coraz łatwiejsze do zwalczenia.

Niemniejsze znaczenie posiada walka o nową kulturę polską, walka z naleciałościami obcemi. Niemal z niczego powołaliśmy do życia szkolnictwo od szkół powszechnych aż do wyższych uczelni, kształcące kilka milionów młodzieży. Mamy wybitnych pisarzy, uczonych, pracujących w Akademii Literatury Polskiej, wydajemy nowe ustawy o ustroju szkolnictwa, usuwamy to, co jest przeżytkiem, a wszystko czynimy z myślą o lepszej przyszłości państwa naszego. Już od chwili odzyskania niepodległości stanęliśmy do konkurencji w wyścigu dziejowym wraz z innymi państwami Europy. Ogrom problemów stanął przed odrodzonym państwem. Nowy statut Europy, stworzony w wyniku wojny światowej, a przekazany Lidze Narodów, pozostawił wschód Europy jeszcze w chaosie. Położenie nasze było złe. Narzucono nam pewne zobowiązania jednostronne. Klasycznym tego przykładem był sposób stosowania przez długie lata traktatu o ochronie mniejszości narodowych. Rząd polski zwracał się kilkakrotnie z apelem do przedstawicieli innych rządów, wzywając, aby zgodziły się na przyjęcie jednolitej i powszechnej kontroli nad sposobem traktowania mniejszości narodowych. I wreszcie dnia 13 września 1934 r. padają jak grom stanowcze słowa ministra Józefa Becka: „Obecny system gwarancji praw mniejszości przez Ligę Narodów i jej organy jest dziwołagiem, który powstanie swe zawdzięcza przypadkowej grze sił i opiera się na politycznych paradoksach... Poczuję się do obowiązku oświadczenia

już dziś w imieniu rządu polskiego, że do czasu wprowadzenia w życie powszechnego, jednolitego systemu międzynarodowej ochrony praw mniejszości, rząd polski nie będzie od dnia dzisiejszego współpracował z organami międzynarodowymi w zakresie kontroli nad stosowaniem przez Polskę zasady słusznego i równego traktowania mniejszości.”

Spółeczeństwo poparło swą postawą wystąpienie min. Becka. Poczuliśmy już swą siłę. Cel przed nami wyraźny i jasny, a środki, któremi rozporządzamy, są istotnie duże. Odbudowaliśmy już własnymi siłami Polskę, stworzyliśmy sprężystą administrację, co jest w dużej mierze zasługą ś. p. min. Br. Pierackiego, zawarliśmy pakt o nieagresji z Sowietami i Niemcami, zawarliśmy dużo korzystnych traktatów handlowych, zapoczątkowaliśmy odbudowę kredytu długoterminowego, rozszerzyliśmy akcję oszczędnościową, zorganizowaliśmy cały szereg wytwórni, pracujących w różnych dziedzinach, stworzyliśmy własne sądownictwo, przeprowadziliśmy unifikację praw, stworzyliśmy doskonałą armję, zorganizowaną i wyposażoną należycie oraz podstawy dla rozwoju lotnictwa.

I dziś możemy poszczycić się osiągnięciami rezultatami, jesteśmy narodem silnym, zwartym, nie damy się zbić z tropu podstępą polityką sąsiadów, owszem, w każdej dziedzinie staramy się wybić na czoło, a ostatnie zwycięstwa — Bajana w turnieju lotniczym i Hynka w zawodach balonowych, które rozśławiły imię Polski na cały świat, będą bodźcem do twórczej pracy nad rozbudową Mocarstwowej Polski.

Witold Żur
Kl. VII.

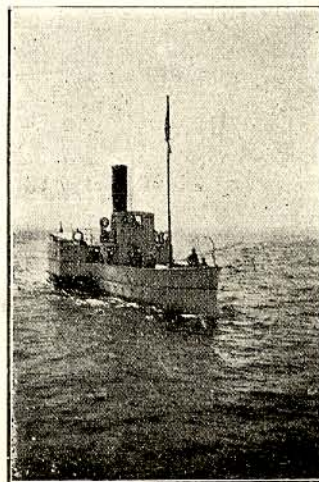
TRZECI MAJ

Majowe słońce wstało nad Warszawą,
Złocąc promieniami gmachy, ulice.
W odświętną szatę przybrano stolicę —
Cisza. Aż hen, od zamku z wielką wrzawą
Podniósł się w niebo krzyk ludu radosny
I dział wiwaty echem się rozniosły,
Jako grzmot lodów pękających z wiosny,
Jako szmer lasu poważny i wzniosły.
Naród się cieszy i wiwaty wznosi,
Dźwięczy muzyka, lica szczęściem płoną,
W zgodzie braterstwa dawne wady toną,
Bo nowe życie Konstytucja głosi.
Wstrząsnął się naród, wejrzał w własne winy
I przerażony przepaścią zagłady,
Odnalazł w sobie skutki zła, przyczyny
I, chcąc je zmazać, szukał na nie rady.
Miłość i zgoda brata wszystkich ludzi,
Niema już różnic, niema żadnych stanów,
Braterstwo łączy szlachtę, lud i panów.
Nowa się Polska do życia już budzi.
Rozpostarł skrzydła polski orzeł biały
I dumnym lotem wzniosł się ponad chmury
I hen, nad śnieżne naszych Karpat góry
Głosi hymn światu zwycięstwa i chwały.
Leć, ty nasz orle zwycięski, w zawody!
A z tobą serca młodych niech się wzbiją,
Niechaj uczują w sobie zew swobody,
Niechaj poznają, że naprawdę żyją.
Po wszystkie czasy w sercach ludu żyje
Ten dzień radosny, ów dzień zmartwychwstania,
Bo ileż wzniosłych wartości on kryje,
Bo ileż uczuć przed nami odsłania!
Dziś niechaj w niebo krzyk radosny płynie,
Niech z piersi naszych rwie się pieśń zwycięstwa,
Niechaj nam smutek, troska z czoła zginie...
I zabrzmi hejnał potęgi i męstwa.

Wiktor Sałata
Kl. VI.

Morzel...
Ty, które szumem błękitnych fal
Kołyszysz do snu prastare Pomorze
O, polskie morze,
Nieś tę pieśń w dal...
Pieśń o białym Orle chwały,
O zwycięstwie skrzydeł młodych
Ponad obce lądy, skały,
Ponad wielką, siną wodę
Ponieś pieśń wielkości...
Ponieś warkot silników i szum żagli białych,
Ponieś dźwięk młotów Gdyni i łoskot żorawi,
Ponieś siłę młodości.
Niech się imię Polski rozślawi...
Na sinych grzbietach fal,
Na burej ich krawędzi,
Niech płynie w dal,
Niech biegnie z szumem fal,
Mknie wszędzie...
O morze,
Co nowe rozpalasz zorze,
Co niecisz blaski świetlanej przyszłości,
Hołd składamy w pokorze,
Ślubujemy ci wierność i w pracy wytrwaniu!
Na wydmach i piaskach wybrzeża,
Potęgi naszej Polski
I Jej wielkości
Wiekowy pomnik staniel

Wiktor Sałata
Kl. VIII.





PRZEMÓWIENIE DO KOLEGÓW Z OKAZJI SZESNASTOLECIA ODZYSKANIA MORZA

Szesnaście lat mija od owej chwili, kiedy Polska odzyskała dostęp do morza.

Idąc śladami dawnych Bolesławów, śladami tych, którzy zakładali pierwsze zręby pod gmach przyszłej Rzeczypospolitej, walczyliśmy o dostęp do morza. Już pierwsi władcy polscy doceniali wielkość i znaczenie morza dla rozwoju państwa. Oni to przekazali nam owe wielkie dziedzictwo, cel swych trudów i walk, abyśmy wszelkimi siłami starali się mieć własne, wolne morze.

I dane nam zostało, że dziś możemy oddychać pełną piersią, wchłaniać ów rześki i swobodny wiatr od morza, krzepić i rozwijać organizm państwowy.

Ten żywy twór myśli i pragnień wielu panujących, źródło mnóstwa trosk i niepokojów wielkich ludzi, stał się dla nas tworem nowego życia, dziedziną nowej, lepszej przyszłości.

Podejmując myśl i dążenia pionierów dostępu do morza, z chwilą odzyskania morza musimy dalej kontynuować genialną myśl silnego oparcia się o to morze.

Musimy stanąć twardą stopą na tym skrawku wybrzeża, a na lotnych piaskach i wydmach Bałtyku, na morskiem pobrzeżu, wzniesć mur potężny, którego żadna moc nie złamie.

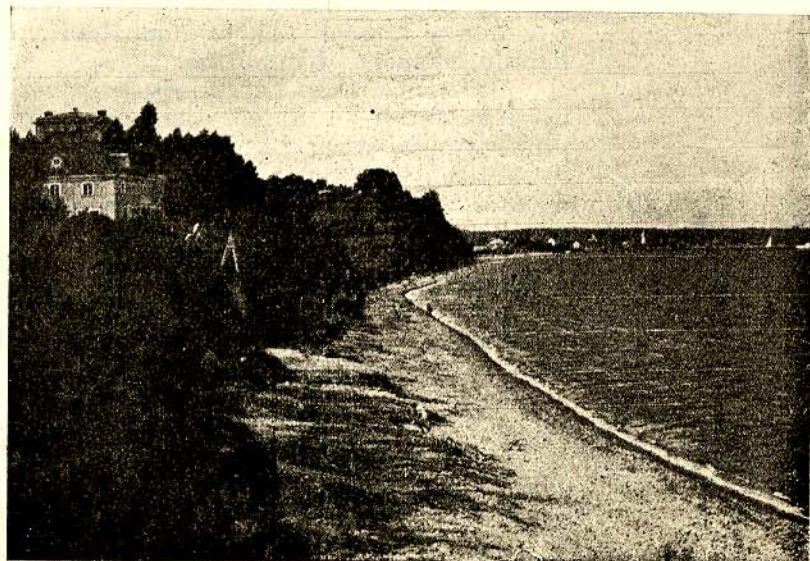
Musimy mieć statki, torpedowce i kontrtorpedowce, łodzie podwodne, pancerniki i krążowniki, musimy lotem żagli-jaskółek roznieść po szerokim świecie naszą potęgę i wielkość.

Zadania te kontynuuje i wprowadza w czyn istotny silna i z każdym rokiem rozwijająca się organizacja — L. M. K.

Ona to, jako organizacja państwowa, prowadzi wielkie dzieło pierwszych bojowników o morze, dzieło propagandy, uświadamiania szerokich warstw społeczeństwa, szerzenia prawdziwego zamiłowania do życia na morzu i pracy dla państwa w oparciu się o morze.

Prace L. M. K. dotyczą spraw morza, żeglugi śródlądowej, wychowania wodnego młodego pokolenia i ekspansji zamorskiej zarówno ludzkiej, jak i gospodarczej. L. M. K. interesuje się rozwojem pracy polskiej na Bałtyku, rozwojem Gdyni, obroną wojenną Pomorza, przeprowadza zbiórki na naszą marynarkę wojenną. Liga bierze na siebie całą techniczną stronę zbiórki Funduszu Obrony Morskiej — (F. O. M.). L. M. K. opiekuje się marynarzami, zakłada „Domy Marynarza” w Gdańsku i Gdyni, utrzymuje kontakt i niesie pomoc Polskiej Macierzy Szkolnej w Gdańsku, udziela stypendjum dla uczniów szkoły morskiej, organizuje akcje wycieczkowe na wybrzeże, utrzymuje żywą łączność z pokrewnymi instytucjami w państwach sprzymierzonych bałtyckich i słowiańskich. L. M. K. organizuje „Święta Morza” (pierwsze w r. 1932 w Gdyni).

L. M. K. wreszcie wysuwa hasła wzmożenia naszej ekspansji na tereny zamorskie, wykorzystania dla kraju olbrzymich sił żywotnych, jakie reprezentuje Polonja Zagraniczna i organizuje zbiórki na „Fundusz Kolonjalny”.



Cel i zadania L. M. K. są wielkie i doniosłej wagi, dlatego więc powinniśmy mieć zrozumienie dla owych poczynań, zrozumienie, oparte na współpracy, na współdziałaniu.

Prawie we wszystkich szkołach średnich są szkolne koła L. M. K., a w większych miastach i ośrodkach skupienia ludzi istnieją lub też organizują się okręgi L. M. K., podlegające głównej centrali w Warszawie.

Mamy obszerne pole do działania, tu możemy wykazać nasze zrozumienie, naszą dojrzałość państwową, szerząc wśród kolegów, wśród starszych i tych, którzy są jeszcze nieświadomieni, propagandę handlu z innymi państwami.

Przypatrzmy się tylko, czego dokonano już dzięki wytrwałej i usilnej pracy.

Gdynia jeszcze do 1920 r. była małą osadą rybacką. Za rządów Marszałka J. Piłsudskiego, za interwencją inż. E. Kwiatkowskiego, ministra przemysłu i handlu, rozrost Gdyni i budowa portu wzrasta w błyskawicznym niemal tempie.

Dzisiaj Gdynia jest już wielkim portem w całym tego słowa znaczeniu. Jako port najmłodszy jest najbardziej nowoczesnym portem na świecie. Obok portu w miejscu, gdzie przed 10 laty jeszcze wznosiła się niewielka wieś rybacka, wyrasta w tempie amerykańskim nowe miasto portowe—Gdynia, liczące dzisiaj już przeszło 50,000 mieszkańców.

Dzięki usilnej pracy, dzięki funduszom L. M. K. mamy już dość okazałą flotę handlową i wojenną oraz statki szkolne. I tak — statek szkolny „Dar Pomorza”, okręt szkolny „Bałtyk”, żaglowiec szkolny „Iskra”. Następnie posiadamy parowce transatlantyckie — „Polonia”, „Kościuszko”, „Pułaski”, m/s. „Piłsudski”. W r. 1932 przybyły cztery statki pasażersko-towarowe — „Śląsk”, „Cieszyn”, „Lwów”, „Lublin”. Obecnie w stoczni włoskiej budują nam statek m/s. „Batory”. Z jednostek wojennych posiadamy holownik „Pomorzanie”, dwie kanonierki — „Komendant Piłsudski” i „Generał Haller” (po 350 tonn); cztery trałery po 200 tonn — „Mewa”, „Rybitwa”, „Czajka”, „Jaskółka”; pięć torpedowców — „Mazur”, „Podhalanin”, „Krakowiak”, „Ślązak”, „Kujawiak” — (340—420 tonn); kontrtorpedowce „Wicher” (1540 tonn), „Burza”; trzy łodzie podwodne „Wilk”, „Rys” i „Żbik”. Widzimy z tego, czego już dokonano dzięki własnym siłom, pracy żmudnej i wytrwałej i ofiarności polskiego społeczeństwa.

Słusznie wyraził się generał Orlicz-Dreszer, że „morze nie dość jest kochać, trzeba umieć nim władać”. Uczymy się właśnie nim władać, krzepimy swe młode siły i próbujemy ich wytrwałości. Szczególnie my, młodzi, którzy kiedyś staniemy się spadkobiercami puścizny naszych ojców, musimy wyrabiać w sobie drogą pracy żmudnej i wytrwałej świadomość potrzeby współpracy dla państwa, świadomość potęgi państwa, opartej na morzu, świadomość umiejętnej władania morzem.

W epoce zbrojenia się naszych sąsiadów, w dobie wzrastania w potęgę militarną całej Europy i mocarstwa na drugiej półkuli — Ameryki, w chwili wyścigu pracy dla wzmocnienia swych państw, musimy oprzeć się na dwóch czynnikach naszej potęgi: na morzu i na śmigłach naszych silników.

Musimy wybrzeże Bałtyku otoczyć murem portów handlowych i wojennych, murem serc gorących naszych polskich ukochanych marynarzy.

Niech z piosnką na ustach na falach morza poniosą w świat szeroki cześć i sławę, potęgę naszej ojczyzny.

„Musimy” — słowo to ma moc tworzenia, ma siłę krzepienia i hartowania naszej woli, zaprawiania nas do pracy wielkiej, do realizowania naszej przyszłej potęgi i świetności.

W tę szesnastą rocznicę prawdziwie wielkiego dla nas Polaków święta odzyskania morza musimy dobrze uświadomić sobie ważność owej chwili dziejowej i złożyć ślubowanie wytrwania w pracy i umocnienia się na morzu.

Dla nas, Polaków, morze ma szczególnie wielkie znaczenie drogi na świat, wyjścia na szeroki gościniec wód innych oceanów, znaczenie obronne na wypadek wojny. Ono wreszcie w czasach pokoju umożliwi nam pomyślny rozwój ekonomiczny na drodze handlu, eksportu i importu.

Tak więc, Koledzy, niech każdy z Was weźmie sobie głęboko do serca te słowa, niech przejmie się nimi, nabierze zrozumienia i należycie ustosunkuje się do idei, propagowanej przez L. M. K. czynnym popieraniem jej zamierzeń.

Niech nie będzie w przyszłości w Polsce obywateli, którzyby nie umieli docenić wielkości i znaczenia morza dla pomyślnego rozwoju naszej Ojczyzny.

Wiktor Sałata
kl. VIII.



M O R Z E

Aż na liljowy cień do skał nadbrzeżnych
Miętko, pieszczotliwie pędzi grono fal —
Krasawice cudne, w piany sukniach śnieżnych...
Potem znów wracają w niebieskawą dal
I całują skały, zimne i ponure,
Szepcą dziwną bajkę kolorowych snów,
Szepcą ciągle wieczne, piękne morza córy
Dużo nieuchwytnych i srebrzystych słów...
A odchodząc w dale, głębie niezgłębione,
Zostawiają perły i koralów skry.
Szepcą zawsze bajki dziwnie roztęsknione,
Takie, jak te smutne, niebieskawe mgły.

Mikołaj Kortt
KI VIII.

PRZED BURZĄ

Czarne się chmury po niebie rozlały,
Jak oceanu wód niezmierne fale.
W śmiertelnej trwodze pogrążon świat cały,
Nie słysząc głosu, niema życia wcale.

Wszystko ze strachem i obawą czeka,
Co czarne chmury ze sobą przyniosą.
Nigdzie nie widać ni ptaka, ni człeka,
Wszystko się skryło, jak przed śmierci kosą.

Wtem nagle wichur zerwał się straszliwy,
Targnął powietrzem i drzew wierzchołkami,
Jakby chciał zniszczyć, zabrać z sobą niwy,
Ponieść je razem z ciemnymi chmurami.

Czarne się chmury kottują i kłębią.
I wichur straszny okropnie się sroży;
Coś wściekle wyje ponad mroczną głębią,
Jakby nad ziemią zawisnął Sąd Boży.

Stanisław Kropiewnicki
Kl. VI.



Ż W I R K O i W I G U R A



az, w nadwieczornej porze miałem słuchawki na uszach. Był mrok, nie mogłem nic innego robić, a nie chcąc się oddawać bezgrzesznej nudzie, słuchałem wieści ze świata. Mknęły ku mnie na falach eteru zdaleka, hen... z Warszawy.

Coś trzeszczało, jakiś wstrząs głuchy, niby ryk wzburzonego morza... To nie ryk morza, to okrzyki tysiąca tłumów, zebranych na Polu Mokotowskim.

Warszawa — Mokotów — Żwirko.

A... to ten sam Żwirko.

Żwirko — zwycięzca lotu okrężnego. Pobił Czechów i Włochów, pobił Francuzów i Niemców...

Zwycięzca Europy. Żwirko i Wigura. Te dwa imiona splotły się w jakieś nierozzerwalne ogniwo. Pilot i mechanik — Żwirko i Wigura.

Zwycięzcy! Zwycięzcy! Zwycięzcy!

Żwirko przylata z Poznania do Warszawy. Tysięczne tłumy, zebrane na Polu Mokotowskim, oczekują na przybycie.

Żwirko! Żwirko! Żwirko!

Słowo to wwierca się nieubłaganie w jaźń mej duszy, przebija wskroś całe moje jestestwo i nic — tylko to jedno słowo: Żwirko!

Kilkunastotysięczny tłum śpiewa hymn pochwalny, a refrenem każdej zwrotki jest — Żwirko.

Przyleciał... Hałas, krzyki, nawoływania, głuchy warkot motorów, ryk syren, różne melodje orkiestr, a wszystko miesza się i pod niebo leci jeden krzyk potężny — Żwirko! I nic więcej nie słyszałem. Napróżno wyteżalem słuch, napróżno tłumiłem oddech w piersi, chciałem usłyszeć, jak będzie przemawiał ten wielki lotnik-Zwycięzca. Ale napróżno. Mikrofony wśród rozentuzjasmowanego tłumu nie mogły

działać należycie. Fala ludzka porwała Zwycięzcę na ramiona, zalała go druga fala kwiatów i ponieśli go gdzieś w radosnym szale i nie znowu tylko jeden potężny wrzask rozszalałego tłumu: Żwirko, Żwirko, Żwirko...

I rosła z dnia na dzień jego sława i jego znaczenie. Imię Żwirki było na ustach wszystkich. Dzień w dzień gazety przynosiły jakieś nowe wieści o zwycięzcy, jakieś sprawozdania, opisy i wywiady, jakieś nowe pogłoski. Teraz rozprzegły się natężone umysły wszystkich, którzy z bijącym sercem patrzyli na ów lot bohaterski polskich zawodników, radość nawskroś przepełniła serca, radość szalona, nieokiełznana, pełna wolności i swobody.

Idąc do szkoły w parę dni po owych wielkich triumfach w lotnictwie, oglądałem różne afisze na parkanach przedstawiające Żwirkę, różne zapowiedzi o sensacyjnych pamiętnikach pióra samego lotnika w najbliższych numerach „Dziennika Białostockiego”. Żwirko miał opisywać swój lot okrężny naokoło Europy i swój niebywały sukces.

Jak grom z jasnego nieba, pada wieść: Żwirko i Wigura nie żyją! Zginęli śmiercią tragiczną, lecąc do Pragi Czeskiej na wielki turniej lotniczy.

Co za ironja losu, co za ironja...

I już nie żyją, już ich niema. Już oczy ich zagasły na wieki nie ujrzą Ojczyzny; serca ich zamarły na zawsze, już nie zabijają przyspieszonym tętnem tak jak wtedy, gdy do uszu ich dobiegały entuzjastyczne okrzyki i wiwaty. Odeszli w dal bezpowrotnie, pograżając naród cały w żałobie. Zabłyśli nagle, jak dwa meteory na niebie, które rozłśniły się wśród mroków nadziemskich i... zgasły.

O sławo, sławo zwodnicza!...

Jakże krótką radością poili swe serca, jakże mało użyli — i poznali całej twej potęgi i mocy. Nagła śmierć zabrała dwa młode istnienia. Już odeszli, nie żyją...

Nie wierzyłem sam sobie. Nie mogłem się przekonać, czy to doprawdy mogłoby tak być. Dopiero czarne żałobne szpalty gazety upewniły mnie, że tak jest rzeczywistość.

— — — — —

Już odeszli w zaświaty, pogrążyli cały naród w żałobie.

I jak Polska długa i szeroka zabrzmiał jeden głuchy jęk rozpacz i boleści, jedno żalosne westchnienie.

Uderzyły dzwony w jeden potężny akord, płynący z bólem nawskroś rozdartego serca: „Pokój wam bohaterowie! Wieczne spoczywanie!...”

— — — — —

Nagła radość, entuzjazm, sukces niebywały — nagła żałoba, rozpacz i smutek bez granic.

Już odeszli na wieki. Nie dane im było dożyć jeszcze szczęśliwych dni radości, upoili swe serca zwycięstwem i poszli... poszli na zawsze.

Ale, chociaż odeszli na wieki, imiona ich będą wciąż na naszych ustach, a serca nasze i nadal będą gorzały potężną miłością hołdu i uwielbienia. Duch ich bowiem żyje między nami i będzie przewodniczył młodym pokoleniom, co pójdą w ich ślady. Oni będą patronami swych następców — lotników.

— — — — —

Siedzę samotny, pustka głucha wwierca się w mózg i rozsadza czaszkę niby dynamitem. Cisza stugromowem echem obija się o jaźń mej duszy. Słusznie powiedział W. Hugo, że niema większego zamętu i chaosu, jak w tej ciszy złowrogiej, wtedy zda się, że wkoło biją serca spiżowych dzwonów, ryczą nieokiełzane fale oceanu.

W tej śmiertelnej ciszy oczekiwania zdało mi się, że widzę dwie samotne mogiły, a na nich wieńce i napisy: Żwirko — Wigura.

Wiktor Salata
kl. V.

T R Z Y N A S T Y L O T

Chcę podać garść swych wspomnień i wrażeń z obozu szybowcowego w Starym Sączu.

Zdawaćby się mogło, że jestem egoistą, że chciałbym pisać tylko o swoich wrażeniach i przeżyciach.

Ale wiercie mi, że nie wiem, naprawdę nie wiem, co inni przeżywali, gdy się naprzykład znaleźli na znacznej wysokości. Gdy pytałem niejednego po wylądowaniu, jak on się czuje, co przeżył w locie, odpowiedź prawie wszystkich brzmiała tak: „Nie wiem! Polecisz sam, to zobaczysz, przekonasz się!” Bardzo dobra odpowiedź. Ja sam też tak odpowiadałem, gdy mnie o to pytano. Cóż miałem mówić, kiedy w pierwszym momencie nic nie wiedziałem? Dopiero po chwili, gdy już ochłonąłem, mogłem zdać sprawę z tego, co odczuwałem podczas lotu. Dlaczego tak było, to łatwo się domysleć. Nerwy i nic więcej. Och! Złe! Pilot nie może się przecież denerwować. Chociaż to sam często powtarzałem, jednak przechodziły mi mrówki po grzbiecie, a zwłaszcza, gdy leciałem z „połowy góry”. Tak! Dziwne! Jak miałem „szuranie” i „skoki” u podnóża góry, to nic, byłem najzupełniej spokojny, ale, gdy musiałem lecieć z połowy zbocza góry, to ze wstydem się przyznaję, że miałem trochę stracha. Zawsze jednak starałem się nie dać poznać tego po sobie. Nadrabiałem miną i latałem dalej, chociaż sam instruktor zaproponował mi raz, żebym pozostał.

— Nie, nic mi nie jest! — odpowiedziałem — polecę! Nie mogłem przecież pozwolić, by z tego powodu szkodę poniosła grupa. Powiedzieliśmy sobie, że musimy się dobrze spisać.

I tak było!

Strach — to głupstwo!

Doznałem przynajmniej moc wrażeń i emocyj. Wszystko było mniej więcej w porządku, ani jednej kolejki nie opuściłem i pocieszałem się w duchu, że jeszcze się trzymam.

Kilku już nie lata i leżą prawdopodobnie w izbie chorych, inni gdzieś się kryją,

a my już „wleźliśmy” ze swym szybowcem „Wrona bis”—39 na sam szczyt Winnej Góry.

Oho! To nie żarty!

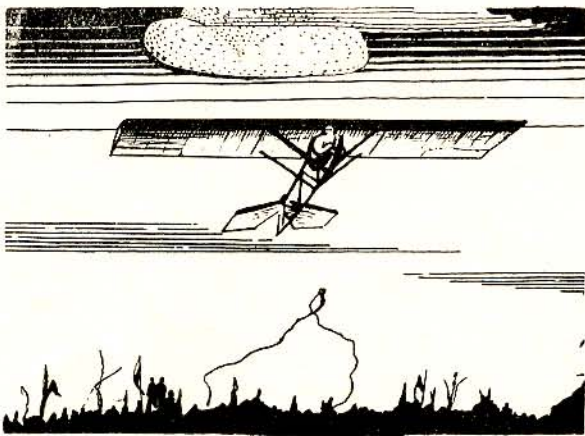
Dotychczas, to tylko instruktor z tak wysoka startował i to długo trzeba było go prosić, by wykonał lot pokazowy. A teraz my musimy stąd startować. 13-ty raz będę siedział na szybowcu, a już jestem tak wysoko. Za prędko się pchamy do góry.

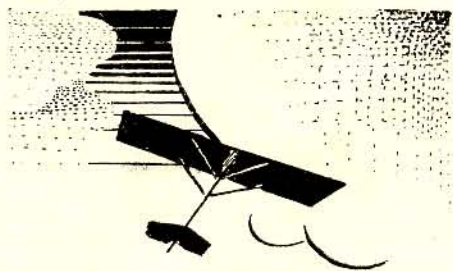
Miałem nawet szczere chęci powiedzieć, że jeszcze kilka razy polecę z połowy zbocza, ale przemogłem się. Przecież to rozkaz! Porwałem się, to będę robił, co mi każą i koniec! Uważam, że jestem opanowany, ale w rzeczywistości to chyba nie, bo zdaje mi się, że wiatr, wiejący z gór, jest za silny, to znów, że kolejka dzisiaj do mnie nie dojdzie.

Myśli jedna po drugiej szybko gdzieś ulatują. Nie uważam, nie słucham, co kto mówi, chociaż wraz z innymi oczekuję na lot. Doczekałem się wreszcie!

Za chwilę wystartuję! Już, już chciałem powiedzieć, że jutro polecę, a nie dzisiaj, gdy nagle usłyszałem: „Proszę siadać!”

Ruszyłem bezwiednie z miejsca bez słowa opozycji i siadałem! Przypasuję się pasem do jednej z części kratownicy, służącej mi jednocześnie za oparcie, naciskam mocniej furażerkę, żeby mi w locie nie spadła, nogi opieram o „orczyk” i chwytam za „knypel”. Jak wprawny pilot, poru-





szam drążkiem kilka razy, czy lekko „chodzi“, a następnie ustawiam „lotki“ do linii lotu.

Jednak ten instruktor chyba na mnie złość swą chce wyładować. Stale krzyczy, bym drążek sterowy ściągnął mocniej, do siebie. Ja wiem, czym to grozi! „Kraksa“ być może. Dam do góry „świecę“, a potem runę z góry na ogon. Dobrze, niech już tak będzie!

Przekonałem się nieraz, że ten pilot to jednak dobry człowiek. Polecę!

Ale znów nasuwają mi się nowe myśli. Gdyby tak było, jak on chce, to ostatecznie fraszka. Wierzę mu!

Patrzę na ziemię, pokrytą ścierniskiem. Kilka czarnych smug ciągnie się przez zagony. To ślady startowania szybowca. Tu „garb“, tam rów, miedza, to znów mocniejsze zadarcie płoza. Wszystko, zdaje mi się, sprzysięgło się na moją zgubę. Gdyby ten grunt był równy, to owszem, startowanie byłoby przyjemne, a tak? — zobaczmy!

Staram się o to zapomnieć.

Patrzę niezupełnie spokojny przed siebie. Na horyzoncie rysują się dość wyraźnie łagodne grzbiety Beskidu Zachodniego. Zdaje się, że pług wieków odwalił olbrzymią skibę skorupy ziemskiej, skibę, która zarosła już gęstym jodłowym lasem i, poddana próbom czasu, spoczywa.

Z lewej strony bliżej stojące Pieniny wyglądają niby zwaliska tajemniczych zamków, których ściany zarosły mchem i krzewami, o występy których czepiają się po niebie włóczące się leniwe chmury, a w szczelinach pełzają mgły i opary. Prześliczne! Godne podziwu!

Gdy wtem: „Naciągaj! Raaaz, dwa, trzyyy...“ — rozległo się w powietrzu.

Coś mną odrazu wstrząsnęło. Wiodą szybciej wzrokiem od horyzontu ku czarnym linom, które preżają się, drgają w lekkich podrzutach, naciągane silnymi ramionami chłopów. Zaciskam zlekka zęby i czekam. Zły jestem! Przecież te liny są tak długie, a oni jeszcze ciągną. Poco? Już i tak będę leciał i leciał!

Byłem bardzo zajęty myślą o locie, o jego technice, o rozmaitych ruchach drążka sterowego.

O poczekaj! Nie dam się!

Skonstatowałem przytem, że łydki moje zlekka drżą. Nie o to jednak chodzi.

Na komendę instruktora ruszyłem! Szarpnięty zostałem tak silnie, że nie mogłem zrozumieć, co się ze mną dzieje. Coś mnie ciągnęło, głowa zaczęła mi skakać, prawdopodobnie przebywałem brzozy i nierówności gruntu.

Ludzie, zboże — pozostali za mną!

O utrzymaniu drążka w jednym położeniu nie było mowy. Podrzucony byłem wraz z nim, to też, gdy tylko uczułem ulgę, co świadczyło, że już straciłem grunt pod nogami, natychmiast odepchnąłem go od siebie.

— Teraz będzie wszystko w porządku! — pomyślałem. Wystarczy tylko dobry ruch drążka, a strach minie i lot będzie ładny. Jednak ruch ten okazał się zgubny, bo uczułem, że zwróciłem się głową na dół. Co robić? Zdawało mi się, że dostałem zawrotu głowy, że się wszystko na mnie wali, że coś mnie szarpie, rwie, w uszach gwizdże i wrzeszczy.

Szybka decyzja i ruch drążka ku sobie!

Wyskoczyłem z tej piekielnej studni, znów wpadłem i tak kilka razy „pompo- wałem“.

Co się wtedy ze mną działo, trudno opisać. Jakieś dziwne dreszcze, chłód, niewysłowione uczucia mnie ogarniały. Czasami nawet czułem, że mi coś podjeżdża

pod gardło, to znów, że mi jest bardzo przyjemnie.

Siliłem się, męczyłem, nim nadałem szybowcowi odpowiedni kąt „nurkowania”. Teraz uczułem, że lecę równiutko, bez najmniejszych wstrząsów. Odzyskałem odwagę!

— Jak to przyjemnie! — pomyślałem. Odetchnąłem pełną piersią, uczułem się nadspodziewanie lekki, rześki, zdrowy. Uśmiechnąłem się.

Tam w dole rozpościerał się Nowy Sącz. Wśród zieleni bieleją domy, a nad nimi kilka wież kościelnych.

Tam gdzieś ginie Poprad, z szumem toczący okruchy skalne, obok tor kolejowy i szosa wiją się wśród wyniosłości terenu.

Przy szosie kilka rozrzuconych chat ze strzechami poszarpanymi, obwisłymi, a ponad nimi smukła wieżyczka Przybytku Najwyższego, przybytku, w którym lud krzepił serca i dusze, spowiadał się i użałał przed Panem. To Biegonice!

Dziwny jest urok tych stron.

Tuż, tuż pode mną łąny zbóż, poruszane rytmicznie podmuchami wiatru, a uciekające stale gdzieś wstecz z pode mnie, tam dalej, zbliżające się szybko, zagony fasoli, buraków i kapusty.

Na tem tle widnieją zadarte głowy ciekawych oraz przesuwające się, komicznie wyglądające, postaci robotników.

Jakaś niewysłowiona rozkosz mnie ogarnia. Chciałbym teraz tak lecieć i lecieć, podziwiać piękno przyrody, piękno pól, lasów, miast i wiosek polskich, szybować aż hen, do stron rodzinnych.

Za chwilę zbliżałem się ku ziemi, ale z żalem, że lot trwał tak krótko.

Spojrzałem jeszcze raz na uciekające z przed szybowca osady i zacząłem lądować. Lekki szum linek „szturmowych” i szelest zboża świadczyły już wymownie, że jestem przy ziemi. Uczułem lekkie uderzenie ścinanych kłosów, wreszcie kilka podskoków po zagonach i siedzę.

Czekam chwilę, szybowiec chwije się na płozie, wreszcie opiera się jednym skrzydłem o ziemię.

Oglądam się. Na „ostrodze” kłosa i liście kapusty. A dalej poprzez zagony ciągnie się czarny ślad mego lądowania.

O Boże! Co też to powie mój instruktor?

Witold Żur

kl. VII.

Z GWIZDEM WIATRU W OBŁOKI

Było nas czterech, staliśmy oparci o drzwi hangaru, z którego kilku naszych kolegów wyciągało szybowiec, który ślizgał się po zielonej darni płożą i piał po zboczu górskim na szczyt.

Właśnie słońce obsypało ziemię za-rem i swem ognistym okiem oświecało grzbiet góry. A dziwna to góra, ze złomów skalnych wyrosła, poszarpana z trzech stron, a z jednej łagodnym spadem w dół nachy-lona.

Szybowiec znalazł się ponad nami, głowy musieliśmy zadrzeć, by ujrzeć jego płaty, które, rozpięte i rwące się do lotu, oczekiwały pomyślnego wiatru. Wreszcie nadszedł lekki, musnął nam twarze i, skłę-biwszy się po drodze, uderzył w skrzydła, a, przewinawszy się, podrzucił szybowiec do góry.

Wysztzerlił śmiały naprzeciw słońca i wypłynął czarnym cieniem na tle roz-błękitnionego nieba. Czasami, gdy w wiel-kiej ósemce robił wiraż, nachylone w za-kręcie skrzydło zajaśniało białą plamą. Lecz znów za chwilę cień tylko płynął nad nami, bo słońce prażyło prostopadle prawie nad głowami.

„Termika“ sprzyjała lotowi. Instruk-tor dawał już znak, by wylądował, ale na-gle powrócił prąd silniejszy, a orczyk ste-rowy, źle pchnięty, spowodował nagły skręt, mały coprawda, ale wysoce niebezpieczny.

Szybowiec odwrócił się z wiatrem i le-ciał z wielkim pędem na złowrogą skałę. Dziobem „walił“ ku ziemi, rósł w oczach, zbliżał się z zastraszającą szybkością i dziw-nym trafem wykręcił się na poszarpane zbocze.



W ułamku se-kundy widzieliś-my, jak płaty, niby dwa wielkie białe pióra, odleciały w bok. A kabinka, doszczętnie zdru-zgotana, świeciła tylko kratami szkieletu i powie-wała strzępami zdartego płótna.

Wszyscy rzucili się w stronę rozbi-

togo szybowca, a, stanąwszy nad jego szcząt-kami, niebardzo żeśmy się zmartwili stanem niefortunnego pilota, którego obdrapana ręka kroplami krwi spływała, a podarta koszula przedstawiała widok nie do pozazdroszcze-nia. Więcej na nas podziałały połamane skrzydła, zgruchotany ogon i zniszczona kabina „Czajki“, bo co chwila odzywały się głosy pełne żalu, iż taka „maszyna“ poszła w perzynę. Ach, jaka szkoda! Ówe-mu „lotnikowi“ nie się nie stało, tylko kilka dni chodził z owiniętą bandażem ręką. Lecz, gdy nikogo nie było, zerwał opatru-nek i dał wspaniałego nurka w wodę, która opodał fale swe toczyła.

I nadszedł dzień, w którym i ja musia-łem na sztucznym ptaku wznieść się po-nad ziemię, której szachownica pól, poje-dyncze drzewka oraz grupka uczniów — pilotów szybowcowych, stojących na starcie zmniejszały się, skorom się oddalał.

Uciekło wszystko, gdym się ważył w powietrzu, tylko lekki szum wiatru dochodził do mych uszu. Szybowiec łukami wirażów przecinał przestrzeń powietrzną. Gdzieś wysoko pojedyncze grupki białych „kumulusów“ sunęły się wolno. Świat na chwilę zamarł w bezruchu. Uczułem, że szybowiec stracił szybkość. Przez moment zawisł w miejscu.

Odepchnąłem błyskawicznie „knytel“. Szybowiec, pochyliwszy się dziobem, począł pruć powietrze tak, iż tylko ostry świst naprężonych linek, spowodowany nabra-niem wielkiej szybkości, do uszu mi dobie-gał i ów „strach przed nieznanem“, które miało nastąpić, oddech mi wstrzymał na chwilę, lecz przed oczami rosnąca ziemia przywróciła mi równowagę ducha, bo, pchnąwszy drążek sterowy, zdołałem jesz-cze wyrównać lot i ślizgowym spadem do-leciałem do podnóża góry. Już płoża dot-knęła ziemi, znacząc ją dość głęboką brózdą. Wreszcie „maszyna“ stanęła w miejscu, podparłszy się lewym płatem. Podbiegli do mnie koledzy z okrzykami zdziwienia. „Aleś nurkował!... Myśleliśmy, że linki pozrywasz i skrzydło odleci... No, szczęśliwie ci się udało... W ostatniej chwili wyrównałeś”...

Jedynie słońce na niebie gorzało,
a chmury i obłoki, wzmagającym się wiatrem pędzone, sunęły majestatycznie i cicho.

W dzień pogodny i spokojny przyszła znów na mnie kolej. Wypuszczony w powietrze, przepłynąłem nad kilkoma sosnami, które, jak trzy siostry, stały wśród ławy piasku, jaka biegła od północnego zbocza góry i przedłużała się w barwny łan zasianego łubinu.

Pchnąłem lekko drążek i nacisnąłem nogami orczyk.

Rozgrzany piasek wysyłał do góry drgające fale powietrza, które zaczęły podnosić zwolna szybowiec. Dokoła mnie powietrze grało cichą pieśń.

Zachwycony lotem, chciałem jak najdłużej utrzymać się w górze. Spoglądałem na płaszczącą się pod nogami ziemię, która zaczęła mnie ciągnąć do siebie.

Nie chciałem się poddać. „Hej, nie tak łatwo ulega ten, co w powietrzu płata mi się trzyma”... Ni stąd, ni zowąd wiatr się zjawiał, z początku słabszy, potem silniejszy i, gwizdnawszy, jał wyprawiać przeróżne hece dokoła mego szybowca. Uderzył kilka akordów na linkach i zastrzałach, z szelestem kończył jakąś warjacką grę, zsuwając się po opiętej płótnem kabince.

Zdawało mi się, że szybowiec zaczął wyprawiać szatańskie figle, rzucał się to w górę, to w bok, to opadał na dół. „Żle

ze mną” — pomyślałem. „Jak tu z tego wybrnąć?”

Spróbowałem zrobić wiraż pod wiatr, lecz pomyliłem stery, co wprawiło szybowiec w „ślizg” na lewe skrzydło. Zacząłem bokiem spadać na ziemię. Doznałem nieprzyjemnego uczucia — wzdrygnąłem się...

W tej chwili przypomniały mi się zbawienne wskazówki instruktora. Wyrównałem więc szybko orczyk, a drążek sterowy „lekko oddałem”. Poskutkowało, szybowiec przyjął właściwy kierunek i opuszczał się równolegle do zbocza. Jednak widocznie zbyt gwałtowny zrobiłem ruch sterem głębokościowym, bo przy lądowaniu nastąpił silny wstrząs. Zobaczyłem tylko ponad sobą niebo i ogon mego „skrzydłatego rumaka”, który, wierzgnąwszy, przewrócił się na „plecy”, nie uszkadzając jednak sterów.

Szczęście, że się pas nie oberwał, na którym zwiśałem teraz głową nadół.

— Jak długo mam tak wisieć?

— Co to było? — starałem się rozpaмиętywać wypadek. Zrozumiałem, że to przecież tylko prosty „kapotaż”.

I znowu było nas czterech i, leżąc na trawie, gwarzyliśmy wesoło, gdy tymczasem od zbocza zjawiał się w pewnych odstępach czasu długoskrzydły, a smukły „Komar”, zawiązując przepisowo wiraże.

Leopold Antonowicz
kl. VII.

W S K A Z A N I A

Nie boję się trudów,
Nie lękam się frwóg
I szukam z uporem
Znów nowych wciąż dróg.

Chcę śmiało, zwycięsko
Iść ciągle hen, w dał,
Zabijam w swem sercu
Tęsknotę i żal.

Pamiętaj, byś stale
Szedł naprzód i trwał —
I u stóp sztandaru
Zwycięsko byś stał!

Już tłumię nadzieje
I wspomnień mych cień —
I patrzę z triumfem
W świtanie mój dzień.

Podobnie, gdy w duszy
Twej budzi się żar
Zwodniczych nadziei
I zwątpień i mar,

Wiktor Salata
kl. VIII

WSPOMNIENIA ZE ZLOTU W SPALE

Mamy już za sobą dwadzieścia pięć lat pracy Związku Harcerstwa Polskiego na niwie wychowania młodego pokolenia. Tak się złożyło, że jubileusz tego ogromu pracy przypadł w czasie, gdy Polska okryta jest kirem żałoby po stracie Pierwszego Żołnierza, Wodza Narodu, Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tę wielką stratę boleśnie odczuwa młode pokolenie harcerskie, które było tak bliskie Jego sercu. Harcerstwo przez cały czas jego trwania było „nastrojone na wysoki ton moralny ofiarnej gotowości do czynu”, czemu zawsze dawało swój wyraz, wysyłając harcerki i harcerzy tam, „gdzie robota cięższa, gdzie trzeba na ochotnika iść, gdzie łatwo głowę położyć” (słowa Komendanta). I nie dziwny się, że w tak ciężkiej chwili dla Polski, w taki właśnie sposób święciło Harcerstwo swój Jubileusz pracy. Wszak na Zlocie zapadły głębokie postanowienia zebranej na nim młodzieży, która z puścizny ideowej Wodza nie uрони i będzie iść zawsze po drogach, wiodących do rozkwitu i dobrobytu państwa. Zlot ten był z jednej strony wielką imprezą, jakiej jeszcze dotąd nie było, z drugiej zaś przejawem miłości i przywiązania do Wodza Narodu oraz Jego wskazań.

I oto nadszedł już oczekiwany przez wszystkich z upragnieniem i niecierpliwością Zlot. Nadszedł czas, kiedy to wszyscy razem, i druhowie, i drużyny, przeżywalimy wielkie chwile w dziejach Harcerstwa — Jubileusz, dwudziestopięciolecie pracy dla Polski — nieraz ciężkiej ponad siły, nieraz krwią i życiem spłaconej, zawsze jednak ochoczej, radosnej i dobrowolnej.

W ciągu dwudziestu pięciu lat swej pracy Harcerstwo przechodziło różne okresy: niewolę, walkę o niepodległość, budowanie zrębów naszej państwowości. Byliśmy wszędzie, gdzie tylko była praca, więc dobro nam jest duży. Przegląd tego dobrodziejstwa odbył się w Spale, gdzie zaczęliśmy nowy okres pracy na niwie harcerskiej — pracy dla przyszłości. Musimy zdawać sobie jasno sprawę z tego, czego się Polska po nas spodziewa i zależnie od tego musieliśmy nabrać tu, na Zlocie, siły, aby podjąć intensywną pracę w przyszłym okresie.

I oto zadziwił się wielce stary spalski bór, gdy po niczem niezmaconej ciszy, panującej w jego wnętrzu, rozległ się z początku stuk młotów, zgrzyt pił, pracujących tam nad przygotowaniem terenu zlotowego junaków — harcerzy, a potem radosne śpiewy uczestników Zlotu.

Zwierzyna przerażona wywędrowała w głąb kniei, a tylko drzewa pozostały, wsłuchując się z niepokojem w odgłosy, idące od strony wkraczającego „tłumu”. Ale tłum ten w szarych, zielonych mundurkach nie niesie z sobą zniszczenia, wręcz przeciwnie, niesie z sobą miłość i ukochanie przyrody.

Od chwili, gdy do lasów spalskich wkroczył pierwszy oddział harcerzy, nieprzerwanym wprost łańcuchem ciągnęły ich kolumny, udając się na miejsce przeznaczenia.

W gronie przybyłych z Białegostoku znalazłem się i ja.

Spała wywiera na nas wielkie wrażenie. Oglądamy tu chorągiew i turecką, i amerykańską, i egipską i wiele, wiele innych, które dumnie powiewają wzniesione na masztach. W ogromnym tłoku, w ogólnym chaosie, nawołują nas do szybkiego wyładowywania bagażów i każą ustawiać się z niemi na skraju peronu. Szybko zabieramy się do roboty i za kilka chwil jesteśmy gotowi do odmarszu. Komenda: „Marsz” i wszyscy idziemy ze śpiewem do obozu.

Pędzą taksówki, auta, a na motocyklach uwija się komenda Zlotu. Przy pierwszym zakręcie spotykamy „władzę”, która z groźną miną kieruje ruchem ulicznym. „Władza” ta nie jest w granatowym mundurze, ale w zwykłych harcerskich spodenkach i bluzie z opaską pomarańczową na lewym ramieniu. Jedno przypomina nam policjanta — gumowa laska.

Idziemy dalej. Szeregi młodzieży coraz bardziej topnieją, rozpluwając się po lesie, w którym wyrastają szybko coraz to nowe namioty. Wreszcie dochodzimy do miejsca, gdzie mamy się rozlokować. Całkowite urządzenie obozu trwało aż do niedzieli, a w niedzielę uroczystość nad uroczystościami, na którą każdy czekał z niecierpliwością. Bo są różne w życiu naszym uroczy-

stości. Jedne z nich nas nużą, innym brak treści i nie wywołują głębszych przeżyć, a inne są skromne, ciche, ale wzruszające do głębi. Nasza uroczystość ma być inna. Będzie ona wspaniała. Oto kilkudziesięcioletnia armja harcerska w imieniu dwiesięcioletniej rzeszy Harcerstwa z kraju i zagranicy złoży hołd Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej. Uroczystość ta zmanifestuje wielką moc i siłę naszego ruchu.

Niedziela 14.VI.—dzień defilady.

Już o godz. 6-ej wszyscy są na nogach. Należy się przyszykować do defilady „do ostatniego guziczka”. Już o godz. 7³⁰ zbiórka całego podbozu i wymarsz na stadion, gdzie ma się odbyć defilada.

Na stadion zaczęły się ściągać drużyny harcerek i harcerzy ze sztandarami przy dźwiękach orkiestr. Zebrany tłum ludzi przygląda się przemarszowi drużyn, które ustawiają się na boisku naprzeciw ogromnych trybun, zajętych przez publiczność z całej Polski. Na trybunie prezydenckiej znajduje się obraz Matki Boskiej Częstochowskiej na tle lilij. Nad nim długim szpalerem powiewają flagi o barwach różnych państw. Z lewej strony boiska ustawiają się harcerze, pośrodku goście zagraniczni, a po stronie prawej harcerek.

Naraz fanfary oznajmniają przybycie Pana Prezydenta, któremu druha Przewodniczący składa raport. Następnie zostaje odprawiona Msza św. przez kapłana Pana Prezydenta, ks. Humpole. Na Mszy św. obecni byli również przedstawiciele rządu. Podczas nabożeństwa spadł ulewny deszcz, który zmoczył wszystkich do ostatniej nitki, ale nie zdołał odebrać ducha karnym zastępom. Po kazaniu i modłach za pomyślność Rzeczypospolitej Pan Prezydent otworzył wystawę harcerską, okazując żywe zainteresowanie zwłaszcza salą, poświęconą pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego i pamiątkami po poległych harcerzach. Dłuższy czas zatrzymał się Pan Prezydent przed sztandarem, który był na Zlocie w Anglii w roku 1913 z delegacją polskich harcerzy. Sztandar ten i polska drużyna przypomniały światu o istnieniu uciemnionej Polski. Bardzo podobały się Panu Prezydentowi krótkie napisy—hasła, jak np. „Z niedolegi i piecucha Z.H.P. zrobiło zucha”. Dostojny Gość wyniósł z wystawy jak najlepsze wrażenie. W rozmowie z druhami Przewodniczącym Pan Prezydent wielokrotnie chwalił wystawę, a o harcerstwie wyraził się, że jest to doskonały ruch społeczny.

Wielka defilada poprzedzona była długim oczekiwaniem. Nagle odzywa się srebrzysty głos trąbki, orkiestra gra hymn narodowy. Od strony wystawy wchodzi Pan Prezydent z Małżonką w otoczeniu Przewodniczącego Z. H. P. Grażyńskiego, min. Kościalkowskiego i świty. Od strony ustawionych szeregów zrywają się radosne okrzyki na cześć Pana Prezydenta i cała chmura czapek, kapeluszy wylatuje w górę. Jeszcze w swoim życiu nie widziałem tak rozentuzjasmowanego tłumu. Okrzyki dopiero ustają, gdy Pan Prezydent z Małżonką wchodzi na podwyższenie.

Przy dźwiękach orkiestry wiejskiej ze Spawy zaczyna defiladę II-gi Zlot Polaków z Zagranicy. Po krótkiej przerwie następuje defilada naszych harcerzy, którą prowadzi Naczelnik Harcerzy hm. Antoni Olbromski oraz towarzyszący mu hm. Konopadzki. Kolejność w defiladzie jest następująca: pierwszy kroczy poczt sztandarów dawnego harcerstwa, następnie kroczą 2-ie honorowe drużyny harcerek i harcerzy, które niosą sztandar harcerstwa lwowskiego, udekorowany Krzyżem Obrony Lwowa. Dalej idzie długa kolumna dawnych harcerzy, którą prowadzi gen. Norwid-Neugebauer. Następuje defilada Zlotu Harcerek, którym przewodzi komendantka Zlotu Śliwowska i Naczelniczka Wierzbianańska. W kolejności defilują drużyny zagraniczne, witane przez publiczność okrzykami i oklaskami. Idą więc według krajów: Anglja, Kanada, Danja, Estonja, Łotwa, Finlandja, Holandja, Norwegja i Czechosłowacja. Za niemi defilują harcerkki-Polki z zagranicy oraz barwne szeregi zuchów, za którymi ukazują się chorągwie harcerek, defilujące w różnych szykach. Na uwagę zasługiwała chorągiew lubelska, idąca szykiem kotwicowym. Dalej Pomorzanki i Ślązaczki, przebrane w stroje ludowe.

Po defiladzie harcerek, która trwała przeszło godzinę, idzie kolej na Zlot męski, prowadzony przez Komendanta Zlotu Wądołkowskiego. Na czele maszerują goście w nast. porządku: Austriacy, Estończycy, Francuzi, Anglicy, Węgrzy, Łotysze, Norwegowie, Rumuni i Czechosłowacy, a po nich kilkanaście tysięcy naszych chłopców. Trzeba przyznać, że harcerkki maszerowały oryginalnie przez zastosowanie szyków, harcerze natomiast maszerowali ósemkami zwarcie, marsowo, co dawało pewien efekt i sprawiało imponujące wrażenie.

Burzę oklasków i okrzyków ze strony trybun zyskały drużyny zagraniczne, a zwa-

szcza czeskie i węgierskie, które maszerowały poprzedzone lasem sztandarów oraz własnymi orkiestrami. Szczególną sympatię tak podczas defilady, jak i w ogóle w czasie trwania Zlotu, zyskali Węgrzy, którzy swym wyglądem zewnętrznym i marszem w defiladzie zaimponowali wszystkim. Ładnie wyglądało, gdy cały las sztandarów państwowych, niesionych w górze, pochylał się do ziemi przed Panem Prezydentem. Dalej szli polscy harcerze z zagranicy, za którymi w pełnym galopie na oryginalnych kwadrygach przedefilowały „Zuchy”, a następnie harcerze z hucem łączności na czele. I szły szeregi bez końca, zwarte, karne, wpatrzone w Pana Prezydenta. Szły poczty sztandarowe za pocztami, chyląc się kornie przed Głową Państwa. Pan Prezydent zdejmował kapelusz tylko przed sztandarami, natomiast stał z odkrytą głową przez czas defilowania naszych drużyn robotniczych, które swem ustosunkowaniem się do pracy oraz ogólną postawą harcerską zyskały sympatię wszystkich. Defilada dobiega końca. Już maszerują ostatnie szeregi harcerzy. Pan Prezydent przy dźwiękach „Pierwszej Brygady” opuszcza trybunę i udaje się do zamku.

Po skończonej defiladzie wszystkie drużyny powracają do obozów, aby zaspokoić głód, który już od dłuższego czasu dawał się odczuć, a jest już 15 godz. Ponieważ niedziele są wolne od zajęć, więc każdy zjada szybko obiad i maszeruje, ale gdzie? A zwiedzić obóz, dzielnicę handlową, wystawę harcerską, a obóz żeński? Tyle wszystkiego, a czasu mało, bo tylko do godz. 16³⁰, więc nie dziwnego, że cały obóz opustoszał w mig.

Godz. 16³⁰. Roi się od wracających, którzy, wpadłszy do kucharzy, dopytują o kolację. Kucharze nie dają długo czekać i za chwilę wszyscy siadają do kolacji, po której już nie wolno wychodzić na „miasto”. Ale pretekst znaleźć nietrudno. Zewsząd odzywają się głosy: „Druhu komendancie, ależ dzisiaj jest ognisko pod hasłem: „Braterstwo Narodów”, proszę nam dać przepustki, przecież na takim ognisku można dużo ciekawych rzeczy zobaczyć!” Druh komendant daje się uprosić i idzie na kompromis, pozwala iść tylko starszym. Nie tracąc więc chwili, wyruszamy całą paczką na stadion, gdzie mają zebrać się zagraniczni skauci i dużo naszych harcerzy. Na drodze, raczej na pomoście, zbudowanym na podmokłym terenie, który ciągnie

się przeszło 1/2 km. i prowadzi do „Poznania” spotykamy kilku skautów węgierskich, dążących na to ognisko. Idziemy śmiejąc się, hałasując, ale przychodzi nam myśl, aby zapoznać się z Węgrami. „Już się robi.” Podchodzimy do nich i pozdrawiamy po węgiersku: „Jo munkat”, ma się rozumieć, że oni odpowiadają „Czuwaj”. Ale my nie wiemy, jak do nich przemówić: „Wal po niemiecku, może zrozumieją”—odzywa się któryś. Więc, jako że troszkę niemieckim „władam”, pytam: „Können sie deutsch sprechen?”—„O ja” odzywają się głosy—„Aber ich kann nicht”—mówię im. Wybuchają śmiechem, jeden drugiego bierze pod rękę i maszerujemy, rozmawiając po polsku, czasem po niemiecku, a jest i taki, który rozumie po francusku. Jednym słowem „esperanto” — pierwsza klasa. Jak nie słowem, to na migi, ale każdy jakoś się porozumiał. Rozmawiamy o Zlocie, o dzisiejszej defiladzie, oni opowiadają o wycieczkach po Polsce i tak dochodzimy do stadionu, gdzie zebrało się kilkanaście tysięcy harcerzy i skautów, a trybuny są zapelnione publicznością. Ognisko już zaczęte. Przemawia pierwszy Polak, za nim kolejno tłumaczą jego przemówienia poszczególne mówcy na wszystkie języki. Potem następują przeróżne pokazy, których wykonawcami są Węgrzy, Czesi i inni.

Godzina 22-ga. Wszystko się kończy i rozbieramy się do swoich obozów, mając za towarzyszy Węgrów, idących w tę samą stronę. Wracamy już poważnie, bo każdy jeszcze jest pod wrażeniem ogniska, a i z megafonów rozlega się pieśń wieczorna: „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, więc obowiązuje cisza na całym terenie Zlotu. Żegnamy Węgrów mocnym uściskiem dłoni i udajemy się do obozu na nocleg, aby jutro stanąć do biegów, harców, wart, służb i t. p.

Szczególnie cieszą się starsi, bo jadą na dwudniową wycieczkę aż do Opoczna.

Nazajutrz pogoda piękna. Wyruszamy więc na dworzec, aby po godzinie jazdy wysiąść w Opocznie.

W Opocznie zostaliśmy podzieleni na drużyny, a każdy zastęp dostał inną marszrutę. Punktem zbornym całej drużyny miała być wieś Kamień Wielki, zbiórka o godz. 18-tej.

Wycieczka ta miała być przykładem wzorowej wycieczki, miała zbadać wyrobień chłopców pod każdym względem i ich zaradność życiową.

Każdy harcerz dostał jakąś pracę do wykonania. Jeden miał obserwować ludność miejscową, jej zwyczaje, ubiór, pracę, inny znowu miał zapoznać się z kilkoma wieśniakami i dowiedzieć się, jak się nazywają różne narzędzia, przyrządy w ich mowie, jeszcze inny badał styl budowy domów oraz urządzenie wnętrz t. j. rozmieszczenie izb i sprzęty domowe.

Po biwaku, spędzonym nad jeziorem, wyruszyliśmy w drogę powrotną do Opoczna i kolejną do Spały. Te dwa dni wycieczki przyniosły nam wiele wrażeń i miłych chwil.

I płynęły dni po dniach (naprawdę płynęły, bo deszczu nie brakowało). Jedne dawały nam więcej wrażeń, inne mniej, każdy jednak przynosił zawsze coś ciekawego, interesującego. Z tych dni należałoby wyróżnić: niedzielę 21.VI. i poniedziałek 22.VI., kiedy to można było zapomnieć o wszystkim, nawet o obiedzie, przypatrując się pokazom na boisku. Pierwsi grali Czesi, dając kilka pięknych melodii. Następnie megafon zapowiada wesele góralskie. Z prawej strony stadjonu wpadają wozy pełne górali i góralek. Aparaty fotograficzne trzaskają raz po raz — a tu podłoga dudni, skrzypki zawodzą, dzwonią stalowe ciupagi, rozlegają się wesołe pokrzykiwania w powietrzu. Wesele kończy się, a trybuny krzyczą: „My chcemy zbójnickiego”. Znow dudni podłoga od uderzeń kierpców, migają wyrzucane nogi, ręce, barwne wstążki.

Publiczność zachwycona.

Wtem wpadają na boisko ulubieńcy Zlotu — Węgrzy. Ślicznie wypadły ich pokazy z bumerangami oraz ze wstążkami wprawionymi w różne ruchy.

Po nich następuje wesele krakowskie, a na koniec trzy Czeszki, jak trzy barwne motyle, uwijają się w pięknym tańcu. Dzień ten przyniósł nam naprawdę moc wrażeń. Poznaliśmy stroje, tańce, gry, zabawy innych narodowości, o których to słyszeliśmy z opisów.

Dnia 22. VI. odbył się bieg zastępów starszych, który polegał na posuwaniu się zastępu i pokonywaniu równocześnie przeszkód, porozmieszczanych na wytyczonej trasie. Może ktoby zapytał, co to za przeszkody? Czy płotki o wysokości 1.10 m. które trzeba stylowo przeskoczyć? Otóż nie. Przeszkody w biegu harcerskim są brane z różnych rodzajów techniki harcerskiej: terenówki, pionierki, samarytanki, obozownictwa, sygnalizacji i t. p. Każda przeszkoda jest obmyślana na przeciętną zaradność

chłopców i ma na celu badanie ich orientacji, pomysłowości, zaradności życiowej. To też są czasami takie przeszkody, przy zdobywaniu których naprawdę trzeba mieć wysubtelnione sprawności harcerskie.

I oto mija już poniedziałek, wtorek. Złot się kończy. Ruch coraz większy, bieganina, hałasy, krzyki. Tak mija środa.

Aż tu we czwartek pada komenda zwijania obozu i pakowania się do odjazdu. Cichy pomruk przebiega szeregi. Jakiż koniec Zlotu? Tak niedawno przyjechaliśmy i już zpowrotem? Ale tu nie czas na gadanie, tylko na zbieranie manatek. Więc też zaczynają się poszukiwania czapek, które najspokojniej leżały przez czas Zlotu pod pryczą, a tu gdzieś łyżka leżała, więc dalej na poszukiwanie! Tam znowu rozgrywka bokserska o koszulę skończyła się kompromisem: każdy wziął po połowie. Wywiad za pończochą bezowocny. Wreszcie się znalazło jakoś swoje graty, więc — pakować! Ale oczywiście oszczędność miejsca w plecaku nie pozwala na pakowanie dwóch blaszanych pudełek, więc proszek do zębów wędruje do pasty od butów. Szczotki do butów, zębów, włosów pakuje się do skarpetki, nad tem sterczy groźnie ołówek i wykałaczka.

Wygodniej z bielizną. Spodeńki sportowe pływają po Pilicy, koszula nocna czeka gdzieś na krzaku na właściciela.

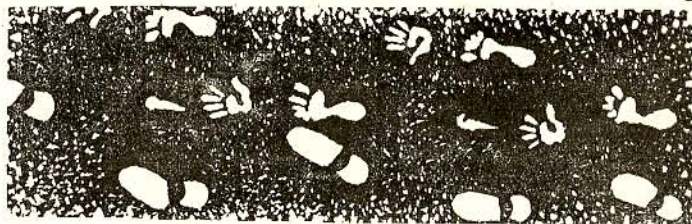
W plecaku są rzeczy „wyczenczowane”, których nie można policzyć.

Już odjeżdżamy. Godzina 3-cia w nocy. Ciągną szeregi harcerzy i harcerek ku stacji. Idę cicho, w skupieniu, słysząc tylko brzęk kołyszących się menażek i kubków. Bo i jak można z radością opuszczać miejsce, gdzie zostaliśmy tak serdecznie przyjęci, miejsce, z którego wynosimy tyle wrażeń niezatartych, gdzie spędziliśmy takie piękne chwile życia naszego? Tak, to bardzo przykro rozstawać się z tymi wszystkimi, których się poznało, z którymi się zaprzyjaźniło, aby gdzieś, oddaleni jeden od drugiego, tylko wspominać te miłe chwile przyjaźni i braterstwa. Jest smutno, ale w sercach naszych panuje radość, jesteśmy dumni z tego, że należymy do Z. H. P., która to organizacja może poszczycić się swym dorobkiem przed całym społeczeństwem polskim. Odjeżdżamy ze Spały pełni zapału do czynu, gotowi do ofiarnej pracy dla dobra, honoru i potęgi naszej ukochanej Ojczyzny!

Romuald Romanowski
kl VIII



1140 KM. PIECHOTA



(WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY:
„JEDEN Z WIELU DNI”).

...Idę... Idę... Pod nogami trzeszczą suche gałązki—opadłe z drzew... Obumarłe szczątki wysokich, dumnych sosen, które stoją wyprostowane... Korony zielone, baldachy, rozpostarte w bezmiarze niebieskim, zwisają nieruchomo.—Cisza!... Wiatru niema... Niema najłżejszego powiewu, któryby muskał twarz i rozwiewał, kołysał trzciny nadbrzeżne jeziora... Zdaje się, że jest cicho... lecz niezupełnie... nad głowami krążą niezliczone mnóstwa małych muszek. Bzyk!... Bzyk!... wirują... podskakują!... tańczą jakiś tajemniczy, nieznany taniec...

...Po wodzie gładkiej i lazurowej hen, zdala płyną matowe nuty piosenki...

...Lekko drżą trzciny... wysmukłe i proste jak tanecznice. Odbicie zielone, ciemne nie drga, lecz leciutko porusza się dookoła swej niewidzialnej osi... marszczy się po-

wierzchnia jeziora i dlatego tak się zdaje zdumionym oczom.

Nogi moje zagłębiają się w mięki, puszysty mech, porosły bruszniciami... Wdrapuję się na niewielki pagórek. Naokoło wznoszą się sosny o brunatno ceglastych pniach, pokrytych korą jak łuską. U stóp moich jezioro. Ogromne i tajemnicze. Drżą leciutko trzciny. Nieruchomo leżą na wodzie ogromne liście nenufarów, liście podobne do talerzy, a kwiaty białe i dziwnie pachnące wodą.

Pachnie!... Pachnie... żywicą, słodką wonią nenufarów, liśćmi zgniłymi, ziemią i wodą...

...Z oparów wodnych wznosi się mgła, zasłaniając przejrzystą tkaniną lazurową toń wody.

...W niektórych miejscach na jeziorze kładą się złote, srebrne plamy, w innych

ciemne, zupełnie czarne, podłużne. Są to prądy... To jest Świtez... owa tajemnicza Świtez...hm!.. 11-ty dzień podróży... 35 km. dziennie... dziwne to wszystko... tak to wszystko prędko... przecież tak jak byśmy wczoraj wyruszyli z Białegostoku...



Świtez!... cudne jezioro, piękne... w głowie mam zamęt... gdzieś zapadam... błogo... wszystko wiruje... co to?... Świtezianki?... tak urocze, zwinne, przezroczyście tańczą... ledwie muskają swymi stopami powierzchnię wody... wirują... to znów powłóczyście... z gracją... świtezianki... Ach!... Zjawy przysła... te trzciny tylko lekko drżą...

...Idę dalej, nad sam brzeg. Wilgotno i mokro, wszędzie wyrastają tuż, jakby z samej wody, olchy, nieodłączne towarzyszyki wilgotnych obszarów. Na horyzoncie na prawo majaczy białe skrzydło żagla. Gdzieś po przeciwległej stronie jeziora zapadła łódka w szuwary. Przygodny amator czatuje na ryby. Środkiem jeziora sunie kajak, zostawiając za sobą długą, białą smugę. Niebo, zaciągnięte chmurami, które zachodzące słońce zabarwiło na róż... opalowo-różowe barwy mieszały się z wodą, w której odbiły się jak w zwierciadle.

Na wysuniętym cypelku, który zbliżał się zwykłym podłużnym pasem zielonym nadbrzeżnym, a zdaleka wydawał się zaciągową w ciszy krainą, stał samotny człowiek. Jego sylwetka ostre konturami

odrzucała się od nieba, owiana mgłą nabierała ogromnych rozmiarów, wydawała się posągiem na łonie natury, wykutym z granitu.

...Rechot żab i kumkanie mąciło ciszę i czyniło ją słodką i swojską...

Na niebie zaczęły ukazywać się gwiazdy... z za drzew wypłynął księżyc... i przejrzał się w ciemnym zwierciadle.

...„Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą i dwa obaczysz księżyc”. ... W srebrzystej poświacie księżyc drgał miarowe trzciny...

...Tęsknota i zaduma snuła się po dalekich lasach... wodach... Zakradła się tam, dokąd wstęp nie mógł w taki wieczór, być wzbroniony.

...Ogarnął mnie smutek i tęsknota za czemś dalekim, nieuchwytnym...

...Chciało się płakać z żalu... za czemś, czego nie było... Powrót do ludzi... rozmowy... szara rzeczywistość... Czar przysła... zostało wspomnienie czegoś nieuchwytnego i pięknego...

Mikołaj Kortt
kl. VII.

JUŻ TEGO WSZYSTKIEGO NIEMA...

Jesień...

Wieśniak doorywa ostatnią skibę przesiąkniętą wilgocią ugoru. Pola jakieś dziwne, nagie, puste, brak im tego życia, które, pamiętam, jeszcze przed kilku miesiącami było tak piękne.

...Niedawne, a już wspomnieniem jeno są minione chwile, jak sen wczoraj przesłonięty.

...Niedawno, a już wspomnieniem pozostało lato, obozy, wycieczki...

Jeszcze gdzieś daleko na południu, o setki może kilometrów oddalone, błyszczą w promieniach złotego, jesiennego słońca nasze polskie góry. W swym wartkim biegu szumią potoki, niezliczone wodospady, które w zakrętach rozpryskują się, pienią, spadają z wysokości. Wśród masywnych bloków skalnych olbrzymów, zastygłych w majestatycznej powadze, jakby pogrążonych w wieczystej kontemplacji, pojawia się

ciężko dyszący pociąg i z nieprawdopodobnym wysiłkiem powoli pełźnie po pochyłości góry poto, aby gdzieś dalej stoczyć się z zawrotną szybkością na samo dno przez naturę utworzonego tunelu.

Nigdy nie czułem takiego chwiania się pociągu. Tracę przytomność? — pomyślałem, chwytając się za pas przy oknie, przez które wpadały znikome mroki. Zdało mi się, że wagon nie sunie się po szynach, biegnących w nieskończoną dal przed lokomotywą, ale jakgdyby skacze i lada moment nastąpi wykolejenie. Niebezpieczeństwo minęło — tunel pozostał za pociągiem, wijącym się naksztalt węża wśród niezliczonych zakrętów i pochyłości.

Wychyliwszy się z okna wagonu, z zachwytem i podziwem spoglądałem na ścianę granitową, połyskującą letnią jasnością świerkowych lasów, która, wynurzając się z głębin biegnącego wzdłuż toru rowu,

wznosi się z oddala, kończąc się gdzieś wysoko, wysoko, tak wysoko, że trzeba się dobrze wychylić, żeby z okna pociągu zobaczyć szczyt, na którym można dojrzeć dziś już unikat — króla i pana tych odwiecznych skał, orla.

W powietrzu, zdawaćby się mogło zupełnie przejrzystym, doskonale widać każdy krzak, drzewo rosnące, czy też powalone przez rozswawolone, rozigrane w swym djabelskim tańcu wiatry halne. W innym miejscu dostrzega się zawisłą na zboczu górskim wioskę góralską, robiącą wrażenie widoczną, stworzonego przez wyobraźnię malarską, powieszonego na ścianie.

Dziwi mnie, że się to wszystko trzyma skalnych podwalin, nie nieprzyjmujących na dłuższy przeciąg czasu w swe posiadanie i nie polecą aż na sam dół, gdzie wartka, nieustraszona, groźna rzeka, jak kręty gościec, szumi u podnóża, obleczonych w monotoną szatę zieleni, złomów skalnych.

Na wywrotach otwartych hal, opodal domów dostrzegam pasące się stada krów i owiec. Słychać nawet w przerwach między powolnymi oddechami dwu strudzonych lokomotyw, z oddali biegnące głosy nawołujących się pasterzy, potomków tych ludzi, którym wystarcza szary byt i szata zgrzebna oraz te niezastąpione góry, jak oni powiadają „kamienie“.

Zdaje mi się, że to nie rzeczywistość, że jestem w ekstazie, względnie na filmie, który pozwolił mi na chwilę zapomnieć o trosce codziennego, szarego życia. Aż się zawrotu głowy dostaje od tej odległości, z której tak dalekie, a jednocześnie tak bliskie wydaje się wszystko.

W powietrzu ciepłem bezbarwne nitki babiego lata srebrzą się w promieniach słonecznych. Pełno tych nici na każdej wysokości, nawet tuż przy ziemi, lecą wszyst-

kie w jednym kierunku w pogodny, cichy dzień. Jedne z nich oplatają pnie drzew, drugie wikłają się w gałęziach, inne zaś suną się w przestrzeń dalej, srebrząc się w skrajach słońca jedynie tylko poto, by w oddali skończyć gdzieś swój powolny lot na złomie skalnym.

Pusto zupełnie, cicho, spokojnie, uroczyście, cała natura w swej przepysznej, wymownej okazałości zatopila się w majestatycznej ciszy, co zaległa te barwne, rozświetlone załomy i bezdenne czeluści, unosząc się w czystym, gęstwą białych pajęczyn przetkanem, powietrzu. Tylko głucho, ciężkie oddechy lokomotyw macą tę harmonję.

Nagle i te odgłosy ustają.

Czuje zwiększający się pęd powietrza, rozlega się coraz gwałtowniejszy i szybszy stukot kół po szynach, po chwili najbliższy pejzaż poczyną się wydłużać coraz więcej, prędzej, szybciej, wygląda już, jak szeroki, ruchomy, złożony z mniejszych pasemek o różnych szerokościach, odcieniach szachownic. Cały pociąg z nieprawdopodobną szybkością począł opuszczać się w rozkoszną dolinę, pieszczącą i upajającą duszę swym widokiem. Na sekundę pod kołami migają przez kraty mętne, spienione wody, wagon się przechyla, czuje, że traci równowagę... piękny krajobraz znika za ostrym zakrętem, a za chwilę przed oczyma wyrastają ściany bezgranicznie głębokiego, poważnego w swym wyglądzie wąwozu.

Cień i odwieczny chłód mię ogarnął.

Sen, majaczenia. Tak niedawne, a tak odległe już chwile... — Dawno... bardzo dawno... może wcale ich nie było... może dopiero mają być... fantazja... wyobraźnia...

Zygmunt Januszkiewicz
kl. VIII.

B U R Z A

Powietrze było duszne i parne. Promyki słońca tańczyły na szarozielonej tapecie. Rosnące pod oknem malwy lekko szeleściły... Wtem złote plamki znikły z tapety... Ciemne, ołowiane chmury zakryły słońce!... posuwały się po niebie powoli, leniwie, rozszerzały się coraz bardziej, — stopniowo... stopniowo... powoli...

Zerwał się wiatr, jęcząc, świszcząc, hucząc, zaczął tańczyć. Nie był to cichy, spokojny taniec promyków słońca na szaro-zielonej tapecie — to był taniec opętańczy, szalony, taniec szatana! ...Wydłużał się, to się rozszerzał, to znów wylatywał w górę! Wtem... przylgnął do ziemi, przycichł, przywarował... zakręcił na miejscu, porwał garść piasku i cisnął o szybę! Zatargał łodygami blado-różowych malw! Cicho jęknęły...

Chmury zasnuły całe niebo. Zapanowała ciemność. Wiatr przestał wyć...

...Cisza... cisza senna, cisza przed burzą!... Błysk! — Padł grzmot! Niebo jakby rozdarło się na dwoje! Lunał deszcz!

Trzask! Błyski! Błyski! Coś głucho jęczy!... czy to wiatr?... czy płaczą blado-różowe malwy?...

Znowu trzask! znowu błysk! Deszcz o szyby dzwoni, wiatr zawodzi, płaczą biedne malwy...

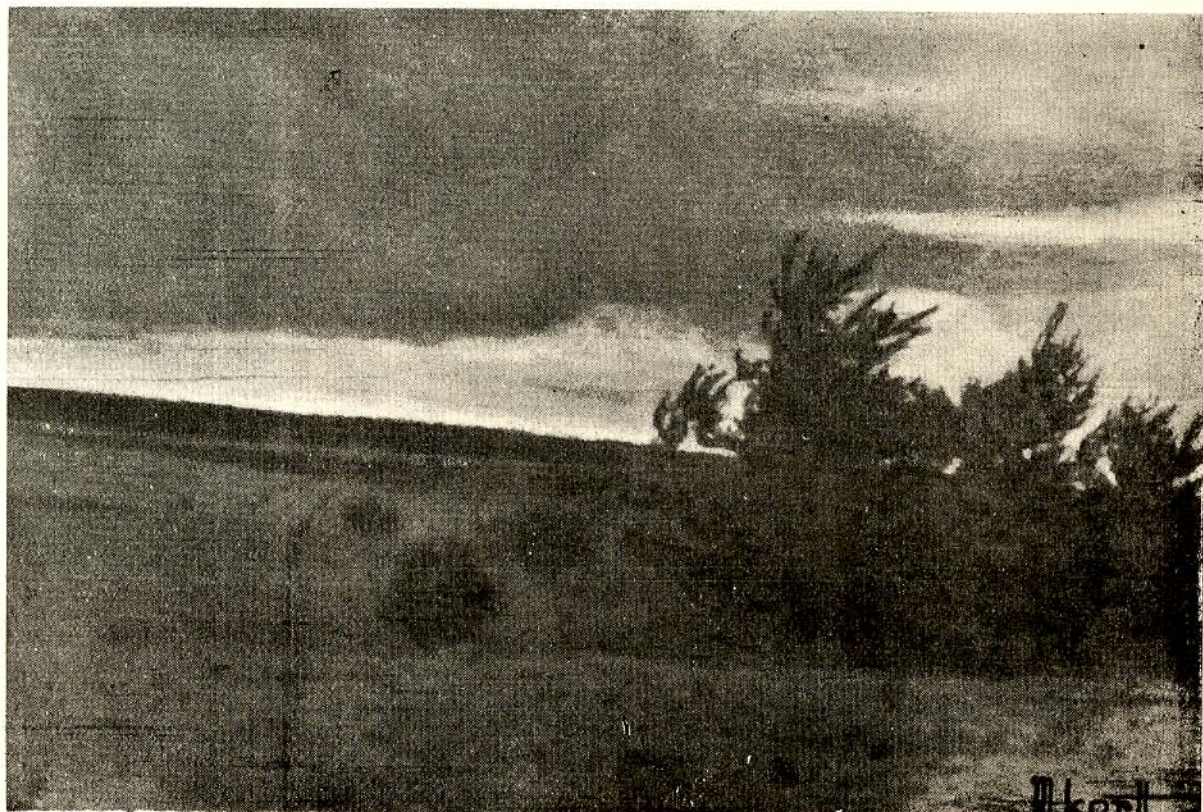
Światło! Ciemno!... Ciemno! i znowu światło. Trzask!...

Cisza... cisza po burzy...

Powietrze przejrzyste, rześkie, czyste...

Kropla deszczu zawisła na świeżo rozwiniętym pąku róży. Mieni się setkami barw w promieniach słońca: biała, zielona, żółta, złota, różowa, znowu złota... czerwona... purpurowa... wreszcie sponsowiała...
...zadrżała... i spadła.

Mikołaj Kortt
kl. VII.



S E N

Las stoi ubrany w gałązki białawe
i marzy
o wiośnie.

Sosny wysmukłe drżą kędzierzawe,
las gwarzy
o wiośnie.

To sen!
Drzemie bór stary
białemi czary
pokryty.

Wznosi ku niebu sosen konary
i marzy o wiośnie
przez sen.

Zaduma wszędzie, cichość marzenia,
dokoła srebrne
skry...

Dziwnie się dusza tu rozprzestrzenia,
zapada w nieśnione
sny.

Cicho...

...Jakieś duchy!

To lecą śnieżnych płatków puchy,
mknąc w nieskończoną dal.

Mikołaj Korff
kl. VIII.



**PAN
TADEUSZ**

CZYLI

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Historja szlachecka

z r. 1811 i 1812.

WE DWUNASTU KSIĘGACH. WIERSZEM.

przez

ADAMA MICKIEWICZA.

TOM PIERWSZY.

Wydanie Aleksandra Jeziemskiego,
z POPRZESZCZĄ AUTORA

PARYŻ.

1834.

„Pan Tadeusz” — to dzieło wielkie a proste, pełne czaru i piękna, pełne prawdy, nieskłamanej w niczem i zabarwionej tęskną zadumą i melancholijnym półsmutkiem.

„Pan Tadeusz” — to dzieło, poczęte w miłości, dzieło dobre i piękne, szlachetne i wzniosłe, pełne pragnień autora powrotu do ukochanej Ojczyzny.

Mickiewicz czuł potrzebę tworzenia w głębi swej duszy. Zamykał w słowa obrazy, przesuwające mu się przed oczyma wyobraźni, stwarzał cały szereg postaci żywych, pełnych prawdy, a wywołanych siłą wspomnienia, siłą, która niosła go do tych pól nadniemeńskich, pokrytych złocistą pszenicą i srebrzystym żytem, do tych łąk i lasów zielonych, pokrywających pagórki ojczyste. A kiedy wspominał swe lata młodzieńcze, kiedy to, jako „młode pachole, ze strzelbą na ramieniu, świszcząc, szedł na pole”, to na ustach jego zjawiał się uśmiech, pełen prostoty i naiwności dziecięcej. Jak promień słońca, wpadłszy w mroczne ostępy puszczy litewskiej, tak ów półuśmiech rozjaśniał tęskne pragnienia i smutek, który jego duszę wypełniał.

W arcydziele swem Mickiewicz przedstawia sceny żywe, tryskające humorem,

W SETNĄ ROCZNICĘ

„PANA TADEUSZA”

zmusza, byśmy się razem z nim śmieli na widok zaperzonych dwóch przeciwników — Asesora i Rejenta, to znów pokazuje nam genialną postać Wojskiego i szlachetne rysy Gerwazego, przypominające nam osoby żywe, z którymi pragnęlibyśmy choć chwilę porozmawiać. A takich postaci możnaby przytoczyć dużo — mieszkańcy zaścianka Dobrzyńskiego i Soplicowa, tłum włościan i wojsko polskie. Każdy z tych ludzi ma właściwy sobie wyraz i charakter, każdy ma takie cechy, których nie znajdujemy u innych osób. Do człowieka odnosił się Mickiewicz z prostotą, miłością, z taką dobrocią serca, jak żaden z pisarzy jemu współczesnych. Próżno i długo szukalibyśmy równego mu pod tym względem nie tylko w literaturze polskiej, ale i w powszechnej. To już jedno wystarcza, aby „Pan Tadeusz” był wiecznie żywy i wielki.

Ale to jest dopiero drobna część tego, co zawiera w sobie dzieło, zrodzone z miłości i tęsknoty za ziemią ojczystą. Szum puszcz litewskich, szmer wartkich potoków i krasy rozległych łąk nadniemeńskich, poźłocista fala szemrzących łąków zbóż, daleko biegnące miedze z samotnymi gruszami, niebo, obłoki, martwota i cisza przed burzą, szalejący orkan w przestworzach, niebieski uśmiech lazurów w rozświeconym, pogodnym poranku, wschody i zachody słońca, śpiew ptasząt radosny, klekot bocianów, głuchy pomruk niedźwiedzia, rechot żab i pobrzękiwanie delikatne a subtelne much i komarów — to wszystko objął poeta mocą swej kochającej duszy, wszedł w każdą istotę zjawiska cały i żywy, to wszystko zamknął w swym utworze.

Piękno, swoiste ukochanej Litwie, kolebce Mickiewicza, przechodzi w czar, w jakąś nutę rzewną a głęboką, jak tchnienie potężnych piersi litewskich borów, jak oddech ziemi, której treść najistotniejszą zdołał podchwycić. I staje przed nami żywa ziemia poety — Litwa, jak stawała przed oczyma twórcy w szacie krasy i wdzięku, upajająca a pełna niewysłowio-

nego czaru. Żaden z poetów nie ukochał bardziej swojej ziemi, żaden bardziej nie wejrzał w jej tajniki, w głębie, niedostępne dla oka zwykłego śmiertelnika.

Nie na tem koniec. Spaja to wszystko jakiś motyw, akcja przepiękna i zajmująca, pełna podłoży, godnych najszlachetniejszych aspiracji ducha ludzkiego, dzieje narodu, jego walki z trudnościami, piętrzącymi się na drodze życia, wzlotów i upadków duszy człowieczej, która, przeszedłszy przez piekło podłości i nieczemnych czynów, opuszcza manowce, odkupuje krwią własną i resztą życia błędy, popełnione w chwilach niepanowania nad sobą, w chwilach uniesienia i pragnienia zemsty, aż wreszcie oczyszczona z grzechów, pojednana z ludźmi i Bogiem, opuszcza ziemskie siedlisko. Oto staje przed nami żywa i szlachetna postać księdza Robaka. Zagadnienie odkupienia winy i kary, zagadnienie duszy ludzkiej jest zagadnieniem ogólnoludzkim i wiecznotrwałym. Jeden Mickiewicz wejrzał tak głęboko w zagadkę duszy człowieka i odsłonił jej najskrytsze tajniki. Najszlachetniejsza z idei, idea poświęcenia się za Ojczyznę, idea walki o wolność, znalazła miejsce na kartach „Pana Tadeusza”.

Zamierający świat życia szlacheckiego, staropolskie tradycje i obyczaje, dowcipne anegdoty i powieści, przedziwne i piękne tancerstwo — polonez szlachecki — znalazły także miejsce w 12 księgach nowożytnej epopei.

W dziele tem poeta połączył piękność i prawdę z uczuciem, wyobraźnią i głębią myśli. Utwór cały odznacza się nadzwyczajną żywością i plastyką figur oraz obrazów. Stąd płynie wielkość tego dzieła, stąd doskonałość i nieśmiertelność zarazem.

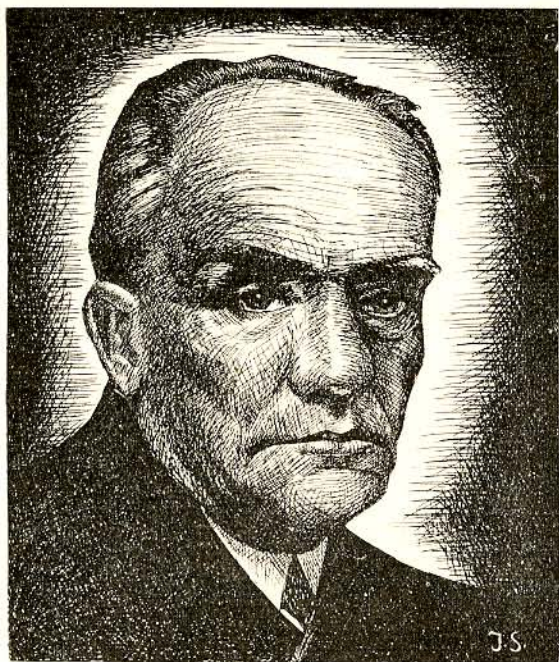
„Pan Tadeusz” przypominał współczesnemu autorowi czasy minione, wskazywał narodowe wady Polaków, pouczał, jak mają się ich pozbyć, w jaki sposób mają pracować, by wymieść „śmiecie”, by powitać dzień wolności.

Epoka, którą przedstawił Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”, zgasła na wieki, ale sam utwór i myśli w nim zawarte pozostaną w duszach prawdziwych Polaków, jako rzeczy wzniosłe i piękne. Mickiewicz znał i kochał naród polski, wieś polską i dwór staroświecki. Jego Soplicowo, jego zaścianki wciąż żyją i żyć będą nie na papierze, lecz w naszych polskich wsiach, gdzie znajdziesz, jak wszędzie i we wszystkich klasach — i zbrodnię, i świętość, i pychę, i pokorę, i prywatę, i poświęcenie i chamstwo, i prawdziwy arystokratyzm ducha, i głupotę, i rozum, i pieniactwo, i wspaniałomyślność, i warcholstwo, i solidarne braterstwo broni w obliczu wroga — słowem Polaka, jakim był i jakim będzie, dopóki się nie wynarodowi — jak wyraził się w czasie obchodu stulecia „Pana Tadeusza” w Krakowie K. H. Rostworowski.

„Pana Tadeusza” słusznie uznano za jedno z największych dzieł literatury wszechświatowej. Wywołało ono wiele głosów krytyk, komentarzy i replik zawziętych.

Ścierają się myśli, poglądy i sądy o dziele, ale wartość jego rośnie niemal z dniem każdym. Świadczy o tem fakt, zainteresowania się Europą mickiewiczowskim arcydziełem i świadczy wzorowy przekład jego przez Pawła Cazin na język francuski.

Waldemar Weber
kl. VII.



W DZIESIĘCIOLECIE

ZGONU PISARZA

Mija 10 lat od dnia, w którym zakończył życie jeden z największych prozaików polskich i jeden z najlepszych patriotów — Stefan Żeromski.

Znamy to imię, powtarzamy je często, czytamy jego utwory, obowiązkiem więc naszym w rocznicę śmierci wielkiego pisarza złożyć Mu hołd, przypomnieć o jego twórczości, przyrzeć się jego dziełom, w których jak w zwierciadle odbijają się uczucia i myśli autora, w których też znaleźć można wyraz dążeń i ideałów, oddziaływających na naród w chwili, w której pisarz żył i tworzył.

Trudno jest dać obraz całkowity i możliwie pełną ocenę prac Żeromskiego z powodu wielkiej ilości i bogatej treści jego dzieł. Działalność Żeromskiego nie ograniczała się tylko do twórczości literackiej. Brał żywy udział w życiu społecznym narodu polskiego, trzymał nieustrudzenie rękę swą na pulsie tego życia. W dziedzinie twórczości literackiej występuje jako powieściopisarz, poeta, dramaturg, krytyk i publicysta, a w każdej z tych dziedzin praca jego jest bardzo owocna.

Dzisiaj, już w perspektywie czasu, możemy bez żadnych ubocznych względów ocenić pisarza, którego jedni uważali za szczytny wytwór ducha polskiego, inni zaś

za człowieka raczej szkodę, niż chlubę naszej kulturze przynoszącego.

Wpływały na tak niezgodną ocenę zapatrywania polityczne, różnice lub podobieństwa poglądów partyjnych.

Dzisiaj, po 10-ciu latach, jakie minęły od jego zgonu, możemy objąć wzrokiem dzieło pisarza, nie obserwując go z ruchomego punktu własnego życia, które nie płynie równoległe ze szlakiem twórcy. Te 10 lat wykazały, kim był Żeromski i czym była jego twórczość w okresie Polski w latach niewoli, w okresie formowania się naszego państwa i w okresie odzyskania bytu niepodległego.

Śmierć Żeromskiego zamknęła w dziejach literatury polskiej epokę, którą w historii Polski zamknęła śmierć Marszałka Józefa Piłsudskiego. Jak Marszałek Piłsudski był w polityce ucieleśnieniem idei Niepodległości, symbolem dążności narodu do odbudowy własnego państwa, tak Żeromski ideę tę wcielił w okresie poromantycznym w najdoskonalsze formy literackie. Krzepił serca Polaków nie tak jak Sienkiewicz, który ukazywał wielkie chwile z przeszłości Polski, ale metodą nie tak prostą i łatwą. W sposób często okrutny i bezlitosny ukazywał w dziełach swych ostatnie lata niewoli: szarpanie się, wysiłki bolesne pokoleń, ofiary, często zdawałoby się beznadziejne. „Patrzcie — uczył swojemi książkami — jak walczyli oni. Walczcie tak i wy. Może skuteczniej. A jeżeli skończycie tak samo, to będziecie jedną jeszcze ofiarą na ołtarzu Polski”. Prócz idei niepodległości przyświecała Żeromskiemu w jego twórczości idea sprawiedliwości społecznej.

Żeromski był w wielu swoich rysach typem szlachcica polskiego. Najbardziej to się uwydatnia w jego stosunku do zagadnień społecznych. Traktuje on z jakimś gestem wielkopańskim, z serdecznym bólem, z miłością bezgraniczną, z głębokim prze-

jęciem się, ale z zachowaniem należytego dystansu.

Język Żeromskiego osiągnął najszczytniejsze wyżyny artystyczne. Z kart jego dzieł bucha płomienny żar miłości, tętni w nich gorące serce, pulsuje krew życia. Słowa jego mają magnetyczną siłę i zabarwienie melancholją smutku.

Wypływało to z jego duszy, pełnej dysonansów, rozpacz i radości, zmagania się dobra ze złem, ciągłej walki artysty ze „społecznikiem”.

Jakże trafnie i pięknie określił twórczość Żeromskiego jeden z jego krytyków:

„Przez 30 lat dzieła jego twórczości padały w życie polskie, jak burza, z przerażająco-czarnej chmury miotając piorunami, oślepiając błyskawicami strasznych i mocnych obrazów, użyźniając dusze ulewą wrażeń, przelśniewając zrzadka, ale cudnie uśmiechami błękitu i słońca”.

Żeromski sam sobie wzniosł pomnik najtrwalszy w duszach i sercach pokoleń, które mijają i po nas będą, wrósł w glebę naszej literatury silnie i nierozzerwalnie zespolił się z ludzką nędzą, bólem, smutkiem i radością.

Wiktor Sałata
Kl. VII.

POWSTANIE STYCZNIOWE W UTWORACH STEFANA ŻEROMSKIEGO

(W ZWIĄZKU Z 10-tą ROCZNICĄ ZGONU PISARZA)

Powstanie zostało w pamięci Polaków jako poryw młodzieńczego entuzjazmu z tęsknem pięknem młodości, stratomanej przez barbarzyński los z gestem romantycznego, marzycielskiego bohaterstwa, z tragizmem daremności ofiar i wysiłków. Z upadkiem swym odrazu przeszło w jakąś sferę nierealną, czekając na zmartwychwstanie w poezji.

Powstanie styczniowe mimo klęski nie straciło aktualności i jego dzieje wspomina się jako dzieje walki zaczętej, ale nieskończonej. Pół wieku trzeba było, aby idea walki zbrojnej znów znalazła oddźwięk w sercu narodu. Powstanie zyskało kształt wiecznotrwały w obrazach Grottgera, który przedstawia ofiarny, bohaterski entuzjazm i niezmierną boleść. Tę niezmierną boleść powstania uwiecznił w swych utworach wielki pisarz, który uzyskał miano poety powstania styczniowego, Stefan Żeromski. Bolesne skutki powstania są jego głównym przeżyciem młodości. W utworach swych: „Echa leśne”, „Rozdziobią nas kruki, wrony”, „Wierna Rzeka” poeta opiewa powstanie 1863 r.

W dziełach Żeromskiego powstanie przybrało charakter odrębny. Poeta odebrał powstaniu, o ile to było możliwe, wszelką historyczność. Nie zajmuje się on żadną

historyczną postacią. Wymienione są tylko jakby przypadkiem nazwiska Langiewicza, Czachowskiego i innych. Charakter narodowy powstania usuwa autor jakby na drugi plan. Tak samo usuwa w cień wypadki dziejowe i nie zajmuje się nigdzie szerszym tłem historycznym faktów. Wraz z historycznością usunął poeta pierwiastek batalistyczny. Powieść jego zaczyna się po bitwie na krwawym poboju. Gdy do epizodu walk sięga w „Echach leśnych”, o samej walce wspomina ledwie. Treścią czyni śmierć powstańca, którego stryj własny, kochający go na śmierć skazał. Dla Żeromskiego powstanie — to przede wszystkim człowiek cierpiący. Jego uwagę skupia czysto ludzkie cierpienie, ból jednostki góruje nad upadkiem sprawy. Powstańcy odrazu zjawiają się z piętnem bólu i tragizmu. Winrych — bohater noweli „Rozdziobią nas kruki, wrony”, jest ostatni, który przy sprawie wytrwał.

W ponury, ulewny dzień jesienny wyjechał z za pagórków rajgórskich i skierował się pod Nasielsk Andrzej Borycki pod przybranym nazwiskiem Szymona Winrycha. Podjął się on niebezpiecznej misji, a mianowicie: powstańcom broń wozził. Czuwał przez dwie noce i trzeci dzień szedł przy

wozie. Przedstawiał sobą okropny widok. Przemókł i przeziął do szpiku kości.

Włosy mu wyrosły „w orle pióra“, paznokcie „w dzikie szpony“. Szedł i od czasu do czasu żłopał gorzałkę. Widok ten budzi uczucie litości. Nie zimno, nie głód, nie przedziurawione i przemokłe buty były przyczyną nędzy powstańców, lecz ta świadomość ironji losu, który chcieli zmienić bohaterskim wysiłkiem.

„Wszystko przełajdaczone — szepce Winrych — przegrane nie tylko do ostatniej nitki, ale do ostatniego westchnienia wolnego. Teraz dopiero na świat wyleci strach o wielkich ślepiach, ze stającymi na łbie włosami i wypędzi z mysich nor wszystkich metafizyków reakcji i proroków ciemnoty.

Czego dawniej nie ważyłby się jeden drugiemu do ucha powiedzieć, teraz będą opiewali heksametrem. Ile w człowieku jest zbroja i zdrajcy, tyle z niego wywleka, na widok publiczny ukażą i ku czci oraz naśladowaniu podadzą. I pomyśleć, że to my taki sprawiliśmy postęp wyobrażeń, ponieważ przegraliśmy“.

Uciekający wóz spostrzegli Moskałe, dopadli go, zabili Winrycha i konie. Powstaniec podniósł po raz ostatni powieki, zaciśnięte przez ból i ogarnął go żal śmiertelny z nadzieją nieśmiertelności, niby przeszeń bez końca. Nie poprzestając na tem, Żeromski podnosi jeszcze okropność obrazu, stawiając nad trupem konia okaleczonego, z wystającą połamaną kością. Obraz ów zostaje na zawsze w duszy czytelnika ze swem ponurem tłem i owemi stadami wron, co krążą dokoła konia konającego z zapadającym zmrokiem, z którego z za świata szła noc, rozpacz i śmierć. „Wrony z wielką uwagą, taktem, cierpliwością i dyplomacją zbliżały się, podtrzymując głowy i uważnie badając stan rzeczy. Szczególnie jedna zdradzała największy zasób energii, żądry odznaczenia się, czy nienawiści. Ta zapra gnęła zajrzeć do wnętrza mózgu, do siedliska wolnej myśli i zupełnie je zeżreć. Ta wstąpiła majestatycznie na nogę Winrycha, przemaszerowała po nim, dotarła szczęśliwie aż do głowy i poczęła zapamiętałe dobijać się do wnętrza tej czaszki, do tej ostatniej fortecy polskiego powstania“.

Zrozumiałe jest, że obraz ten jest przenośnią. Kruki i wrony przedstawiają zaborców, którzy starali się zniszczyć Polaków i pozbawić ich ojczyzny, a wrona, która tak zapamiętałe dobijała się do wnętrza

czaszki, ma przedstawiać Rosjan, którzy dążyli do zrusyfikowania Polaków, do ich wytepienia, do zniszczenia w ich sercach polskości. Żeromski współczuje Winrychowi, żałuje go i płacze nad jego nieszczęsnym losem. Oplakany jest los każdego powstańca. Powstaniec, który wytrwał do ostatka, nie znalazł szczęścia. Księżę Odrowąż, bohater „Wiernej rzeki“, jest ostatnim żywym żołnierzem z tych wszystkich, którzy walczyli obok niego. Żołnierz, ranami okryty, grzejący się krwią, co płynie z towarzyszy, z czapką krwi na głowie zbolelej, wstaje z pośród trupów i wlecze się wśród bólu, gorączki i przenikliwego zimna. Nikt mu nie daje schronienia. Chłopi nim pogardzają, a nawet grożą wydaniem go w ręce wroga. Dopiero panna ze dworu, Salomea Brynicka, przygarnie chorego, lecz go z ran i z tego powodu jest wystawiona na liczne niebezpieczeństwa. A kiedy już ciężko ranny znajduje przytułek, musi raz po raz kryć się w jamie, wydrażonej w głębi stodoły, niby na dnie studni lub też chować się w kadzi, by go wrogowie nie znaleźli.

To wszystko za szersze tło ma nędzę — ów dwór, będący schronieniem dla rannego, jest zniszczony, spalony częściowo, obrabowany. Głuchy, na pół zidjociały sługa, wierny wobec żołnierzy i powstańców, chowa starannie skarb ostatni, jedyne pożywienie dla siebie, dla panienki i rannego — worek z kaszą. Sam dwór, pełen smutku i niepokoju, opuszczony, pono zamieszkały przez ducha starego samobójcy — Dominika, zagrożony zaś przez zgłodniałych powstańców i bezlitosnych, śledzących żołnierzy nieprzyjacielskich.

Powstaniec wiele przecierpiał. Rany zwolna się goiły. Salomea opiekowała się rannym. Wkrótce między dwojgiem młodych zawiązała się przyjaźń, która niebawem przerodziła się w miłość. Odrowąż nie trwał już w rozpacz. Marzył o dalszej walce, o jakimś nowym, wielkim wodzu zwycięskim. Ale on ludzi tylko siebie i ludźmi go ci, co podtrzymują i wzbudzają w nim marzenia, a więc Salomea i księżna. Odrowąż opuszcza Salomeę, którą kocha nad życie, gdyż matka zabiera go zagranicę, mówiąc mu, że zawiezie go do szeregów powstańczych. Nie jest winien ów powstaniec, opuszczający Salomeę, ani winna nawet matka jego, właściwa sprawczyni faktu, nie. Żeromski wszystko rozumie i wszystko przebacza i ze smutnym uśmiechem mówi: „Tak musiało być“. To jest bowiem w jego

sądzie o ludzkich cierpieniach ostatnie słowo. Żeromski jest wyrozumiały i dla oficera rosyjskiego Wiśnicyna, który z marzącego o wolności stał się katem Polaków, i dla gen. Rozłuckiego – renegata.

Trzykrotnie pojawia się w powieści Wierna Rzeka, zawsze w chwili najboleśniejszej. Wlokący się z pobojuwiska ranny powstaniec wchodzi w bród rzeki. „A skoro tylko zanurzył się i doznał ulgi szczególnej, zaczerwieniła się około niego czarna, rzeczna woda”. Potem nad brzegiem rzeki staje Hubert Olbromski, ścigany przez żołdaków, niosący w torbie dokumenty Rządu Narodowego, niosący „jakgdyby serce walczącej Polski”, „tajemnicza, skłębiona woda rozwarła swój czarny nurt. Pojął, jęknął. Z zamachem cisnął skórzaną torbę – sekret Ojczyzny w głębinę. Rzeka plusnęła na znak – ni to głuchą odpowiedź”.

Wreszcie przybywa nad rzekę Salomea, gdy po mękach poświęcenia i po śnie nieszczęścia została jej tylko hańba – i garść złota. „Wydostała z kieszeni sakiewkę książnej, nabitą złotymi pieniędzmi, odsypała ich część na dłoń i z wysoka, z zamachem zionęła w pędzącą wodę. Woda plusnęła na znak. Salomea wysypała z sakiewki drugą i ostatnią część i wsiała złoto w pędzącą wodę. Woda jedynie rozumiała męczarnię serca. Ona jedna powtórzyła mu dźwiękiem zrozumiałym”.

Mimo serdecznego stosunku do powstańców z r. 1863 Żeromski potępia i oskarża ów-

czesnych chłopów. Najsilniej właśnie w tych utworach podkreśla ujemne cechy chłopów. Ledwie przesunąć się pozwala wieśniakowi, który sprzyja powstaniu i po polsku myśli i czuje. On, który w innych utworach tak umiał wnikać w duszę chłopską, stara się wyjaskrawić ohydny rolę chłopca w stosunku do powstania. Rannego chcieli chłopcy wydać wrogom, natrzasając się z niego: „Te – wolność”. A nigdzie do takiej ironii krwawej nie posuwa się Żeromski jak w urywku, w którym pokazuje chłopca po obrabowaniu trupa winrychowego, bohatera noweli „Rozdziobią nas kruki, wrony”.

„Po rozpatrzeniu tych utworów, w których Żeromski porusza sprawę powstania styczniowego, a raczej sprawę uczestników powstania, możemy wywnioskować, że Żeromski nie potępia powstańców, lecz żałuje ich. W poecie rodzi się wielka solidarność z tem wszystkim, co stanowi boleść powstania.

Poeta współczuje powstańcom. Na dnie współczucia Żeromskiego tkwi niedopuszczające wątpliwości przeświadczenie, że powstańcy czynili to, co było ich nieodpartą powinnością. Łączy się zaś z tem coś więcej – poczucie wartości ich czynu, przebijające się mimo wszystko przez bezgranicznie smutne obrazy daremności wszelkich wysiłków.

Salomon Gordon
Kl. VII.



Z O F J A NAŁKOWSKA

Już trzecią zrzędu państwową nagrodę literacką otrzymuje kobieta. W r. 1933 została nagrodzona Marja Dąbrowska („Noce i dnie”), w r. 1934 — Kazimiera Iłakowiczówna, a wreszcie w ubiegłym roku 1935-tym zaszczyt ten przypadł w udziale Zofji Nałkowskiej, która została nagrodzona za ostatnią swą powieść p. t. „Granica” i za ostatnie prace z dziedziny twórczości dramatycznej.

Dzieje twórczości Nałkowskiej—to jedno pasmo licznych przeobrażeń, dokonywujących się na drodze badania psychiki nie tłum, nie klasy, ale jednostki, człowieka.

Twórczość Nałkowskiej — to ciekawe zjawisko, niebywałe dotąd w naszej literaturze, opanowania uczuciowości przez intelekt. Psychika pisarki ma jednak rozległą skalę odczucia, jest wrażliwa na psychikę innych ludzi, przenika do głębi ich serca i duszy, odczuwa ból każdego włókna, każdego nerwu.

Początkiem twórczości Nałkowskiej była poezja liryczna. Gotowy do druku tom poezji z nieznanym powodów zaginął, nie ukazawszy się nigdy w prasie, ocalało zaś jedynie kilka fragmentów, zawierających pierwotny, zasadniczy rys jej twórczości. Już tam widać jakby rozdwojenie się własnego uczucia, zapowiedź podchodzenia nawet do osobistych przeżyć z wnikliwością badacza i obserwatora niby przeżyć obcych, uczuć cudzych. W późniejszych latach pisarka będzie dążyć do dokładnego poznania przedmiotu swych badań, do oddania całego procesu rozwijającego się uczucia. Ten zasadniczy ton intelektualistycznego traktowania zjawisk uczuciowych stanowi właściwie istotę twórczości Nałkowskiej.

W pierwszej fazie twórczości interesuje Nałkowską świat ludzki o tyle, o ile jest podobny do jej świata, następnie tem właśnie, że jest całkiem inny niż jej, że jest

inną odmianą życia, a jednak czemś wspólnym wszystkim ludziom.

Pierwsze powieści Nałkowskiej noszą jakby charakter autobiografii o psychice, jednolicie zarysowanej, wspólnej postaciom kobiecym. Jest to jakgdyby doszukiwanie się elementu samowiedzy o sobie oraz otwieranie sobie w twórczości tych możliwości przeżycia, jakich nie dostarcza jej rzeczywistość.

W tym okresie Nałkowska doszukuje się właściwszego stanowiska kobiety wobec otoczenia i życia („Rówieśnice”, „Księżę”, „Narcyza”), wobec czego w jej powieściach tego okresu prawie zawsze występuje jeden i ten sam typ kobiety, kształtującej własnymi siłami życie, zdolnej do wycofania się ze wszystkich słabości swej natury w dziedzinie intelektu, aby stamtąd kierować sobą ku coraz doskonalszemu kształtowaniu linii swego życia. Autorce mniej tu chodzi o to, jak ktoś przeżywa życie, lecz ważne jest dla niej to, jak ona sama mogłaby je ukształtować w sposób najgodniejszy.

W późniejszej fazie twórczości Nałkowskiej następuje pewien przełom, w którym uwidoczni się większe zbliżenie się do rzeczywistości życia i zwiększa się rzetelność psychologiczna. Ludzie stają się charakterami, ztracając ton abstrakcyjny. Przełom ten jest wpływem natury wewnętrznej, pewnego



rodzaju pogodzeniem się z życiem i światem zewnętrznym.

Ten przełom wewnętrzny wyciska wybitny charakter na całym szeregu powieści z tej doby („Hrabia Emil”, „Rękawice”, „Charaktery”, „Dom nad łąkami”).

Odtąd już w twórczości Nałkowskiej wszelkie zjawiska życia będą szczegółami w ogólnym obrazie, zawsze będzie istnieć jakieś pojęcie jakiejś całości życia, jakiegoś ogólnego zjawiska, w którym życie uczuciowe, dramaty i smutki człowieka stanowią tylko fragmenty większego obrazu.

Cała twórczość Nałkowskiej ma w sobie jakiś specyficzny ton braku napięcia dynamicznego, braku akcji. Chodzi jej zawsze tylko o dokładne przedstawienie treści psychicznej swoich postaci, o widzenie ich od wnętrza, o charakter.

Wewnętrzną ramą kompozycji jej powieści jest ustawienie wszystkich postaci w ten sposób, że ukazują nam one zbiorowisko—cierpień, słabości, ułomności ludzkiej, jako obraz symboliczny dzisiejszego cierpiącego, żyjącego uprzedzeniami i niewiastą świata.

Jest to obraz statyczny.

U podstaw poglądu Nałkowskiej na życie leży głębokie przeświadczenie o konieczności tego, co się staje. Twórczość

Nałkowskiej jest całkowicie przeniknięta spokojnym smutkiem postrzegania.

Życie, odbite w zwierciadle twórczości Zofji Nałkowskiej, nie ukazuje swych celów, a czyni je wszystkie względne. Natomiast odsłania głęboko ukryte, fantastycznie splecione przyczyny wszystkich zjawisk.

Oprócz powieści należy wziąć pod uwagę dramaty Nałkowskiej. W jej twórczości dramatycznej przejawia się ten sam ton statyczności i owa konieczność nieubłagana tego, co się dzieje. „Dzień jego powrotu” — to wspaniały dramat, poświęcony zbrodni, tkwiącej w samym człowieku, a nie w okolicznościach samego życia. Nie los zmusza człowieka do zbrodni, lecz to pewne jego nastawienie wobec egzystencji. Na specjalną uwagę zasługuje również dramat „Dom kobiet”. Jest to oryginalna sztuka, jakby „masowa konfrontacja kobiecych istnień jednej rodziny ze światem męskim”. Sztuka ma tylko kobiece role. Kobiety zmagają się ze wspomnieniami.

Dotychczasowa twórczość Nałkowskiej nie jest ostatnim jej wyrazem, gdyż znajduje się jeszcze w stadium rozwoju. Na tle współczesnej literatury postać Nałkowskiej uderza oryginalnością i wielkim talentem.

Wiktor Salata
kl. VIII.



MOTTO:

A kiedyś może, kiedyś jeszcze,
Gdy mi się sprzykrzy leżeć,
Rozburzę dom ten, gdzie się mieszczę
I w słońce pocznę biec.

Był jednym z tych przewodników narodu, którzy następowali po sobie, dziedzicząc zalety ducha. To był genjusz cierpiący, a cierpieniem jego była niedola Polski.

Stanisław Wyspiański stał się dla nas dziś symbolem pięknego słowa i pięknych myśli, które przelewał w swe natchnione arcydzieła malarskie, w te potężne wizje, przyniatające nieraz swym tragizmem, a zaiste były one tragizmem ducha Polski.

Stał się następcą naszych wieszczów, ukochał tak Polskę, jak Mickiewicz,łowacki i inni i tak jak oni tworzył wielkie dzieła, w których bezwiednie maluje swe cierpienie. Stał się następcą Matejki i tworzył dzieła, które dorównywały dziełom jego mistrza. We wszystkich kompozycjach Wyspiańskiego, począwszy od portretów, a skończywszy na polichromjach kościelnych i witrażach, odbija się wyraźnie jego dusza.

Patrząc na witraż „Bóg Ojciec”, zapominamy o realnym świecie, a odczuwamy potęgę tworzenia. Dziwimy się artyście, który w ten sposób przedstawił Stwórcę. Wlał on bowiem w to dzieło swoją duszę i wydobyl ducha żywego. Błądził po krajinie zjaw, po bezmiarach przestrzennych, a tam obcował z Bogiem Ojcem. Sam był tą kruszynką, tą maleńką duszyczką, która lkała i wyciągała niezdarne ramiona do swego Stwórcy, a Stwórca skinieniem pracy wołał: „stań się”...

Stań się człowiekiem!...

Stań się cierpieniem!...

Stań się narodem całym... i cierp!

Cierpiał i mężnie znoził cierpienia...

Potęgą technię „Polonja”, kompozycja do witraża „Śluby Jana Kazimierza” i witraż

„Kazimierz Wielki”, które są symbolami upadku Polski.

Wyspiański przedstawił nam to, co czuła jego wielka dusza. Ukazała mu się Polska umęczona, omdlała, którą on tak pragnął podtrzymać, lecz był pewien, że go siły zawiodą. Jakaż straszną przeżywał tragedję, marząc o potędze i sile dawnych wieków.

Dzieła jego są pełne tonów. Jakaś melodia, przenikająca do głębi, wrywa się z wykrzywionych konwulsyjnym cierpieniem ust, to znów anielskie chóry wznoszą pieśń triumfu.

Triumf wielki gdzieś na dnie jego duszy spoczywał i wyczekiwał sposobnej chwili... ale, niestety, nie doczekał.

Duch Wyspiańskiego rwał się do wolności, pragnął otrząsnąć się z łańcuchów przeznaczenia, ale, niestety, szczęk ich przywoływał mu na myśl okropny fatalizm, który ciążył tak strasznie, tak przyniatająco.

W swej twórczości malarskiej stworzył specjalny styl, przepojony świętością cierpienia, styl jakiś delikatny, a taki potężny i monumentalny. Na jego arcydziełach widnieją postaci, które wychylają się nieraz ze splotów różanych liści i zwojów cierniowych, postaci tytaniczne, nabrzmiałe cierpieniem i wzdardą, inne znowu... spokojne, ciche, a tak piękne, swojskie...

Na jednym z dzieł widzimy Matkę Najświętszą, która tuli dzieciątko do piersi, a Jej twarz, jakby rodzonej matki i strój polski, a Dziecię ma niebieskie oczy i jasniutkie jak len włosy. Nad Jej głową aniołowie unoszą koronę... to korona Jagiellonów, ta, która spoczywała na głowach największych królów polskich. W oczach Matki

smutek i zamyślenie, w ekstazie ciśnie
Swego Syna do piersi, pewnie myśli o Nim...
O tak. Obraz ten przedstawia nam Polskę.

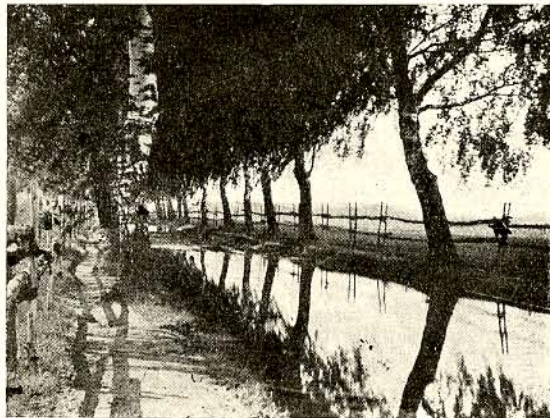
Myślom jego, szybko płynącym, wtó-
rowała cytra Apollina takie smętne i rzewne
melodje, że tylko usta otwierały się do
jęku i martwiały bezwładnie, a oczy, spły-
wające łzami boleści, topiły się w czarnej
przestrzeni bytu i tylko one jęczały obłąd-
nie, tylko w nich gorzało to słowo, które
zamierało na ustach.

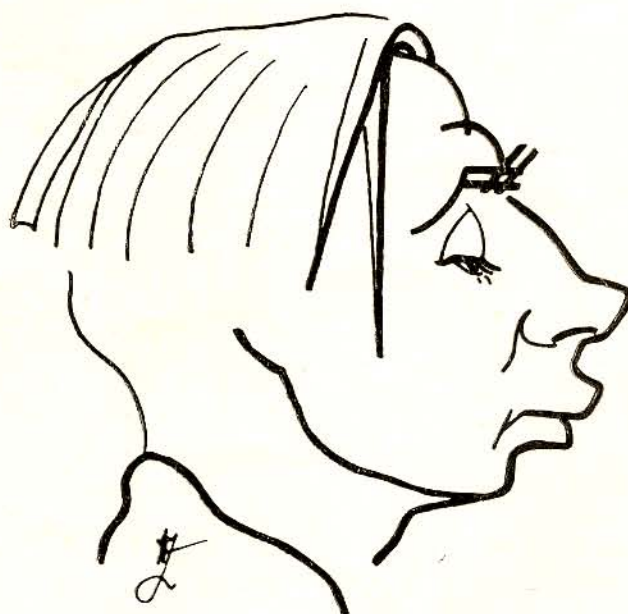
Wyspiański był wielkim symbolistą,

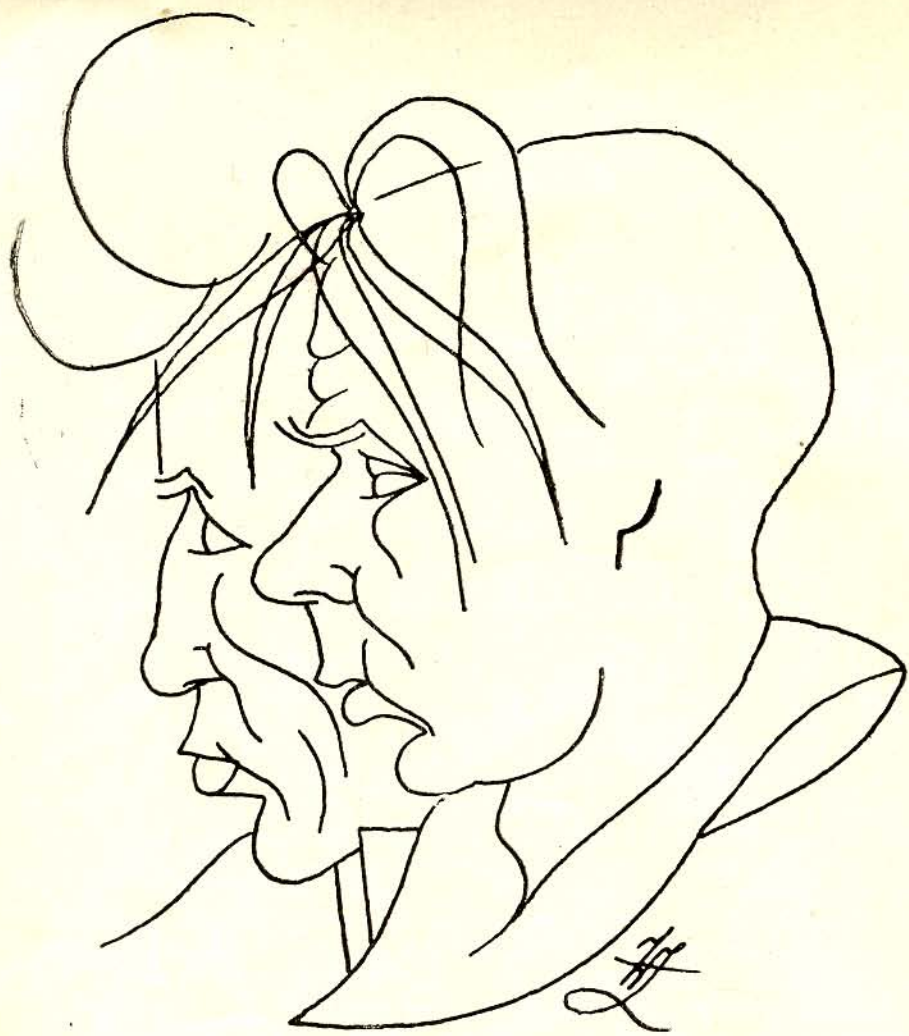
we wszystkim spostrzegał coś, co było nie-
widoczne dla szarych mas. On patrzył ocz-
mi duszy i widział... widział wyzwolenie
Polski.

W tym trudzie, o którym mówił, że
go „zabijał”, wytrwał do końca... a czy
zwyciężył? Tak! Odniósł wielkie zwycięstwo,
lecz stąd odszedł smutny... a może tam
znajdzie ukojenie? Tu nie znalazł.

Stanisław Jukowicz
Kl. VIII.









NA REZUREKCJĘ

Już wzeszło bezrzęse oko słońca i zalało złocistemi promieniami, wychylając się z mroków nocy, ziemię. Wokoło panowała głęboka, poranna cisza, niezmącona najlżejszym powiewem wiatru, ani drganiem budzącego się życia.

Wschodzące słońce rozjaśniło widnokrąg i rysującą się na nieboskłonie puszcę. Niby ciemna plama, rzucona na zamglone tło obrazu, obramowana błękitną wstęgą wody, przybierała coraz to wyraźniejsze kształty i odcienie. Puszcza drgnęła nagle i zaszumiała majestatycznie potężnych drzew koroną, ale tak jakoś dziwnie i tajemniczo...

Szerniały rżyska i ugory, pokryte poranną rosą i mleczną zasłoną mgieł, ukazały swe obnażone łono, tak ciche, posępne, smutne...

Gdzieś wysoko w rozbłękitnionych lazurach nieba ozwał się głos skowronka, jeszcze nieco senny, lecz zdradzający już radosny ton wesela. Gdzieś na oparzeliskach kwiliły czajki i rybołówki, goniące za żerem, aż wreszcie bocian w majestatycznym locie zawisł w przestworzach.

Słońce rozproszyło mgły poranne i rozpoczęło zwykłą wędrówkę. Wszystko zbudziło się nagle do życia z nocnej martwoty i zabrzmiało radosnem pieniem. Przez ciche, posępne pola, przez wąskie, leśne ścieżyny, strącając srebrzystą rosę z nagich gałęzi, poruszały się sylwetki ludzi. Dążyli przez piaszczyste gościńce i pola pojedynczo lub też grupkami w skupieniu i powadze, nie chcąc mieć ciszy porannego majestatu.

Czasami ozwał się turkot toczących się po gościńcu bryczek, czasami zarżał koń radośnie, a wtedy rozstępowały się gromadki ludzi, dając jadącym drogę.

Wszyscy dążyli do miasteczka, gdzie na widnokręgu widniała potężna wieża kościoła, otulona jeszcze mgłą poranną. Na niej olbrzymi dzwon zamarł w bezruchu, zda się skupił w sobie całą siłę i potęgę, czekając tylko chwili, by ożyć nagle i napęlić przestworza radosnem brzmieniem. Ludzi pojawiało się coraz więcej. Piesi i jadący tłoczyli się przez bramy miasteczka, a z okolicznych wsi i zaścianków przybywały coraz to nowe tłumy. Mężczyźni, przybrani w białe sukmany z wzorzystymi pasami, kobiety w jaskrawych sukniach podążali razem w stronę kościoła, skąd dochodziły melodyjne tony śpiewanych przy „Grobie” pieśni.

Tłum z każdą chwilą rósł, potężniał, wzbierał, niby morska fala podczas nawałnicy, wypełniał już całkowicie kościół i tłoczył się na cmentarzu. Oblicze każdego zdradzało jakąś radosną powagę i uniesienie, serca uderzały przyspieszonym tętnem, a rozogniony wzrok tonął w jarzącej się światłem świątyni.

Słońce przedarło się wkrótce przez pokryte kurzem zakratowane okna kościoła i zalało wnętrze oświetloną powodzią.

I widać było sędziwe głowy mężczyzn, przyprośzone siwizną, twarze, zesmagane wi-



chrem, z wyrazem ciągłej troski i cierpień życiowych, a teraz pełne powagi, wesela, skupienia i błogiej radości. Rozmodlone niewiasty i mężczyźni, pełni niewysłowionego majestatu, otaczali grób Chrystusowy, tonący w powodzi światła i zieleni, a ponad wszystkim płynęła pieśń, opiewająca Zmartwychwstanie Pana...

Wokoło zawrzało przyspieszone tętno życia.

Aż oto nagle umilkły przeciągłe głosy niewiast i wtór mężczyzn, a ksiądz zaintonował dźwięcznym głosem:

„Wesoły nam dziś dzień nastał...”

I popłynęła pieśń z tysiąca piersi, pełna siły i potęgi, pełna wiary, radości i wesela...

Zabrzmiały nagle dzwony, zmieszały się ze śpiewem tłumów, z kadzidlany dymem trybularzy i uderzyło jedno brzmienie o ściany kościoła: Alleluja! Alleluja!

Zadrgały szyby okienne, przyćmiły się jarzące światła, a pieśń, pełna powagi i entuzjazmu, płynęła wdał nieskończoną...

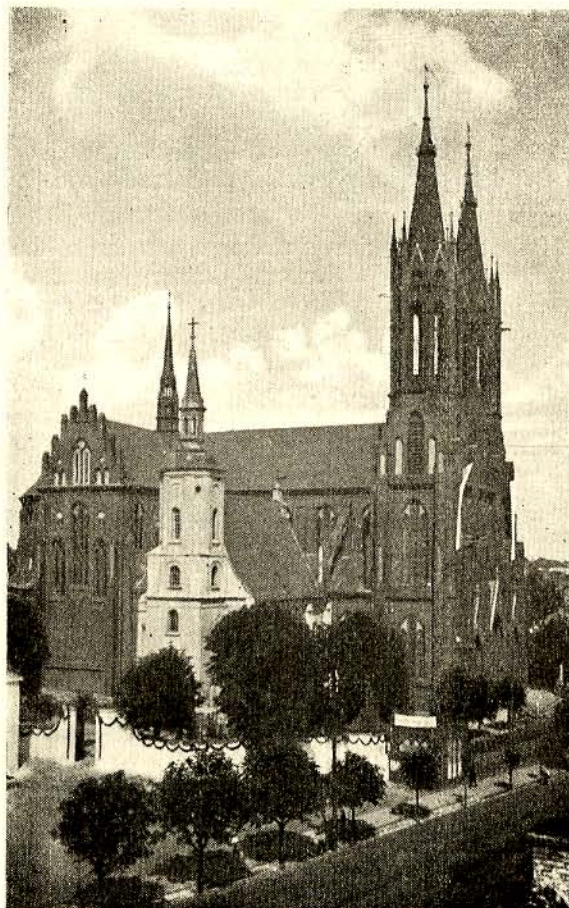
Procesja powoli wydobyła się z kościoła i zalała obszerny cmentarz. Tysiące piersi, tłumiące dotąd radość i wesele, przepełnione smutkiem i tęsknotą, ożyły nagle, zadrgały i uderzyły w jeden wielki hymn radości: Alleluja! Alleluja!

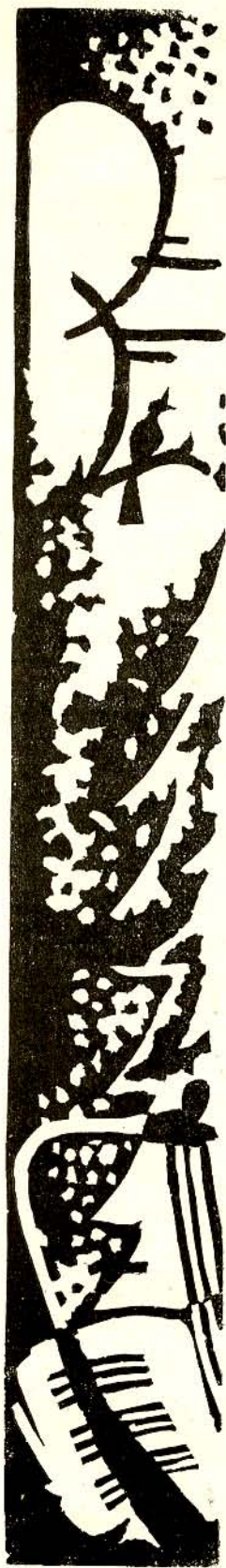
Z potężnym biciem dzwonów, zwiastujących światu wielkość, radość i wesele, płynęła pieśń wielka hen... daleko w rozświetlone lazury tronu Stwórcy Wszechrzeczy.

I cała przyroda jakby drgnęła nagle i zabrzmiała jednym potężnym akordem. Bocian, szybując majestatycznie, wznosił się na wyżyny przestworza i zaklekotał radośnie; skowronki zaintonowały weselej swe pienia, zaszemrały strumyki i rzeczki; tajemniczą puszcza wstrząsnął naraz potężny dreszcz, niby gigantyczna moc schyliła stuletnie dęby, buki, zawtórowała im cicho młodsza bracia leśna i uderzyły w jeden chór radosny: Alleluja! Alleluja!

Popłynęła pieśń, pełna niewysłowionego szczęścia, z tysiąca piersi, nękanych bólem i tęsknotą, pełna przepotężnej mocy, z dziekczynnym biciem dzwonów, głosząc światu radosną nowinę: Chrystus Zmartwychwstał! Alleluja! Alleluja!

Wiktor Sałata.
Kl. VI.





HEJ, PIEŚNI

Hej, pieśni, płyńże, pływ daleko,
Rozpraszaj smutki, bólów cień!
Niech z ocz stroskanych łzy nie cieką...
Ty zwiastuj szczęścia błogi dzień,
Radości wszystkich brzask,
Przemocy i zła zgon.
Niech twej melodji rzewny ton
Rozjaśni mrocznej nocy kir,
Niechaj niebiański spłynie blask
I brzmi tysięczny hejnał lir.
Hej, pieśni, płyńże, pływ szeroko.
Upiorną rozpacz duszy głusz,
By u stóp twoich pod opoką
Szemrała jasna głębia mórz,
Słoneczny switał dzień,
Zwycięstwa prawdy zew
Zabrzmiął od cudnych niebios stref,
Rozplatał serca tęsknot nić,
Ażeby każdy pełen śnień
Mógł zawsze szczęścia pełnią żyć!

Wiktor Sałata
kl. V.



S E N UCZNIAKA

Mały, nieco przygarbiony ze znużenia chłopak, w granatowym ubraniu, wytartym na łokciach i z błyszczącymi w słońcu plamami, wędrował szosą, prowadzącą do Białegostoku, podpierając się wyłamanym w lesie kijem i ocierając od czasu do czasu pot z czoła. Zsunął na tył głowy „maciejówkę“, schylił się ku ziemi, bo słońce paliło go prosto w twarz i wyciskało zeń resztki sił. Czuł zmęczenie coraz bardziej. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, a na plecach w tym miejscu, gdzie wisiał plecak, koszula przylgnęła do ciała od potu. Rozpiął marynarkę i, wymachując połamami, ochładzał się.

Daleką mam drogę przed sobą — pomyślał. — Gdyby było trochę cienia, zaraz rzuciłbym się na ziemię i odpoczął.

Wiedział, że doskonałym miejscem wypoczynku w takich razach jest las, a że ten widniał na horyzoncie, więc postanowił się doń dowlec.

Nogi bolały go mocno, bo zbyt luźne kamasze raniły je do krwi. Usiadł nieborak przy rowie, ciągnącym się wzdłuż szosy, ściągnął z nóg obuwie, związał sznurkiem, zawiesił na ramieniu i ruszył dalej.

Teraz poczuł lekkość w nogach i swobodę ruchów. Zdawało mu się, że już wypoczął należycie, bo mimo upału wzniosł głowę do góry i spojrzał śmiało przed siebie. Przed nim ciągnęła się kręta jak wąż szosa. Po obu jej stronach rozpościerały się nagie pola lub też świeciły niepoorane jeszcze rżyska. Ludzi nigdzie nie było widać.

Janek (tak było na imię owemu chłopcu) znów uczuł znużenie. Nogi stawiał już z trudem, a każdy krok osłabiał go

bardzo. Każdy kamień, na który stąpił, kłuł go dotkliwie. Zdawało mu się, że wszystko staje mu na przeszkodzie i uczuł się nagle samotny i łzy mu ciurkiem kapać poczęły. Ale otarł je szybko rękawem, bo przechodził właśnie obok jakiegoś mężczyzny, pozdrowił go imieniem Pana Boga i ruszył dalej.

Wreszcie dowlóknął się do skraju lasu, ale i tu upragnionego miejsca spoczynku nie znalazł. Upał był nie do zniesienia. Słabość zawaładnęła członkami Janka, a rozboleła głowa ciążyła coraz bardziej.

Rzucił ze złością kamasze na ziemię, spojrzał na słońce, które stało w zenicie i mruknął:

— Do wieczora jeszcze daleko. Odpuść, a na noc podążę do wioski.

Spokojny leżał na mchu pod niewielkim krzakiem jałowca, popatrzył po wierzchołkach drzew, pogonił oczyma za śmigającą wiewiórką, wsłuchał się w ciszę leśną i zadumał się. Ostatnie sceny z życia rodzinnego stanęły mu żywo przed oczyma.

Nie chciał być wyrobnikiem, nie chciał iść z ojcem na zarobek, pragnął dążyć za głosem swego powołania. Przyszła tułaczka życiowa, poniewieranie się wśród ludzi... Zapłakał...

Może natychmiastowy powrót do rodzinnej strzechy złagodziłby jego winę, ale chęć zdobycia wiedzy, poznania ludzi i wielko-miejskiego życia pchały go w innym kierunku i nagliły do pośpiechu.

Z drugiej zaś strony uśmiechała się doń karjera życiowa, którą mógłby zdobyć swoją pracą i uczciwością.

Rozmarzał się coraz więcej. Zasnął, a wszystkie jego zamiary, o których marzył, spełniają się we śnie. Widzi siebie jako człowieka statecznego, zajmującego już po-

ważne stanowisko i posiadającego własne biuro techniczne.

— — — — —

Obudził się czerstwy, wypoczęty, z uśmiechem na ustach i z nowym zapasem sił do dalszej drogi. Zaznaczył szczyrykiem drzewo, pod którym odpoczywał, przewiesił kamasze przez ramię, obejrzał się jeszcze raz po ciemnym morzu drzew wysokich i ruszył w stronę dymów, które unosiły się z kominów niedalekiej wsi. Droga skracała się stale, coraz większa przestrzeń pozostawała za nim, a on szedł i szedł, roztrzaskując w swym umyśle sen i wyciągając zeń różne wnioski. Wreszcie machnął ręką i powiedział: wszystko to jest tylko sen, złudzenie i nic więcej.

— — — — —

I płynęły lata szare i smutne. Jakiś niepokój i dziwne oczekiwanie sączyły się do duszy chłopca. Milczał, pracował, żył z samym sobą, dla siebie. O rodzicach wiadomości nie miał. Tęsknił tylko i chudł ze zmartwienia. Wreszcie zabłysły iskierki nadziei poprawienia jego bytu, gdy po ukończeniu gimnazjum wstąpił na politechnikę, mając dobrą opinię nauczycieli i poparcie materialne znajomych. I znów nastąpiły dni oczekiwania, dni tęsknoty za domem, za lasem sosnowym i za rzeką błękitną, która z trzech stron otaczała wioskę.

Dużo lat minęło od czasu, kiedy Janek opuścił rodzinę.

— — — — —

Dzień był upalny jak przed laty, droga opustoszała i cisza błoga zaległa pola. W stronę Mazowiecka wędrował podróżny z plecakiem i laską w ręku. Był to, jak się już łatwo domyśleć, Janek, który po ukończeniu szkół wracał do rodziny. Przypominał sobie te chwile, kiedy przed kilkunastu laty uciekał od ojca, żądny wiedzy, dążył wytrwale do miasta i kiedy zmęczony zasnął w lesie.

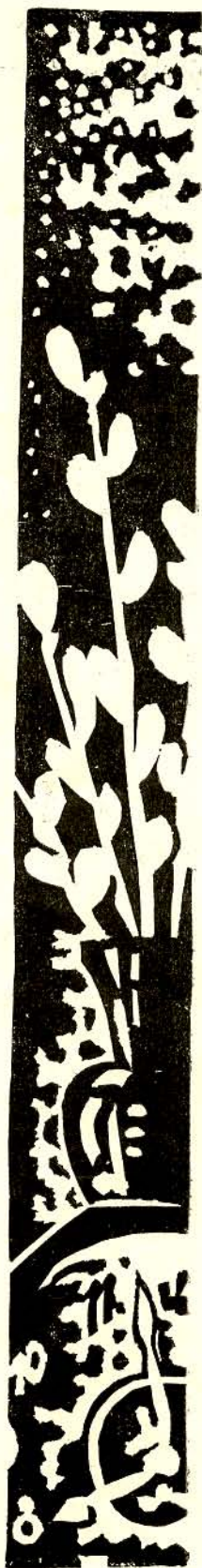
Już jest w rodzinnych stronach. Widzi rzekę, połyskującą w dali. Przyspieszył kroku i znalazł się wkrótce na moście. Wsparł ręce na poręczy, odetchnął głęboko. Fale z lekkim szumem wyskakiwały na brzeg i śpiewały mu napół zrozumiałą pieśń. Cała rzeka piła chciwie ciepło słońca, a swobodna igraszka fal zdawała się być zabawą miliona białych płomyczków, które ginęły w toni, to znów się wynurzały na powierzchnię.

I patrzył spokojnymi oczyma w blask fal, obserwował ich ruchy i przypominał sobie wszystkie przeżycia wśród ludzi. Przesunęło mu się wraz z falami wszystko, co przeżył od owej pamiętnej ucieczki aż do chwili powrotu.

Podniósł głowę i powiódł wzrokiem po horyzoncie, na którym widniała ciemna ściana lasu. Roześmiał się.

Wszak powraca z dyplomem inżyniera, teraz przed nim otworzy się świat i życie. Tam, w tym lesie marzył tylko, sen uważał za czcze złudzenie, a jednak ziściły się marzenia, sprawdził się sen.

Witold Żur
Kl. V.



Szara, wieczorna godzina...

Ucichły gwary, pieśń życia usnęła...

Coś mi się marzy, przypomina,

Coś wraca ku mnie z oddali.

Jakaś myśl płocha skądś się wywinęła

I kogoś szuka, do kogoś się żali,

Na usta splywa palącym pytaniem:

Czemu? Dlaczego? Gdzieżeś jest?

Wszystko minęło, odeszło...

I pięknych ust nie złoży na skroni,

Nie spojrzysz w oczy...

Gdzieżeś o chwilo, chwilo snów młodości?

O tęczo marzeń, o kraino baśni?

Odeszłaś... czasem tylko się zaśni

Ciche wspomnienie.

Wiem, że nie zagości

Nigdy w mem sercu, obrazu nie rozłoczy

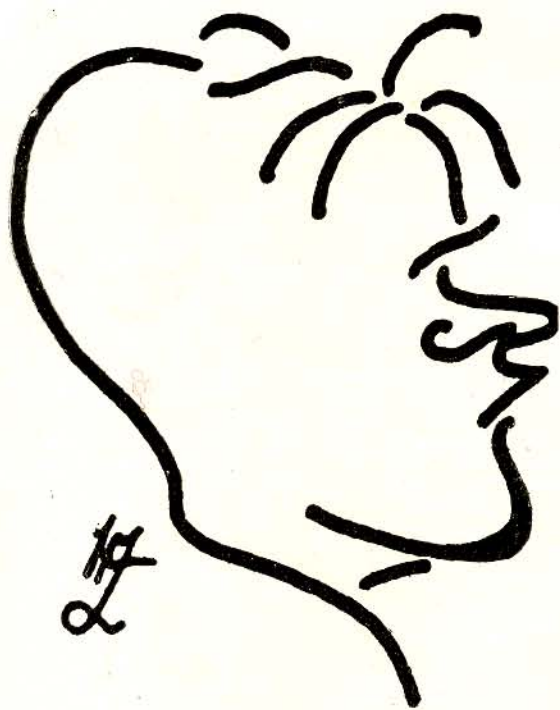
Ciche westchnienie...

Bo to, co się marzy,

To jeno cienie...

Wiktor Sałata
Kl. VII.





Ś N I E G

Cicho prószy śnieg wieczorny,

Cicho kładzie się pod stopy,

Miękki, biały i pokorny...

Cicho prószy śnieg wieczorny.

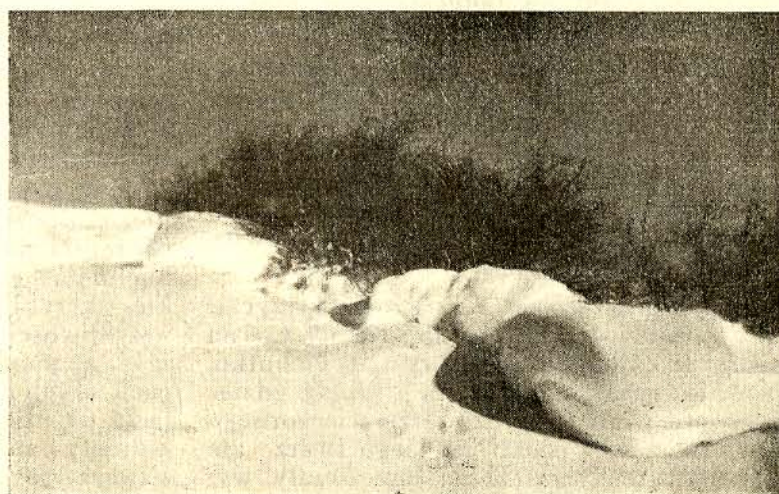
Noc styczniowa dookoła,

Żółte palą się latarnie,

Cicho kładzie się pokorny,

Miękki, biały śnieg wieczorny.

Mikołaj Korci
Kl. VIII.



RADOSNE SKRZYPCE

Szalony wicher niósł się ulicami miasta. Wstrząsał drzewami, szarpał poólkłemi liśćmi, zrywał je i ciskał pod nogi przechodniów. Chwilami przycichał, by znowu ze zdwojoną mocą sypnąć w oczy ludzi tumanami kurzu i piasku.

Noc zapadła szybko. Chłodna, jesienna noc.

Ulicami miasta płynęła w różnych kierunkach ruchoma fala ludzi. Śpieszono się, bo chłód wieczorny dawał się dotkliwie we znaki. Tu i ówdzie bogato ubrany mężczyzna w wykwintnem palcie i kapeluszu wiódł damę pod rękę, czasem grupka uczniów w granatowych płaszczach i z książkami pod pachą zdążała do domów, a czasem w strojnym tłumie można było dostrzec przeciskającą się żebraczkę w łachmanach, z wychudzoną twarzą, zziębniętą, z dziwnie wymownie patrzącymi oczyma. Na nią jak najmniej zwracano uwagi. Niejeden potracił ją w pośpiechu, jakaś strojna dama otarła się o łachmany nędzarki, ktoś zaklął w odpowiedzi na prośbę o datek...

Miasto płonęło łuną światła, wystawy nęciły wzrok bogactwem nagromadzonych przedmiotów. Chwilami w ten rozgwar wieczorny wdierał się donośny głos klaksonów i rozbrzmiewał głuchy turkot pojazdów.

Na skrzyżowaniu ulic, w najruchliwszym centrum miasta, w cieniu ponurej kamienicy kulił się nędznie odziany wyrostek. Krótka i dobrze już wylatana marynarka, wypchane na kolanach spodnie, przeświecające dziurami buty i jakaś szara, zgnieciona czapczyzna – stanowiły całkowity strój malca.

W zsiniałych od zimna rękach trzymał skrzypce. Proste, małe, swojej roboty. Coś na nich grał. Żalotne dźwięki brzmiały cichutko, rzewnie, rwały się ze strun i ginęły gdzieś w szumie wiatru, w rozgwarze wieczornego zgiełku. Cień padał na jego twarz, ale w mroku tem straszliwiej przezierały wy-

chudłe i wykrzywione dziecinnym bólem usta. Patrzył na tłum kamiennym wzrokiem, oczyma bez skargi, stępieniami cierpieniem i smutkiem. Na kogoś czekał, czegoś żądał od tych ludzi, mijających go obojętnie w pośpiechu. Czasem nawet ktoś go potracił i szedł dalej, nie obejrzawszy się na młodocianego żebraka. Nikt nie słuchał jego grania.

Zdawało się, że z tych strun cieniutkich, jak pajęcza nitka, rwie się skarga dziecięca, by za chwilę zamilknąć. Chwilami chłopiec opuszczał rękę słabnącą w łokciu i chwycił za chłodne kamienie muru. Musiał już stać tak długo.

Po chwili zaczynał grać znowu. W graniu tem była jakaś rzewna nuta, coś, co przenikało w głąb duszy i co musiało wypływać z samego dna duszy żebraka.

Na ratuszu wybiła godzina dziesiąta. Ruch powoli ustawał. Mimo to koło młodocianego muzyka przesuwali się wciąż nowe tłumy. Zdawaćby się mogło, że jakaś nieprzełamana zaporą, najeżona ostrzem żeleźców, stanęła między małym grajkim a obojętnym tłumem. Nikt nawet nie posłał spojrzenia w jego stronę.

W pewnej chwili otworzyły się obok niego drzwi. Smuga rześistego światła oświetliła na moment chłopca. Z wnętrza buchnęło gwarem podchmielonych, jakieś krzykliwe piosenki, obnażone z szat wstydlivosti głosy niewieście, tony muzyki, a ponad wszystkim odurzający zapach alkoholu. Gromada młodych ludzi wyległa na ulicę. Jeden miał kapelusz mocno zsunięty nabakier, oczy dziwnie przymglone, z twarzy jego zionęła gorącość i odór wód-



ki. Chwiał się na nogach. Dwaj inni podtrzymywali go za ręce, ale i sami zataczali się niepewnie. Za nimi sunął, przystając we drzwiach i niewyraźnie mieląc jakieś wyrazy, wysoki młodzieniec. Miał płaszcz szaraczkowy, kraciastą czapkę i trzcinę w ręku. Na wargach jego błdził napół głupkowaty, napół ironiczny uśmiech. Cała kompanja z trudem opuściła gościnny lokal, mocno trzymając się jeden drugiego. Dochodzili do miejsca, gdzie stał chłopiec.

Grajek nie zdążył wczas się usunąć, przytulił się jeszcze mocniej do muru, ale nagle młodzieniec z trzciną w ręku potrafił go nogą, inni, szarpnięci przez niego, zatoczyli się na ścianę. Chłopiec już nie miał czasu odskoczyć w bok. Skrzypce wyleciały mu z ręki, rozległ się suchy trzask pękających strun, kawałki deszczulek znalazły się pod nogami wesołej kompanji. Chłopiec chciał biec na ratunek skrzypiec, lecz było już za późno. Z piersi jego wyrwał się bolesny krzyk niby rozpacz, niby prośba o litość. Łzy pociekły mu po bladej twarzy. Chciał błagać, prosić, chciał gdzieś biec, lecz nie miał sił. Stał niemy w bólu nad szczątkami skrzypiec, jakby nad grobem własnego szczęścia.

Podchmieleni młodzieńcy zdawali się nie słyszeć głosu chłopca, nie widzieć go w tłumie.

Napłynęły nowe fale ludzi.

Malec nie wiedział, co czynić. Wielkie cierpienie malowało się w jego źrenicach. Zsiniałymi palcami zbierał resztki połamanych skrzypiec, zdeptane nogami przechodniów. Gdzieś dalej słyszeć było jeszcze ochryple głosy nawoływania swawolnych młodzieńców.

W tejże chwili z gromady wysunął się jakiś starszy pan w okularach i chwycił chłopca za rękę. Malec podniósł nań oczy z jakimś niemem pytaniem. Nieznany mężczyzna pociągnął go za sobą i wyprowadził na pustą ulicę.

Chłopiec szedł za nim posłusznie, tylko raz jeszcze obejrzał się na szczątki swych skrzypiec.

— Dokąd mnie pan prowadzi?—wyjął wreszcie głosem, drżącym jeszcze od płaczu.

— Cicho, nie bój się, nie pozwolę cię skrzywdzić. Uspokój się, widzisz, ja nie jestem z tych, którzy połamali ci skrzypce. Tamtych już niema.

Chłopiec zdawał się uspakajać. Dreptał tuż za nim, aż zatrzymali się wreszcie na

skraju chodnika, gdzie nieopodal stało czarne, luksusowe auto.

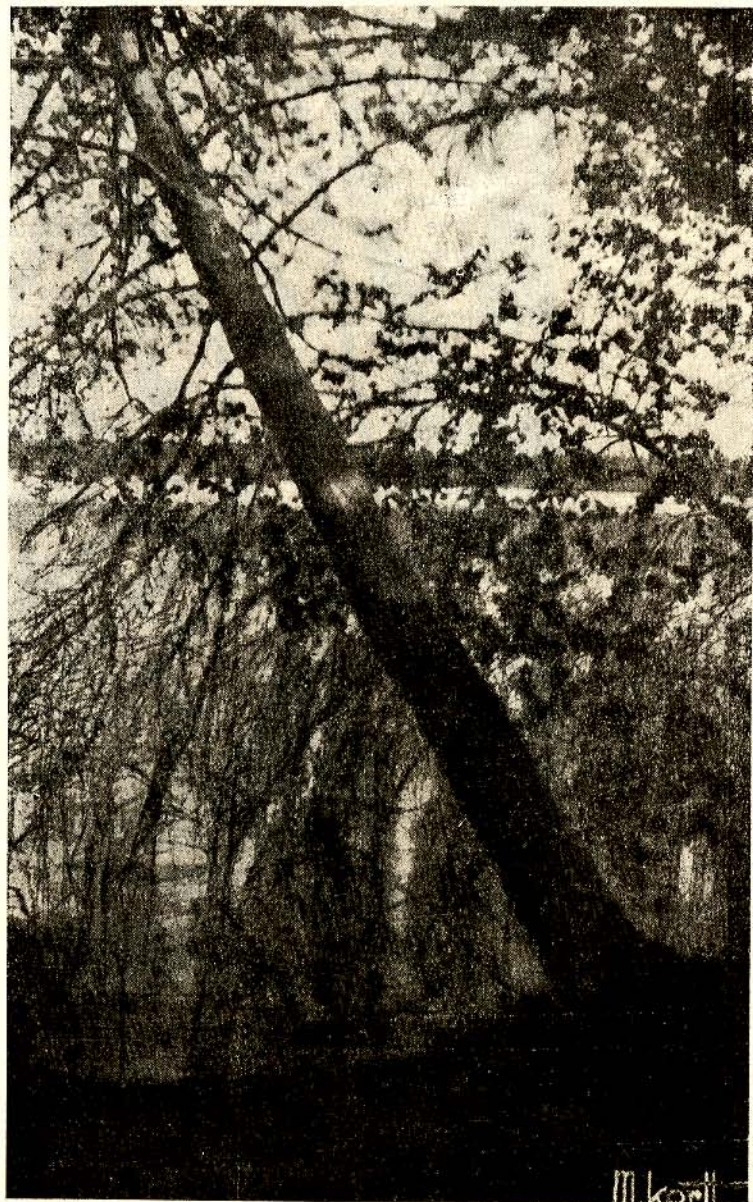
— Powiedz mi, kim jesteś, malcze. Mów tylko prawdę—nagle przerwał i wpatrzył się w twarz grajka.

Jakaś trwoga malowała się w jego oczach, żyły nabrzmiały mu na skroniach, a na czoło wystąpił pot. Źrenice swe utkwil w twarzy chłopca, jakby rozpoznawał jego rysy. Milczeli chwilę, ale było to straszne milczenie.

Czerwone światło latarni odsłoniło wykrzywione usta malca, który skulił się z trwogi w obawie nowego nieszczęścia. Tam skrzypce, a tu znowu jakiś nieznany człowiek...

— Antek!—krzyknął starszy pan radosnym bełkotem. Antek, to ty?

— Pamiętam te dawne czasy—mówił do siebie. Antek był wtedy taki mały... te same oczy...



Chłopcze, jak ci na imię?

— Antek—wyszeptał cicho chłopiec.

Była to jakby spowiedź ich dusz, głębokie wyznanie dwojga ludzi, których życie cisnęło na przeciwne krańce: nędzy i bogactwa. Gruby pot wystąpił na czoło mężczyzny. Coś sobie głęboko przypomniał. Potem, garnąc chłopca do piersi, przemówił już spokojniejszym głosem.

— Powiedz mi, czy żyje twoja matka, gdzie matka?

— Mama żyje, ale już od miesiąca leży chora w łóżku. Dotąd jakoś dawaliśmy sobie radę. Stróżka przychodziła i pomagała mamie, przynosiła strawę, ale trzy dni temu umarła. Mama kazała mi iść ze skrzypcami na ulicę. Sam je zrobiłem. Z początku tak mi ciężko było grać wobec tylu ludzi, ale przywykłem pomału. Oni i tak nie słuchają mojej muzyki. Czasami tylko jakaś litościwa osoba dała mi kilka groszy, ale teraz...

Przerwał i spojrzał nieufnie w twarz pana w okularach.

— Ale skąd pan mnie zna i moją mamę?...

Mężczyzna nic nie mówił. Tulił tylko głowę chłopca do swej piersi i całował jego mądre, smutne oczy.

— Chodź chłopcze, pójdziemy do twojej mamy. Będziesz miał znowu skrzypce, jeszcze ładniejsze, ale nie będziesz już grał na ulicy.

W chwilę potem piękne auto niosło małego nędzarza i wytwornego pana. Męż-

czyzna w okularach nie przestawał tulić chłopca i zasypywać go pytaniami.

Mały muzyk zasnął niebawem, otulony ciepłem paltem ojca. Ogarnął go beztrojski sen. Uwierzył wreszcie, że ten człowiek nie zrobi mu krzywdy.

Patrzył nań tak łagodnie i tak miłostwie. Był taki dobry.

Pan w okularach przymknął oczy i myślał.

Jakież to dziwne są losy człowieka! Oto przed wojną jeszcze porzucił swą piękną, młodą żonę. Uciekł z inną do Kanady, lecz tam nie zaznał szczęścia.

Stał się wprawdzie bogatym, lecz w sercu miał niezagojoną ranę tęsknoty, która nie dawała mu spokoju.

Nie zaznał szczęścia. Okradziony i opuszczony przez tę, z którą uciekł, zdecydował się na powrót do kraju. Pędziła go tęsknota i z nową siłą miłość do dawnej żony. Wydała mu się tak upragniona, kochana Ewa... I przybył w porę. Ocalił syna, poznał go odrazu. Jakimś dziwnym trafem coś mu kazało zatrzymać się i obserwować samotnego grajka. Może dlatego, że sam był niegdyś zapalonym muzykiem...

W tej chwili na ustach drzemiącego chłopca pojawił się niebiański uśmiech. Coś mu się śniło.

Może matka, która teraz napewno wyzdrowieje, może on sam, że nie będzie grał już na ulicy, może odzyskany ojciec, a może skrzypce?

Wiktor Salata
Kl. VIII.



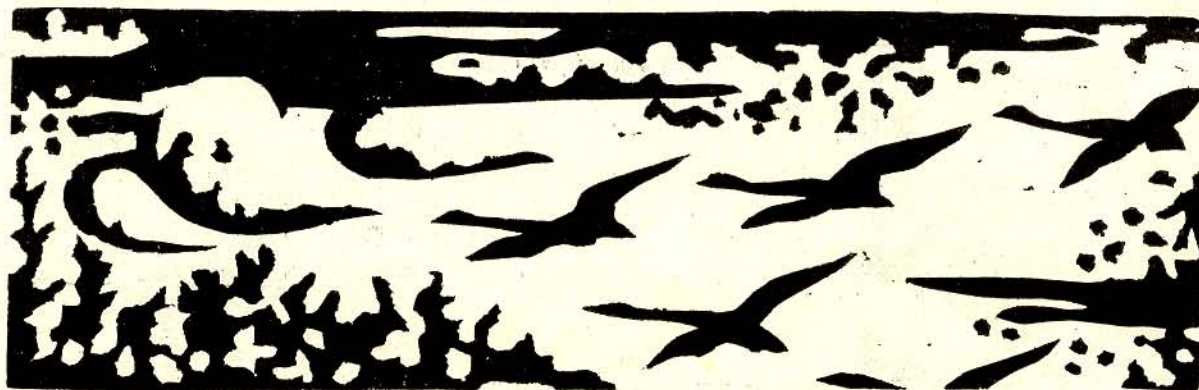
P O W I E W W I O S N Y

Poprzez pola, łąki, lasy,
Poprzez ciche borów cienie,
Idzie wiosna pełna krasy,
Budząc ze snu martwą ziemię.

Pod jej lekką, miękką dłońią
Kwiat już pączek swój rozchyła,
Wokół trawki nęcą wonią,
Dzieci gonią już motyla.

Wszędzie radość i wesele,
Świat rozbrzmiewa dookoła,
Wszędzie słychać śpiewy, trele,
Wiosna! wiosna! — wszystko woła.

Stanisław Kropiewnicki
Kl. IV.



WIOSNA

*Do mórz lody popłynęły,
Wszędzie stał śnieg,
Wszystkie rzeczki już zaczęły
Nieskończony bieg.*

*Z pól i lasów gdzieś zniknęła
Ta zimowa pleśń,
Lekko w górę popłynęła
Skowroneczka pieśń.*

*Już nadeszła wonna wiosna,
A z nią ptaszki rój,
Brzmi piosenka ich radosna,
Szemrze cicho zdroj.*

*W zieloności się ukrywa
Mały, cudny gaj,
Zaorana wokół niwa.
Już nadchodzi maj!*

Witold Żur.
kl. IV.



POWRÓT BOCIANÓW

*Nasze boćki ukochane
Pożegnały ciepłe kroje,
Powracają przez nieznane
Dla nich góry, rzeki, gaje.*

*Przyleciały ponad wioskę,
Gdzie je matka wykarmiła,
Gdzie niejedną zniosły troskę,
Gdzie je czeka strzecha miła.*

*I, klekocząc, zatoczyły
Duże kręgi na błękiecie,
Dobytując resztek siły,
Ogłosiły swe przybycie.*

*I wybiegły tłumy dzieci,
Wykrzykując wraz wesóło,
Aż pod niebo głos ich leci:
— Wkoło boćki, boćki wkoło!*

Witold Żur.
kl. IV.



S K O W R O N E K

Skądś z dalekich, cudzych krajów

Wrócił szary skowroneczek,

Minął wiele pól i gajów

Małych sadów i wioseczek.

Osiadł teraz na tej glebie,

W której sobie gniazdko złoży.

Codzień nuci pieśń na niebie

Ten najrańszy sługa boży.

Jeszcze w piórkach błyszczy rosa,

A już piosnką ze snu budzi;

Leci wgórę, pod niebiosą

I do pracy wzywa ludzi.

To maleńkie, szare ptaszę

O opiekę Boga prosi,

Wznosząc się nad pole nasze,

Na cześć Jego hymny głosi.

Witold Żur
Kl. IV.

P R Z E D B U R Z ą

*Las się ciemnym szmaragdem otoczył dokoła,
Podniósł dumnie swe czoło, głuchy, nieruchomy.
Tak skamieniał, że zruszyć już go nic nie zdoła,
Chyba tylko wichury i straszliwe gromy.*

*Cisza wokół panuje w tym uśpionym lesie,
Nad nim niebo przejrzyste, jakgdyby z kryształu,
Lecz po chwili wiatr lekki kilka chmur przyniesie,
Które, plamiąc niebiosą, wloką się pomału.*

*Czasem zwinna wiewiórka szyszkę z drzewa strąci,
Silny wichur ze świstem po szczytach przeleci
I w ten sposób tę ciszę surową zamąci.*

*A tymczasem niebo się coraz więcej chmurzy,
Panujący ów półmrok srebrny wąż rozświeci,
Siejąc wszędzie za sobą dziką grozę burzy.*

Witold Żur/
kl. V.

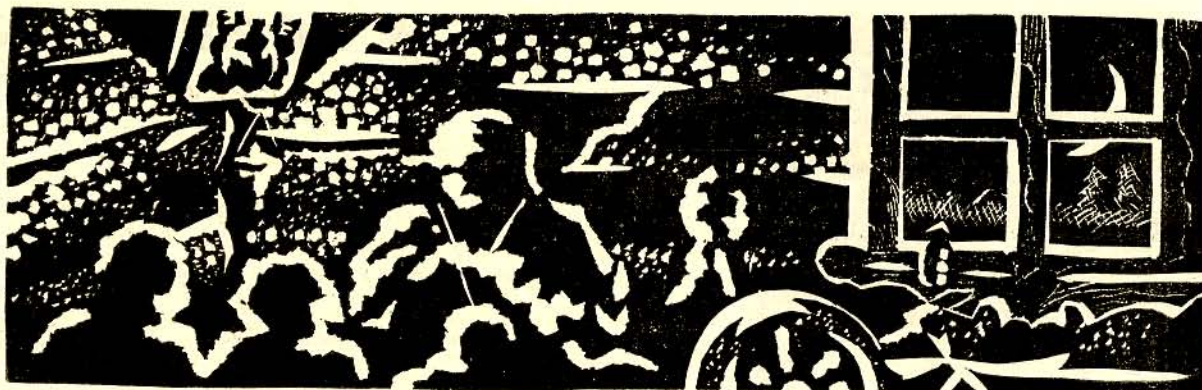
R O Z J A Ś N I Ł Y S I Ę...

*Rozjaśniły się niebiosą
W lazuruwej toni —
Szaro-pióry skowroneczek
Piosnkę Bogu dzwoni.*

*Cisza wokół, spokój błogi
Rozścielił się wkoło,
Hej, Koledzy, w górę serca!
W górę wzniesmy czoło!*

*Dziś ożywczej wiosny tchnienie
Wicher ku nam niesie,
Płynie nasza pieśń w błękity,
Płynie, hen — po lesie...*

Wiktor Sałata.
kl. IV.



B A Ś Ń

Cicho... ach, jakież to dźwięki
Mkną ponad tonią jeziora?...
Boginek leśnych to jęki,
To „baśń” tak dźwięczy z wieczora.

Z sitowia sowa wylata
I koła nad tonią toczy,
Jej śladem baśń skrzydłata
W kraj nas wprowadza uroczy.

Czarowne odkrywa nam światy
Wysuwa przędzę dziwności —
I życie w precudne kwiaty
Przystraja szatą miłości.

I dziwne rzeczy się waśnią
W cudownym wątku powieści:
Prawda wnet staje się baśnią,
A w baśni prawda się mieści.

Wiktor Sałata
Kl. IV.



Z A W I E R U C H A

*Za oknami wicher dmucha,
Niesie chmury płatków śniegu,
Groźnie huczy zawierucha...
Niewstrzymana w swoim biegu!*

*Z głosem wichru, szumem burzy
Tuman jęków się roznosi,
Zda się szemrze i coś wróży,
Groźne wieści świata głosi.*

*Cienie mroczne izbę ścielą,
Wokół półmrok, cisza głucha,
Świat się cały okrył bielą,
Za oknami zawierucha...*

*A ja siedzę przy kominie,
Ogień trzeszczy a dym bucha;
Jak tu miło czas mi płynie,
Za oknami zawierucha...*

*Wicher świszcz, groźnie wyje,
Zda się przybrał postać ducha,
Tuman śniegu lica kryje,
Groźnie huczy zawierucha...*

Wiktor Sałata
Kl. IV.

PRZY OGNISKU

*Plonie ogień na kominie,
Noc jesienna za oknami...
Zewsząd jakiś smutek płynie
I zasiada między nami.
Chociaż ogień tak wesoło
W górę bije płomieniami,
Zasmucone moje czoło,
Smutek gości między nami.
Tam na dworze wiatr szaleje,
Splata drzewa wierzchołkami,
Znikły radość i nadzieje,
Co igrały dotąd z nami.
A za oknem wiatr zawodzi,
Na kominie ogień bucha,
Gdzieś za lasem księżyc wschodzi...
W sercu mojem pustka głucha.
Noc upiorna już zapadła
I okryła wszystko mrokiem,
Jakieś mary i widziadła
Idą sennie, wolnym krokiem...*

Wiktor Salata
Kl. V.



* * *

W cichą, pogodną noc lazurową
Chwytam oburącz wiosło w swe dłonie,
Gwiazdy w wód głębi, gwiazdy nad głową...
Stoją zakłète, senne wód tonie...

Łódź ma srebrzysta, jasnością tkana,
Błądzi po mlecznych drogach księżyca,
A moja dusza w noc zasłuchana
Urokiem ciszy tak się zachwyca.

Cichy plusk fali, lekki szmer ziela —
I znowu spokój wkoło zalega,
Niebiańską błogość ciszę rozściela...
A fala drżąca szemrze u brzegu.

W taką noc cichą o tej godzinie
Ileż to błogich marzeń się roi...
Jak słodko przedza życia mi płynie,
Jak dusza czarem nocy się poi.

Porzucam wiosła i ster, a łodzi
Polecam płynąć z falami rzeki...
Niech ta noc cicha i Bóg przewodzi
I niech ją niosą w bezmiar daleki...

Wiktor Sałata
Kl. VI.

LAS W JESIENI

*Szumia nagi drzew korony,
Wiatr jesiennym liściem miota,
A w ostępach zaczajony
Został smutek i tęsknota.*

*Ucichł ptaszek śpiew radosny,
Co ożywiał gąszcze leśne,
Teraz wichru szum żaloszny
Echem smutku brzmi boleśnie.*

*Las przenika tuman mglisty,
Brzozy ronią łzę pokutną,
Rosa perli mech srebrzysty,
Wkoło szaro — pusto — smutno.*

*Wicher rzewną piosnkę niesie,
Tak ponuro — deszcz i słońce,
Hen, po polu i po lesie
Kroczy zwolna ma tęsknota...*

Wiktor Salata.
kl. VI.

RZKA W NOCY

*Już zaszło złote słońce hen — na niebios dali
I różane już zorze giną na błękiecie...
Słychać szmer tajemniczy, trwożny rzecznej fali...
Księżyc zwolna ukazał się na niebios szczycie.*

*Mglisto — mleczna poświata posrebrza wód tonie,
Słychać cichy plusk wiosel — to łódka ma płynie,
Lekki zefir wieczorny ochładza me skronie...
Sunę zwolna, spokojnie po mrocznej głębinie.*

*A wtem nagle od ciemnej uspiętej dąbrowy
Jakiś groźny, ponury — dobiegł głos z oddali...
Jakiś dziki, złowroźny, upiorny głos sowy
Zginął stłumiony szmerem w oczeretach fali.*

*A głębia wód wciąż szemrze, lka smutnie i wzdycha,
Księżyc posrebrza lilje wodne i grązele,
A dusza ma w dal płynie bardzo tęskna, cicha,
Przez omroczone głębie i senne topiele...*

Wiktor Salata
kl. VI.



K W I A T Y

*Zalala mię bzów fala i wonnych róż kwiecia...
Piękne... cudne... urocze... jakie miłe wonie,
Jakież tchnienie rozkoszne moje nozdrza łechce,
Ach, doprawdy, jak dobrze jest tu na tym świecie...
Niech ma wola i pamięć w woń kwiatów utonie,
Ja pragnę tylko kwiatów — więcej nic ja nie chcę...*

*To me życie, marzenie, sen szczęścia uroczy,
To mych czynów potęga i bezsila woli.
Zda się, że wlatam nagle, hen, w cudne zaświaty!
— Pierś ma wznosi się wolno i przymykam oczy,
Jakże jestem szczęśliwy i nic mię nie boli...
Do warg spragnionych tuję te przecudne kwiaty...*

Wiktor Sałata
kl. VII.

W I L A N Ó W

*Stanęliśmy i oto wyrasta przed nami
Wśród bujnej zieloności pałac jasny, biały,
W nim mnóstwo rzeźb przróżnych, ściany lśnią freskami,
Co błyszczą w świetle słońca, jak barwne kryształy,*

*Wilanów, pałac króla, siedziba pamiątek,
W przebogatej swej treści i cudnej ozdobie,
Tu przeszłością wspaniałą tchnie każdy zakątek
I przywodzi mi na myśl tych, co śpią już w grobie.*

*Patrzę na ten gmach dawny, wsłuchany w szmer rzeki,
A dusza ma w zachwycie szepcze ust wargami
I cichutko nie wspomnień wynurza z przeszłości...*

*O Ty, Janie Sobieski, królu, jesteś z nami,
Ty nie umarłeś jeszcze, przyjmujesz nas, gości,
A cicha fala szemrze, tocząc nurt daleki...*

Wiktor Sałata
kl. VII.

N A S K A L E

U nóg mych przepaść stacza się bezdenna,
A ponad głową mglistych chmur przestworze.
Ja i świat cały — jakaś przeszłość senna.
A Ty mą duszę zawiesiłeś, Boże,
Popod błękitem i nad skał ogromem.
I jak ptak wiszę, zda się, w tej przestrzeni
Słaby, bezradny, jak dziecię w powiciu,
Wysłuchany w wartki pęd górskich strumieni,
Co płyną z hukiem w podziemnem ukryciu,
Tuż za wyniosłym i skalistym złomem.
Przymykam oczy, czuję, że się wznoszę,
Tracę oparcie i płynę w obłoki...
I cicho Boga o jasny cud proszę:
By mi pozwolił wznieść się nad potoki,
Góry i lasy, hen — gdzie orzeł płynie!
I oto zda się prośbę Bóg wysłuchał.
Przezysta błogość ogarnia me ciało,
Czuję, że duch mój wzleciał, nie mam ducha!
Naraz się budzę — wszystko mi się zdało —
I sen uroczy gdzieś w pomroce ginie...

Wiktor Salata.
kl. VII.



JESIENNY DESZCZ

Rozszumiały się wichry jesienne,
Deszcz utula się w dachy słomiane,
Deszcz utula się w strzechy powiewne
I łaskocze brzoź białych kolana.
Rozszumiały się wichry ponure
I zawisła dokoła mgławica
Krople deszczu spadają i płaczą
I zamglona jest jodły iglica.
Spadają tych kropel miliony
Na opadłe z drzew liście zeschnięte
Ciche, smutne, samotnie leżące,
Pokurczone, jakgdyby zziębnięte.

Mikołaj Kortt
Kl. VIII.

S Ł O Ń C E

Nad krawędź sinych, dalekich lasów
Wzniosło się olbrzymie i wspaniałe
I rzuciło pęki złotych różdżek,
I do okien mych zakolało,
Błyskotliwie legło na suficie,
Zostawiając plamy złote, drżące,
Symbol szczęścia i radości —
Rozognione, pełne życia — słońce.

Mikołaj Kortt
Kl. VIII.





TEATRZYK SZKOLNY

Teatrzyk szkolny nie naśladuje, nie odtwarza teatru zawodowego, czy amatorskiego, przeciwnie—sam tworzy treść i formę. Głównym jego zadaniem jest stwarzanie takich warunków, któreby umożliwiały i zapewniały rozwój pamięci, wydobywały talenty, wyzwalały samorodną twórczość, uczyły kochać piękno i dawały okazje do uzewnętrznienia oraz realizowanie pomysłów.

Uczniowie chcą sami tworzyć, chcą sami grać, mają w sobie instynkt dramatyczny. Jest on naturalnym objawem w życiu codziennym. Obserwujemy bowiem, jak chłopiec, kiedy podrośnie, pragnie być wojakiem, panem profesorem, dziewczynka—matką, krawcową, nauczycielką.

Nie mogąc narazie urzeczywistnić swych planów, myślą, marzą, często naśladują, przybierają pozę, słowem wchodzą w rolę wyimaginowanej osoby. W ten sposób młodzież przeżywa różne stany uczuciowe, wzruszeniowe, odtwarza różne sytuacje, bawi się w zawody, które niejednokrotnie przyszłość urzeczywistnia. Młodzież klas 1—6 odczuwa potrzebę własnego teatrzyku. Lecz jak go zorganizować?

Zainteresowani uczniowie zaczęli myśleć o stworzeniu kółka dramatycznego, opracowywali statut, ale ta praca nie przyniosła im zadowolenia. Wkrótce też zapomnieli o kółku i statucie. Natomiast pytali często, czy w tym roku będą urządzane w szkole obchody, akademje, a może teatr...

Gromadzono różne wiersze, broszurki, utwory sceniczne. Zauważywszy pewne ożywienie, starałem się nie tylko podtrzymać rodzące się zainteresowanie, ale chętnie pobudzałem uczniów do kompletowania tych rzeczy. Kiedy już uciulano sporo książek, broszur, wierszy, wówczas wypożyczano je sobie nawzajem. Zainteresowanie wzrastało. Śmielsi wcale niedwuznacznie podsuwali mi myśli, żeby coś wystawić, odegrać, oddeklamować. „Do tej roli najlepszy byłby kolega X, on to dobrze robi i t. p.“. Przygodne rozmowy szybko zmieniły się na stałe i planowe. Teraz to już nie żarty. Rywalizacja. Stały się w zawody dwie klasy pierwsze, czwarta i piąta. Jakże przystąpiono do pracy? Ponieważ miała to być praca zbiorowa, trzeba było ustalić temat. Więc nie utwory gotowe, ale własne próbki sceniczne miały wejść do „dramatu”.

Skąd czerpać materiał do utworu scenicznego? Z nowelek, z piosenek, z przeżyć i zdarzeń szkolnych. Te źródła dawały szerokie pole do snucia fantazji, wyrabiała pomysłowość, czyniły młodzież wrażliwszą na piękno.

Wyrażono chęć pisania utworu n. t. życia marynarzy. Dlaczego ten? Oto dlatego, że: a) w tym roku szkolnym powstała L. M. K., b) zbierano składki na F. O. M., c) niektórych uczniów krewni służą w marynarce, d) słuchano audycji morskich przez radio, e) uczniowie byli na koncercie reprezentacyjnej orkiestry marynarskiej, f) nawiązano korespondencję z młodzieżą polską Kurytybie (Brazylja), g) przerabiano czytanki, związane z tematem morskim, na lekcjach języka polskiego.

Zrazu wyłoniła się sprawa, jaki ma być statek. Czy pasażerski, czy wojenny? Czy ma to być okręt polski, czy jakikolwiek inny? Jakie osoby mają występować? Czy marynarz wogóle, czy marynarz polski? Mali są pomysłowi. Oni nie tylko chcą pisać, ale rwą się do gry aktorskiej. Jeden, ponieważ jest małego wzrostu, pyta się: „czy potrzebny będzie piccolo? Mogłbym dobrze go zagrać”.

W rezultacie ustalono: a) okręt ma być wojenny (prawdopodobnie afisz propagandowy wiele zaważył), b) plan w ogólnych zarysach.

Według ustalonego planu mieli uczniowie opracować—Akt I.

Przed następnym zebraniem w przeddzień wywieszono afisz. Na afiszu uczeń wskazywał ręką napis: Dn. 25.II. 1934. odbędzie się zebranie zainteresowanych teatrykiem uczniów. Kolejność spraw: a) Akt I—ustalenie tekstu, b) wesoła piosenka na temat życia marynarzy. Tym razem frekwencja była liczniejsza. Jednych uczniów ciekawił sposób pisania piosenki, drudzy chcieli się zapoznać z wartością opracowanego tekstu, byli i tacy, którzy się zdobyli tylko na krytykę. Niejednokrotnie dochodziło pomiędzy nimi do słownych starć. Musiałem prostować i godzić niezadowolonych.

Na drugi raz postanowiono tekst opracować staranniej. Ciekawy jest szczegół, że przy układaniu piosenki większość, pisząc tekst do melodji, nuciła ją sobie po cichu. Niektórzy wprost powiedzieli, że łatwiej im pisać „słowa” do znanej melodji, prosili więc, aby im dać naprzód piosenkę. Na następnym z kolei zebraniu ustalono szczegółowy plan Aktu II.

Po upływie tygodnia jeden uczeń opracował dwa akty. Inny zobowiązał się przepisać je na maszynie w dziesięciu egzemplarzach poto, by przeprowadzić na zebraniu wspólną korektę. Polegała ona na dyskusji oraz robieniu notatek, uwag, dopisków na marginesach.

Zapoznawszy się z wszelkimi uwagami stwierdziłem, że dużo było trafnych spostrzeżeń i ku zdziwieniu bardzo mało ironicznych docinków. Widocznie koledzy docenili pracę piszących, a przynajmniej ich dobre chęci.

Tak powoli, lecz systematycznie pracowano nad dalszemi scenami i aktami. W rezultacie skontrolowano, czy jest w utworze w myśl przewodnia, jakie jest uło-

żenie akcji, rozplanowanie grup, pojedynczych osób. Ciekawą próbą niezależną od wskazanego planu było inne opracowanie omawianego tematu, polegające na połączeniu charakteru baśniowego z realistycznym. Próbką ta jest niezmiernie ważna ze względów pedagogicznych. Mamy tutaj ścieranie się dwóch tendencji:

a) pozostałości lubowania się światem fantastycznym, iluzyjnym,

b) ujmowanie świata realistycznego, acz naiwnie nieco pojmowanego.

Jak widzimy, niema tu jakichś prawideł, jakichś nakazów, reguł tłumaczących, jak należy pisać, są tylko ogólne wytyczne, jak zacząć pracę i jak ją kontynuować.

Szczegóły ma dosnuć fantazja, pomysłowość. Chodziło nam o dorabianie się własnych wartości artystycznych. Zamiar dość śmiały, ryzykowny, jednak możliwy do zrealizowania. W ostatecznej bowiem redakcji utwór już gotowy znów przerobiono. Zamiast proponowanych trzech aktów pozostały—dwa. Fabuła, myśl przewodnia nie uległy większym zmianom, zwrócono natomiast uwagę na charakterystyki osób oraz ustalono stosunek piszącego do tematu. Skreślono dżalektę, pozostawiając tylko charakterystyczne wyrażenia i wyrazy gwarowe.

Zapytani, dlaczego takie wprowadzili zmiany, odpowiedzieli, że wolą język literacki, gdyż obawiają się nieścisłości. Osoby utworu, które były słabo scharakteryzowane, skreślono, tłumaczono to tem, że te epizodyczne postaci prawdopodobnie nie będą dostatecznie zrozumiane przez widza.

Wielkim minusem w teatryku szkolnym było odkładanie pracy z niedzieli na niedzielę. To przerywało jej ciąg, a co najgorsze wytrącało niejednego z właściwego toku pracy. Paru uczniów nawet zrezygnowało z tej pracy „na raty”.

Na zebraniach były pauzy, porozumiewano się, naradzano, mówiono półgłosem, niekiedy głośno. Tak więc poważna praca przeplatana była luźną pogawędką. Uczniowie wchodzili, wychodzili z klasy, nie zakłócali jednak porządku. Nie krępowano swobody ruchów, mimiki, gestykulacji.

Przyszła kolej na próby. Na pierwszej próbie wytłumaczyłem, jakie osoby występują w utworze i podałem króciutką ich charakterystykę, poczem zapytałem: — Kto z was chciałby i jaką odegrać rolę? Zaznaczyć tylko, że nie dobiebrałem uczniów,



Składamy
naturę ...



którzy już niejednokrotnie wykazali pewne uzdolnienia dramatyczne, ale tylko z pośród zgłaszających się kandydatów wspólnie wyszukiwaliśmy takich, którzy się do danej roli stosunkowo najlepiej nadawali.

Znów szlachetna rywalizacja na pierwszej i następnych próbach. Próby często miały charakter improwizatorski, polegający na przedłużaniu myśli własnych lub kolegi, na przerywaniu mu opowiadania lub powtarzaniu końcowych wyrazów mówiącego na znak zdziwienia lub ironji.

Błędy językowe i wadliwą składnię np.: „on dla mnie powiedział”, „jaby mu dał”... tępilli sami uczniowie życzliwą uwagą, niekiedy zaś ironiczmem i chępliwem sprostowaniem.

Gorzej przedstawiała się sprawa z akcentem, który w Białymstoku nie jest czysto-polski. Trzeba było również pokonać wszelkie indywidualne trudności wymowy, np.: wytłumaczyć na czym polega wymowa wyrazów zima i zima, s'iano i siano.

Kiedy te prace były już, że tak powiem, oszlifowane, przystąpiliśmy do estetyki mowy. Uwzględniano logiczne akcentowanie, dobrano odpowiednie do danych ról głosy.

Przy rozdawaniu ról powstawały różne zdania:

„ten ma za wysoki, cienki, piskliwy głos, on nie może grać roli „wilka morskiego”, „tamten miałby głos dobry, ale za słabo wymawia”, wkońcu

„ten się nie nadaje, gdyż jego matowy bezbarwny głos nie wywoła efektu”! Zaczęło się więc poszukiwanie odpowiednich głosów: silnych, ostrych, basowych, dźwięcznych. A więc wartościowanie, dobieranie odpowiednich kolegów, którzyby nietylko swoją prezencją, ale nadewszystko stosownym głosem odpowiadali najbardziej.

W teatrzyku szkolnym aktor jest jednocześnie widzem. Grając, jest obserwowany przez kolegów, którzy mogą i powinni czynić różne uwagi i nawzajem, gdy on przestaje grać, to spostrzega i poprawia. Często sami uczniowie opracowywali poszczególne sceny, poznawali się, udzielali sobie rad, bądź sami starali się rozwiązać jakieś trudne miejsce. Nieraz dochodziło do sprzeczki, wówczas ingerencja wychowawcy była potrzebna i konieczna. Wszyscy więc śledzili i szli za tokiem akcji, zawsze były możliwe i pożądane poprawki i uzupełnienia.

Niemniej ważne było wydobywanie pierwiastków emocjonalnych w projektach dekoracji.

Podzielono się na dwa obozy. Jeden protegował dekoracje w ujęciu więcej modernistycznym, drugi — realistycznym. Po dłuższej walce, nacechowanej nieustępliwością i brakiem jakiegokolwiek kompromisu, trzeba było ostatecznie przyjąć jakieś kryterjum.

Przekonywującym argumentem przy najmniej zdecydowanej większości była treść napisanego utworu.

Nie zapomniano również o afiszach. Ten afisz, który „znawcy” wybiorą i uznają za najlepszy, ma pozostać na pamiątkę w szkole.

Największy kłopot był z budową sceny. Jedni namysłali się, gdzie scenę zbudować, drudzy mieli teoretycznie opracować plan sceny, trzeci starali się o gromadzenie materiałów.

Znalazło się sporo desek po remoncie szkoły. Zawrzała praca warsztatowa: struganie desek, przyrzynanie, pasowanie, zbijanie.

Wielką wartość wychowawczą miało przygotowanie przedstawienia. Każdy miał pracę sobie powierzoną, za którą odpowiadał. A więc: regulowanie światła, zawieszanie dekoracji, efekty dźwiękowe, urządzenie i dopilnowanie porządku na widowni i scenie.

Samo przedstawienie mniejszą posiadało wartość wychowawczą i dydaktyczną, nie było jednak bez znaczenia, a to dlatego że ściągało ono rodziców i opiekunów, pokazywało im, jak wygląda życie w naszej szkole, jaki panuje kierunek w wychowaniu, tworzyło pomost między szkołą i domem.

Jeśli chodzi o ucznia, to przedstawienie miało dobre i złe strony: wyrabiało w nim śmiałość i pewność.

Te rzeczy mogły być jednakże i niebezpieczne, gdyż prowadzą one niekiedy do zarozumiałości i fanfaronady. Uczeń długo nie może oderwać się od roli odegrywanej, chce zbierać owacje na scenie i później.

Zastanawiając się nad wartością teatrzyku szkolnego, doszedłem do następujących wniosków: nie chodzi tu o sam utwór, pisany przez uczniów jako taki, gdyż nie może on posiadać poważnych walorów literackich, nie chodzi również o sam moment odegrania go, który jest już tylko końcowym etapem dłuższej i pożytecznej pracy, mającej wielkie znaczenie wychowawcze

i dydaktyczne. Najważniejsze korzyści, jakie odniesiono, są: w ciągu tej pracy zrozumiano, co to jest utwór dramatyczny. Od wypracowania, monologu, dialogu zaczęto odróżniać scenę i akt, zrozumiano na czym polega nerw sceniczny. Stwarzane w wyobraźni osoby, sceny, sytuacje i znalezienie odpowiedniego języka, którym wyimaginowane osoby w rzeczywistości mogłyby się posługiwać, stanowią pozytywną zdobycz piszących.

Teatrzyk szkolny sprzyja rozwojowi bogatej pomysłowości młodzieży w wielu kierunkach, czy to chodzi o realizowanie pomysłów w utworze, czy w dekoracjach, czy też w budowie i urządzeniu sceny.

Teatrzyk kształci i wychowuje, budzi samodzielność, uczy cenić ludzi wartości-

wych, uspołecznia młodzież przez pracę zespołową.

Wychowawca w roli kierownika, reżysera, dekoratora, technika budzi uzdolnienia artystyczne, wysubtelnia psychikę, dba o kulturę mowy i daje wychowanie estetyczne na codzień.

Praca w teatrzyku wydaje mi się jedną z najlepszych prób przeprowadzenia korelacji wiadomości nabytych w szkole z praktycznym ich zastosowaniem. Częste pozalekcyjne obcowanie z młodzieżą pozwalało mi na bliższe poznanie swych wychowanków, a wśród młodzieży wywoływało większe zaufanie do wychowawcy.

Jan Gaciński

Opiekun teatrzyku szkolnego

W I T E Ź

UTWÓR SCENICZNY W DWÓCH AKTACH

AUTORSTWO ZBIOROWE

ROK SZKOLNY 1933/34.

Z AKTU I.

(Scena przedstawia pokład statku. Na mostku kapitańskim stoi kapitan, pilnie przypatrując się niebu. Wschód słońca.)

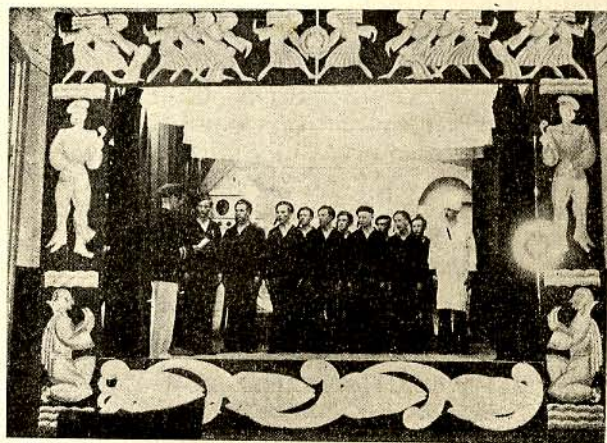
SCENA I.

(Kapitan śpiewa piosenkę. Melodja I. Brahms'a „Dobranoc”.)

Witaj dniu, piękny dniu,
Słońko promienie śle,
Pełne życia, zdroju,
Witam, kocham je.

Nasz los na łasce fal,
Witeziu, płyn hen, wdal. (Bis).

Kapitan: Hm... Coś ta cisza nie podoba mi się. Ręczę, że pod wieczór będziemy mieli sztorm. A chłopcy pewni siebie, weseli, niczem się nie przejmują. Eeech, młodym zawsze wiatr po głowie lata. (Przechadza się).



Z AKTU II.

SCENA I.

(Marynarze siedzą na zwojach lin.)

Tom: (Ocierając czoło) A tom się zmachał przy pompach.

Antek: Napracowaliśmy się setnie.

Stach: Ale to tak nagle stała się awarja... dziura... na zdziar wpadliśmy... Ani silnego sztormu nie było, tylko dma mocna.

Szymon: Dyć to dziwne. Tu, na Bałtyku na sztorm wpaść? To był tylko silny szkwał.

Jasiek: A pamiętacie opowiadanie Szymona o białej marze?

Wszyscy: Pamiętamy.

Antek: A pamiętając sił nie żałowaliśmy, byleby statek ocalić.

Stach: No i siebie.

Tom: Ja to jeszcze czuję tę pracę w kościach.

Jasiek: Ja też. Trudno było, choć we dwóch cynkować, szpetna była kipiela, ciągiem lufować a kluczyć.

Stach: A tak i wszystko jedno awarja się stała.

Paweł: Toż co tam mówić będziecie, nie nasza wola była.

Szymon: I to szkwał nadszedł tak niespodziewanie, tak nagle, że my potracili głowy i wszyscy, jak barany bez pasterza, po deku gonilim. A kapitan jak nie zapędzi nas migiem do pomp!

Stach: No, ale szczęście nam dopisało.

— — — — —
— — — — —
— — — — —

SCENA 4.

(Wchodzi kapitan z depeszą od admirała.)

Kapitan: Maćku, zrobić zbiórkę.

Bosman: Baczość!

Panie kapitanie, zbiórka załogi!

Kapitan: Bosmanie, dać „spocznij!” (Bosman wykonywa rozkaz)

Kapitan: Baczość!

Dowództwo M. W. w Gdyni. Rozkaz Nr. 14. Admirał Marynarki Wojennej Rzeczypospolitej Polski składa kapitanowi Witezia gratulacje, że posiada tak dzielną załogę, która w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa, grożącego pogrążeniem statku w głębinach morskich, spełniła swój obowiązek, wyżywając wszystkie siły, aby ukochany statek ocalić.

Podpisał: Adm. Unrug.

Warszawa, dn. 2.V.1934 r.

— Spocznij!

Kapitan: Doprawdy, kochani chłopcy, jestem dumny, że mam tak dzielnych marynarzy. Dziękuję wam za trudy, poniesione przy ratowaniu Witezia. Dziękuję również bosmanowi za dobrze i szybko zorganizowaną pracę. Czołem chłopcy!

Wszyscy: Ku chwale Ojczyzny, panie kapitanie!

Kapitan: Bosmanie, dać spocząć i rozejść się.

Bosman: Baczość! Rozejść się!

Szymon: Panie bosmanie, ale pięknie pan kapitan mówił.

Bosman: Podobało się wam?

Wszyscy: Pięknie, pięknie mówił.

Antek: Chłopcy, zaśpiewajmy piosenkę, której nas pan kapitan nauczył.
Wszyscy: Zaśpiewajmy, zaśpiewajmy...

(Melodia Spohr'a: „Zgodnym chórem bracia”...)

Już do portu wraca
Witeź, statek nasz,
Bratnia, wspólna praca
Ocaliła nas.

Pieśni nasza brzmij
I daleko mknij! (Bis.)

Marynarzu polski,
Wiernie Państwu służ
I ten statek morski
Zachowaj od burz.

Pieśni nasza brzmij
I daleko mknij! (Bis.)

Pieśni radość głoszą,
Obiegają świat,
Pozdrowienia niosą
Z Gdyni hen, do Tatr.

Pieśni nasza brzmij
I daleko mknij! (Bis.)

Koniec.

NIE ZGINĘŁA

UTWÓR SCENICZNY W TRZECH AKTACH
AUTORSTWO ZBIOROWE
ROK SZKOLNY 1934/35.

AKT I. SCENA 6.

— — — — —
— — — — —
Drużynowy: Jutro wyjeżdżamy!

Ziutek: Nareszcie będziemy naprawdę żołnierzami.

Drużynowy: Nie zwlekajmy,
spełnijmy, powtarzam raz
jeszcze, nasz obowiązek.
Więcej ani słowa.

Stasiek: A gdzie mamy się
meldować?

Antek: A od czego masz język?

Stasiek: Właśnie chcę się za-
pytać...

Drużynowy: Zbiórka — biuro
meldunkowe — Białystok,
najpóźniej w przeciągu
2-ch dni.

Taki jest rozkaz!

Wszyscy: Hurra!

*(Odchodząc, śpiewają na nutę
„Warszawianki”, muz. Karola
Kurpińskiego)*



Hufce nasze duch jednoczy,
Spaja serc ofiarny żar;
Ogniem świętym płoną oczy,
Polsce niesiem życie w dar.

W szczytne hasła zapatrzeni
Wznosim dumnie sztandar swój,
Nimbem blasku opromieni
Nasz wysiłek krwawy znój.

Hej, kto harcerz służ krajowi,
Młódź harcerska nie zna trwóg.
Walczyć na śmierć my gotowi,
Gdy zagrozi Polsce wróg (Bis.)

Orli lot nasz wyżyn sięga,
Dobyc chce pioruny chmur;
Ramion naszych lwia potęga,
Niezwalczony piersi mur.

Żywy mur tę Polskę broni
I nad Wisłą trzyma straż,
Gdy uderzy zew „do broni“,
Pierwszy stanie hufiec nasz.

Hej, kto harcerz... i t. d.

AKT II.

(*Kapitan pochylony nad mapami. Obok niego adjutant. Z prawej strony telefonista, zamysłony przy aparacie, z lewej sanitariusz. Z oddali dochodzi gwar biwakujących żołnierzy.*)

SCENA 1.

Kapitan: (*Po chwili do siebie*) Szosa idzie prosto... aż... dotąd... Z tej strony pagórek... dobry punkt... gdyby tak go obsadzić... hm... a dalej pole...
(*Zwraca się do adjutanta*) Co tam w obozie tak wesoło?

Adjutant: A, ot cieszą się! Pewno ten Warszawiak znów swoje kawały opowiada.
(*Ostry głos dzwonka telefonu*)

Kapitan: Może rozkaz?

Telefonista: Tak jest!

Kapitan: (*Bierze słuchawkę z rąk telefonisty i słucha. Po chwili zwraca się do adjutanta.*)
Wolać mi sierżanta!
(*Adjutant wybiega.*)

Kapitan: Hm... więc obsadzimy ten pagórek! Dobrze myślałem. Jeszcze dzisiaj pójdziemy.

A K T III.

SCENA 9.

(*Szczęśliwy powrót Antosia z wojny, powitanie*)

Wszyscy: Antoś!

Ala: Jeszcze się ze mną, Antosiu, nie przywitałeś!

Antoś: Patrzcie, jak wyrosła (*Podnosi ją do góry*)

Ala: Masz, to ode mnie!

(*Daje chusteczkę z orłem wyhaftowanym*)

Matka: Witaj, synku, witaj! Ja już za tobą oczy wypłakałam.

Antoś: Obowiązek musiałem spełnić.

Dziadus: (*Dumnie*) Za to, Antosiu, kocham cię!

Ojciec: (*Troskliwie*) A zdrow jesteś?

Mały

braciszek: Antoś! Jak walczyłeś?

Antoś: Czekać, czekać! Wszystko opowiem pokolei. Jestem zdrow, tylko...

Matka: Co tylko?

Antoś: W uszach mi jeszcze świszczą bolszewickie kule, w głowie pękają granaty, a w oczach błyskają mi jeszcze wstęgi torów kół armatnich.

Ojciec: Siadajcie... Odpocznijcie...

Matka: (*Częstuje*) Jedz, synu! Tylko dużo.

Ojciec: (*Po chwili*) Antosiu! Ja ciebie nie poznaję, tyś inny wyruszał na wojnę.

Antoś: Tak ojcie, teraz inny jestem i taki pozostanę do końca mego życia. Będę wzorowym obywatelem i żołnierzem Polski.

Dziaduś: Złote słowa...

Antoś: (Z zapalem) Teraz zrozumiałem, że Polska, to wielka i święta rzecz! Teraz wiem, ile krwi i ofiar kosztowała wolność. Przekonałem się, że „Nie sztuka umrzeć, sztuka żyć!”

Dziaduś: Święta prawda! Myśmy walczyli o honor Polaka, Wy macie Polskę Wolną. Budujcie Ją i prowadźcie ku chwale i potędze!

Ojciec: Niech żyje Ta, co nie zginęła!

Wszyscy: Niech żyje!

Antoś: Niech żyje Ten, który prowadził Ją do zwycięstwa!

Wszyscy: Niech żyje!

Dziaduś: Niech żyje Armja Polska!

Wszyscy: Niech żyje!

Koniec.

UWAGA: Oryginały utworów scenicznych, z których podane są tu wyjątki, zostały wręczone Panu Dyrektorowi Doktorowi Wacławowi Kwapińskiemu.

KORZYŚCI Z TEATRZYKU SZKOLNEGO

Jako byli członkowie teatrzyku szkolnego, wspominamy często nasze miłe przeżycia z czasów, kiedy to na scenie w naszym gimnazjum były odegrane utwory sceniczne: „Witeź” (r. szk. 1933/34) i „Nie zginęła” (r. szk. 1934/35).

Teraz jesteśmy zajęci innemi sprawami, myślimy o maturze. Pozornie zdawałoby się mogło, że sprawy, związane z teatrzykiem, mało nas obchodzą, a jednak dużo o nich mówimy. Szczycimy się, żeśmy do niego należeli. Praca nasza nie poszła w zapomnienie.

Dziś jeszcze więcej doceniamy wartość tej pracy, dziś zdajemy sobie sprawę, że czas, spędzony na zebraniach członków teatrzyku, nie był stracony, żeśmy z każdego najmniejszego poczynania odnosili duże korzyści. A jest ich wiele!

Przedewszystkiem teatrzyk szkolny kształcił tych, którzy zajmowali się pisaniem utworów scenicznych.

Nie łatwa to rzecz napisać utwór, który ma być odegrany na scenie, który ma czynić zadość wszelkim przepisom, jak: podział na akty i sceny, żywa akcja, przeplatanie scen poważnych humorem, wykazywanie bohaterstwa głównych postaci i wielu innym warunkom.

Gdy się to wszystko weźmie pod uwagę, to aż strach ogarnia, czy rzeczywiście uczeń potrafi sprostać tak wielkiemu zadaniu. Tak! Dumni byliśmy z napisania

utworu scenicznego, czuliśmy zadowolenie. Wszak to była próba własnych sił, próba, która kształciła i rozwijała umysł piszących. Wspólne zebrania i dyskusje na tematy, ściśle związane z utworem, przyniosły nie mniejszą korzyść. Na zebraniach dyskusyjnych wyrabialiśmy sobie szybką orientację, spostrzegawczość, uczyliśmy się dyskutować, wydawać własny sąd o utworze, krytykować, żądać zmian, dawać własne projekty i t. p.

Umysł nasz w tym czasie pracował, przynosząc nam wiele nowych zdobyczy z dziedziny teatralnej.

Uczeń, wyrabiając sobie krytycyzm, wiedział, czego ma żądać od utworu scenicznego, zdawał sobie sprawę, dlaczego mu się jeden utwór podoba, a inny nie, uczył się poznawać piękno sztuki teatralnej, umiał patrzeć na wystawioną sztukę, badał jej treść, formę, technikę wystawiania, bo tak go już nauczono w teatrzyku szkolnym.

Czyż więc nie łatwiej jest zrozumieć nawet poważny utwór dramatyczny temu, kto już otrzymał przygotowanie w naszym teatrzyku?

Ale rola teatrzyku szkolnego nie skończyła się na tem. Miał on również znaczenie wychowawcze. Uczył cenić pracę wychowawczą, odpowiedniego zachowania się w towarzystwie, uczył podpatrywać życie, które przynosi dużo materiału piszącemu,

wzbogacał fantazję, przyzwyczajał do elegancji. I to właśnie jest bardzo ważne.

Podczas przygotowań do przedstawienia szkolnego uczyliśmy się dostosowywać do różnych okoliczności i potrzeb, uczyliśmy się pracować z pożytkiem dla siebie i szkoły. Obok pracowitości wyrabialiśmy w sobie pilność i sumienność w wykonywaniu podjętych prac. Tu znów należy podkreślić obowiązkowość, którą wykazywano w punktualnem przychodzeniu na próby, przygotowywaniu dekoracyj na termin, montowaniu sceny i t. p.

Gdybyśmy szczegółowo rozstrząsali pracę teatrzyku szkolnego t. zn. od powstania projektu utworu scenicznego, aż do chwili, kiedy „artyści” znajdą się na scenie, to na każdym kroku widzielibyśmy tylko korzyści, które nam dawał teatrzyk. Projekty, utwór, budowa sceny, dekoracje, reżyserja, zdobywanie funduszu wymagają sprężystej organizacji, bez niej wszelkie prace posuwałyby się leniwo i dawałyby nikłe rezultaty.

Uczyliśmy się więc organizować i pracować dla danej organizacji.

Teatrzyk szkolny spełniał również niemałą rolę w propagandzie L. M. K. i Harcerstwa.

Mając na względzie te wszystkie korzyści, powinniśmy pamiętać, że należy przy każdej sposobności szerzyć i popierać teatrzyki szkolne i amatorskie.

Idziemy w życie!

Kto wie, może który z nas będzie w przyszłości nauczycielem? Jeśli tak, to z pewnością starać się będzie o zorganizowanie teatru. Teatr nie tylko ułatwi mu pracę, ale przyniesie dużo zadowolenia.

Witold Żur
kl. VII.





N A S Z A C Z Y T E L N I A

Życie współczesne biegnie nader szybko-
kiem tempem. Zdarzenia następują jedno
po drugim, wciąż nowe fakty zaprzatają
naszą uwagę. Człowiek dwudziestego wieku,
o ile chce sprostać temu tempu zdarzeń,
musi interesować się wieloma przejawami
życia nowoczesnego w jego różnorodnych
dziedzinach, jak nauka, kultura, sztuka,
polityka, sport i t. d.

Ale przeciętny obywatel nie może
przecież brać osobiście udziału we wszyst-
kich wydarzeniach, ani też mieć o wszyst-
kiem własnego jasnego sądu. Czynnikiem,
który uprzysiępnia nam i informuje nas
o wszystkich dziedzinach życia jest prasa.
Prasa fachowa pozwala na pogłębienie wia-
domości z pewnej określonej dziedziny i na
stałe orjentowanie się w postępach danej
gałęzi twórczości ludzkiej. Prasa jest rów-
nież potężnym czynnikiem propagandowym,
opinia zaś publiczna na łamach prasy wal-
czy o nowe idee i o reformy społeczne lub
polityczne.

Gazety i czasopisma nie są jednak
obecnie dostępne dla każdego, chcącego je
czytać, gdyż trudne warunki materialne
uniemożliwiają częstokroć kupno najtań-
szej choćby gazety.

Wychodząc z powyższych założeń, nasz
Samorząd Klasowy „Ogniwo” postanowił
założyć czytelną w szkole, która miała za
cel podnieść czytelnictwo na terenie klasy,
jako też całego Gimnazjum.

Praca przy organizowaniu czytelnicy na-
potykała na duże trudności. Szczególnie
dawał się odczuwać brak funduszy na
zaprenumerowanie kilku chociażby pism.

Zwróciliśmy się więc z apelem do uczniów
wszystkich klas naszego Gimnazjum, aby,
o ile mają w domu gazety i czasopisma już
przeczytane, przynosili je do szkoły, aby
w czytelnicy były dostępne dla wszystkich
uczniów.

Apel ten odniósł tylko częściowy sku-
tek. Początkowo pism było mało, ale z bie-
giem czasu przybywało ich coraz więcej.
Obecnie poza pismami ogólnoinformacyj-
nymi (w ilości jedenastu) czytelnicy otrzy-
muje szereg pism z dziedzin specjalnych,
jak: literatura, technika, wojsko, lotnictwo,
morze, sport, harcerstwo i t. d. Pisma są
bądź prenumerowane przez Szkołę, bądź
wypożyczane czytelnicy przez Samopomoc
Uczniów, L. O. P. P., L. M. i K. oraz przez
niektórych P.P. Profesorów i uczniów. Sze-
reg cenniejszych wydawnictw wypożycza
również czytelnicy biblioteka szkolna.

Równoległe ze wzrostem liczby pism
rosło zainteresowanie i frekwencja w czy-
telnicy. Sięgała ona do 25 osób dziennie
przyczem większa była w miesiącach zimo-
wych niż letnich. Korzystają z czytelnicy naj-
chętniej uczniowie klas starszych, ale rów-
nież i młodszy Koledzy interesują się czytel-
nicą. Czynna jest ona codziennie po lek-
cjach. Kieruje czytelnicą pełen zapału
kol. H. Mleczko.

Czytelnicy stała się instytucją popularną
na terenie szkolnym, spełniając w całej
pełni swe zadanie, jakim jest zaznajamia-
nie młodzieży z opinią publiczną i kształ-
towanie jej poglądu na świat i życie.

Solomon Gordon
Kl. VII.

BUDUJEMY SZKOŁY

Nauka dziś jest wszystkim! Nic jej nie potrafi zastąpić.

Dzięki nauce człowiek stał się władcą świata, na którego usługach są potęgi przyrody. Znaczenie wiedzy jest ogromne. Każde państwo na pierwszym planie stawia przede wszystkim naukę, gdyż wie, że jedynie tylko jej krzewienie może zabezpieczyć jego byt i pomyślny rozwój, że tylko ten naród utrzyma się „na powierzchni” w walce z wszelkimi niedomaganiem, który będzie stał na najwyższym stopniu kultury.

Państwo polskie docenia wartość i znaczenie nauki. Rząd i społeczeństwo usilnie dąży do tego, by powetować te straty, jakich doznałszy pod czas niewoli. Największą z tych strat — to brak dostatecznej ilości szkół. Musimy więc wznieść dużo szkół nowych, by dać możliwość korzystania z nauki wszystkim bez wyjątku obywatelom, by każde dziecko ukończyło przynajmniej szkołę powszechną.

Zdajemy sobie sprawę, że pod tym względem mamy jeszcze wiele braków. Wprawdzie posiadamy dużo szkół, ale jak na 33 milionowy naród, jest ich za mało, szczególnie szkół powszechnych. Musimy postawić sobie za cel, by wszystkie dzieci pomieścić w szkołach.

Państwo polskie obecnie jest w trudnych warunkach gospodarczych. Konieczne są oszczędności i ofiary od wszystkich grup społecznych. Dwie wielkie sprawy natury ogólnopaństwowej postawił Rząd Rzeczypospolitej na pierwszym miejscu: obronę państwa i oświatę powszechną. Ograniczając wydatki we wszystkich resortach pracy państwowej, pozostawił je

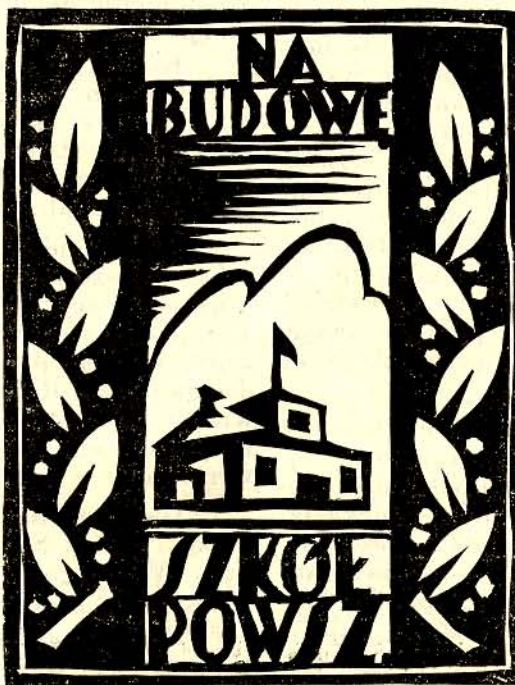
w dziedzinie obrony państwa i oświaty w dotychczasowej wysokości. Takie stanowisko rządu musi być zrozumiane przez całe społeczeństwo, które ze swej strony podjąć powinno starania, by w dziedzinie oświaty utrzymać dotychczasowy poziom, ale pójść o krok naprzód, zwłaszcza gdy chodzi o rozbudowę szkolnictwa powszechnego.

Nasze szkolnictwo powszechne znajduje się w stanie okropnym.

Wprawdzie posiadamy dużo wartościowych sił pedagogicznych, dużo ofiarności, wytrwałości i poświęcenia na tem polu, ale sił tych nie można odpowiednio wykorzystać, gdyż brak ku temu koniecznych warstwow — dostatecznej ilości lokali szkolnych i pomocy naukowych. Ażeby zdać sobie sprawę, w jakich warunkach odbywa się nauczanie w szkołach powszechnych, wystarczy, choćby na chwilę, wstąpić do wiejskiej szkółki, wystarczy rzucić okiem po ciasnej, wilgotnej i niekiedy nieopalonej izdebce, by zdać sobie dokładnie sprawę z tego, jakie mogą być wyniki nauczania.

Działwa uczęszczająca do szkół powszechnych, musi niejednokrotnie pracować w okropnych warunkach. Szczególnie w ciężkich warunkach zmuszona jest pracować młodzież na wschodnich rubieżach naszego państwa.

Ludność na kresach wschodnich znajduje się w biedzie, odczuwa brak najniezbędniejszych artykułów codziennego użytku. Nie dziw tedy, że rodzice nie mogą zapewnić swej działwie odpowiednich warunków pracy.



Rząd również nie rozporządza dostatecznymi środkami, by wziąć na swe barki odbudowę miast, wsi oraz stworzyć szeroko rozgałęzioną sieć szkolnictwa powszechnego. W tej pracy całe społeczeństwo musi wziąć czynny udział, musi przystąpić do współdziałania z Rządem.

Spółeczeństwo polskie okazało swe zrozumienie dla szkolnictwa, zrozumiało potrzebę krzewienia nauki, to też z całym zapałem przystąpiło do wznoszenia nowych budynków szkolnych i zaopatrywania ich w jak najkonieczniejsze potrzeby szkolne i pomoce naukowe. Dzięki zrozumieniu tak ważnej sprawy, jaką jest szerzenie oświaty wśród szerokich mas ludności, zawiązało się Towarzystwo Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych, które zajęło się tą akcją. Akcja ta jest trudna, szczególnie w obecnych ciężkich warunkach materialnych. Nie powinniśmy się jednak zrażać przeciwnościami, ale mamy dążyć konsekwentnie do pokonywania wszelkich przeszkód, napotykanym na tej drodze. Od wspólnej akcji w pracy zależna jest realizacja budowy nowych szkół. W tym ogólnym wysiłku nie powinno zabraknąć i nas młodych. My, młodzież powinniśmy iść ręką w rękę ze starszym społeczeństwem, a nawet powinniśmy przodować w tym wyścigu pracy. Młodzież szkół średnich doskonale pojmuje swoje zadanie, wie, jaka czeka ją praca na przyszłość.

Dzisiaj wprawdzie nie może wiele dopomóc materialnie, gdyż sama jeszcze tej pomocy potrzebuje, może jednak zająć się moralną opieką nad młodzieżą. A opieka ta jest bardzo potrzebna. Ma ona wyrazić się w braterskim ustosunkowaniu się do młodzieży szkół powszechnych, we wspólnej wymianie myśli i przeżyć. Akcją tą należy tak pokierować, by dzieci odczuły, że jesteśmy im bliscy, że je kochamy i pragniemy dla nich dobra i szczęścia.

Młodzież naszego Gimnazjum szczerze i z zapałem podjęła tę akcję. Prócz ożywionej korespondencji, utrzymywanej w jak najserdeczniejszym tonie, staraliśmy się o to, by w miarę naszych sił przyjsć młodzieży w Rożanie Wielkim, Manasiejowie i Złotem z pomocą materialną. Pomoc ta polegała na przesyłaniu paczek, zawierających przedmioty codziennego użytku oraz na zaopatrzeniu dzieci w przybory i materiały piśmienne. Inicjatywę i wykonanie

wszelkich czynności, związanych ze zbiorcami, młodzież ujęła w swe ręce. Trzy razy w ciągu roku wysłano książki, potrzebne do użytku szkolnego, kajety, ołówki, obsadki, materiał na ubrania harcerskie, czapki, szaliki i obuwie.

Wysłano również 2-om szkołom biblioteczeki szkolne po 87 egzemplarzy. Ogółem w roku szkolnym 1934/35 przesłano 219 kg. 100 g., w roku szkolnym 1935/36 — 239 kg. 400 g. darów dla młodzieży szkół powszechnych. Nie zapomniano również i o apteczkach, które przyjęto z największą radością.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy matki chętnie piekły ciastka, posyłały cukier i inne artykuły pierwszej potrzeby.

Rodzice, widząc nasz zapał i właściwe zrozumienie akcji pomocy biednym dzieciom, nie ociągali się w niesieniu pomocy.

Koło Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych, jakie powstało przy naszym Gimnazjum, dotychczas zebrało 2.441 zł. 12 gr., co stanowi pokątną sumę, jeśli się weźmie pod uwagę stronę materialną naszych Rodziców.

Poznanie całokształtu życia uczniów szkół powszechnych z Polesia tylko drogą korespondencji nie mogło nas zadowolić. Zaczęliśmy szukać innych sposobów zbliżenia, to też powstał projekt, by wysłać delegatów do Rożanu Wielkiego, by nawiązać bezpośredni kontakt z młodzieżą i jej rodzicami; chodziło nam o zbadanie warunków, w jakich ona pracuje.

Dwaj koledzy z klasy VIII-ej (M. Piotrowski i Cz. Sidorski) pojechali do Rożanu Wielkiego w drugiej połowie stycznia 1935 r.

Po powrocie delegaci złożyli obszernie sprawozdanie rzeczowe, nacechowane głęboką troską o polepszenie doli dzieci na Kresach, które młodzież nasza wysłuchała z należytą powagą i postanowiła nieść stałą, celową pomoc.

Od tej pory zacieśniły się węzły przyjaźni i braterstwa. Dążymy i nadal będziemy dążyli, by młodzież kresowa czuła, że jest ktoś, kto o nią dba, kto pragnie jej dobra. W ten sposób, postępując świadomie, zdajemy sobie sprawę, iż spełniamy święty obowiązek, obowiązek miłości bliźniego i wierzymy, że utwierdzamy polskość na krańcach naszego państwa.

Praca rozpoczęta trwa. Nie wolno przerywać jej ciągłości. Dążmy więc wytrwale, by nas wszystkich jednoczył duch polskości i gorąca miłość ku naszej ojczyźnie. Dążmy, by zatrzeć pomiędzy nami wszelką różnicę pochodzenia, czy zajmowanego stanowiska. Wszyscy mamy mieć jeden cel i jedno dążenie. Wszyscy powinniśmy tworzyć jedną rodzinę,

„Bo wioska i miasto — to jeden nasz świat.
I wszędzie, dziecińo, twa siostra, twój brat.
I wszędzie, dziecińo, wśród lasów i pól,
Jak ty czuje radość, jak ty czuje ból.”

Stanisław Kropiewnicki
kl. VIII.





LIST DO ŻOŁNIERZY K. O. P'u

Kochani Żołnierze!

My, uczniowie Gimnazjum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, zasyłamy Wam świąteczne życzenia.

Ze stron dalekich biegnie ku Wam młodzieńczy uśmiech wesela, szczere słowo współczucia dla znoju i Waszej ciężkiej pracy.

Doceniamy należycie Wasze posłannictwo, Waszą ofiarną i pełną poświęcenia pracę dla dobra naszej wspólnej Matki — Ojczyzny.

I my — młodzi, którzy kiedyś obejmimy Wasze placówki, już teraz zaprawiamy się do tej pracy, uczymy się wytrwałości, uczymy się wiedzy wojskowej, hartujemy swego ducha w naszej organizacji szkolnej P. W.

Wiemy, że praca Wasza nie ogranicza się tylko do umiejętnego obchodzenia się z karabinem i wystawiania warty. Wam nie wystarcza chleb codzienny, bo serca i umysły mają swoje wymagania.

Przesyłamy Wam książki (18). Skromny to dar, lecz płynie ze szczerego serca, życzącego Wam jak najprzyjemniejszych chwil przy czytaniu ukochanych naszych książek.



*My, młodzież ucząca się, nie zapominamy o Was, szarych Żołnierzach, stojących na straży pokoju i wolności Ojczyzny, zasyłamy Wam gorące słowa pociechy i życzenia **Wesołych Świąt!***

Uczniowie kl. VI.
Państw. Gimn. im. Marszałka
Józefa Piłsudskiego
w Białymstoku.

Grudzień 1933 r.

K. O. P.
BATALJON „SEJNY”

Sejny, dnia 15. lutego 1934 r.

**Dyrekcja Państwowego Gimnazjum
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
w Białymstoku**

W związku z nadesłanymi życzeniami dla żołnierzy tutejszego Bataljonu K. O. P. proszę w moim i żołnierzy imieniu młodzieży szkolnej VI. klasy Gimnazjum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego wyrazić serdeczne podziękowanie za miłe i pełne dobrego serca słowa pociechy świątecznej oraz za nadesłane książki, z których bardzo radzi korzystają.

Dowódca Bataljonu
Wójcik Jan
Major.



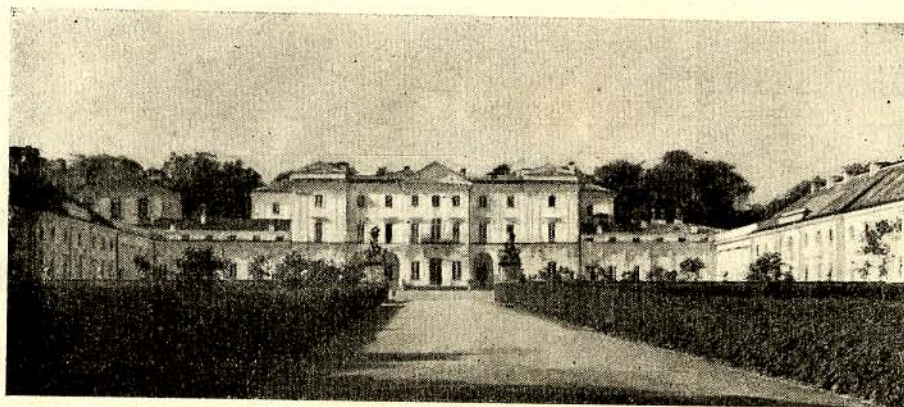
**PORADNIA
WYCHOWAWCZO-LECZNICZA
RADY SZKOLNEJ m. BIAŁEGOSTOKU**

Pokwitowanie.

Niniejszem kwituję odbiór książek (9) jako daru dla świątlicy przy Poradni Pedologicznej.

Sekretarka Poradni
Julja Zubelewicz

16/XII.33 r.



Grodzki Komitet Pomocy Ofiarom Powodzi

otrzymał od uczniów Państwowego Gimnazjum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego list, świadczący o szlachetnym odruchu tej młodzieży na rzecz powodźian.

„Przejęci do głębi tegoroczną powodzią odczuwaliśmy grozę i trudne położenie powodźian. Myśl, aby przeprowadzić zbiórkę książek, znalazła żywe i właściwe zrozumienie wśród nas, młodzieży. Od pierwszej aż do ósmej klasy każdy niemal uczeń przyniósł książkę. Po kilku dniach zebraliśmy 100 książek naukowych, 2 zeszyty i 3 zł. 20 gr. Uprzejmie prosimy o ich przyjęcie i przesłanie dzieciom powodźian, najbardziej pilnym w naukach”.

Młodzieży, którą wzruszyła niedola rówieśników, Grodzki Komitet Obywatelski składa za naszym pośrednictwem najserdeczniejsze podziękowanie.

(Drukowane w „Dzienniku Białostockim”, 28 września 1934 r.)

LIST OD DZIECI POLSKICH Z BRAZYLJI

Kurytyba, dnia 25. 10. 1934 r.

Kochani Bracia!

Dziękujemy Wam za tyle pięknych wiadomości i za przysłanie flagi polskiej. My tu, w Brazylii często sobie o Was wspominamy, a szczególnie na godzinach historii polskiej i geografji. Każdy z nas chętnie uczy się tych przedmiotów.

— — — — —
— — — — —
— — — — —

Teraz Wam opiszę choć w krótkości przyjęcie bohatera przestworza P.M. Skarżyńskiego. Było to dnia 4 czerwca o godz. 2-giej po południu w zakładzie S. S. Rodziny Marji. Przybył bohater w towarzystwie godnych przedstawicieli Kochanej Naszej Ojczyzny: Pana

Doktora Generalnego Konsula Romana Staniewicza i innych urzędników brazylijskich i profesorów polskich.

Najpierw odśpiewaliśmy hymn polski, potem hymn brazylijski.

Tym widokiem wszyscy byliśmy wzruszeni i prosiliśmy, żeby z nami został jak najdłużej. Niestety, powiedział, że jeszcze ma dużo zwiedzić, a czasu mało.



Na drugi dzień rano o 8-mej musi już wyjeżdżać do portu Alegre, a stamtąd do Argentyny.

Przy pożegnaniu ostatniem powiedzieliśmy, że wszyscy będziemy lotnikami. Przez długi czas była tylko mowa o lotnictwie.

Pozdrawiam Was, Kochani Bracia Rodacy, po 100.000 razy.

Mieczysław Czerwonka.

LIST DO DZIECI NA POLESIU

Kochane Koleżanki i Kochani Koledzy!

Jest nam bardzo przyjemnie rozmawiać z Wami. Na samą myśl, że słowa te czytać będziecie, że trafią one do Waszych serc, obudzą w nich może jakieś gorętsze uczucia, łączące dusze Polaków, odczuwamy radość głęboką. Już to samo, że możemy podzielić się naszymi myślami i usłyszeć z ust Waszych serdeczniejsze słowo, sprawia nam prawdziwe i wielkie zadowolenie. Bo Wy jesteście nam bliscy, chociaż los rzucił Was na krańce naszego Państwa, jesteście bliscy myślą i sercem. Łączy nas wspólna i wielka Ojczyzna, łączy nas szkoła i książka. Wiemy, że bywają w życiu Waszem żmudne i posępne chwile, kiedy codzienne trudności budzą zwątpienie w dni jaśniejsze, w dni szczęśliwsze, kiedy rozpacz nawet zatarga młodą, rwącą się do życia duszą, kiedy wszelkie marzenia, wysnute w chwilach zapomnienia, gasną przytłumione orką smutnego losu i ciężkich zmagania się z życiem. Chwilami Wam się zdaje, że jesteście osamotnieni w niedoli codziennych kłopotów, związanych z nauką (brak odpowiednich książek, zeszytów, obsadek lub ołówków, brak cieplejszego ubrania i obuwia, a czasem może łyżki cieplejszej strawy),



to jednak ułajcie głęboko,
że nie zapomniano o Was.

Pamięta o Was Rząd
Polski, pamięta społeczeństwo,
pamiętamy i my młodzi, my—uczniowie.

Niechaj myśl o tem,
że są serca młode, które
biją dla Was tętnem miłości,
że są dusze pełne
uczuć szlachetnych, pragnące
Wam przyjść z pomocą,
rozświecić Wasze czoła,
zasepić troską, dodać Wam siły
do wytrwania, wzmocnić
nadzieję w lepszą przyszłość.
Nasze skromne

posyłki (książki, zeszyty, ołówki) niech Wam przywodzą na pamięć nas,
gotowych Was rozweselić, gotowych Wam dopomóc.

Nie myślcie, że chcemy Was łudzić nadzieją, nasze pragnienia są wielkie i szczerze i czynimy to, co jest w naszej mocy.

Mamy dużo projektów, aby Was rozweselić, oderwać od smutnych chwil ciężkiego życia. Chcemy za swoje pieniądze sprowadzić Was do Białegostoku, pokazać nasze Gimnazjum, nasze miasto, poznać Was bliżej i zacieśnić szczerą wzajemną przyjaźń. Nie piszemy o tem szeroko, bo to Wam sprawi niespodziankę i tem większą radość. A chcemy Wam sprawić dużo przyjemności.

Nasi młodzi koledzy interesują się Wami bardzo żywo i większa część tych przesyłek pochodzi od nich. Żebyście widzieli, jak ci młodzi z klas niższych myślą o Was często, jak chcą Wam dopomóc, jak uważnie słuchają listów Waszych, czytanych przez Pana Dyrektora, jak chciwie łowią każdą o Was wiadomość. A i my—starsi pamiętamy o Was zawsze. Przecież jesteście tak samo jak i my dziećmi naszej Ojczyzny.

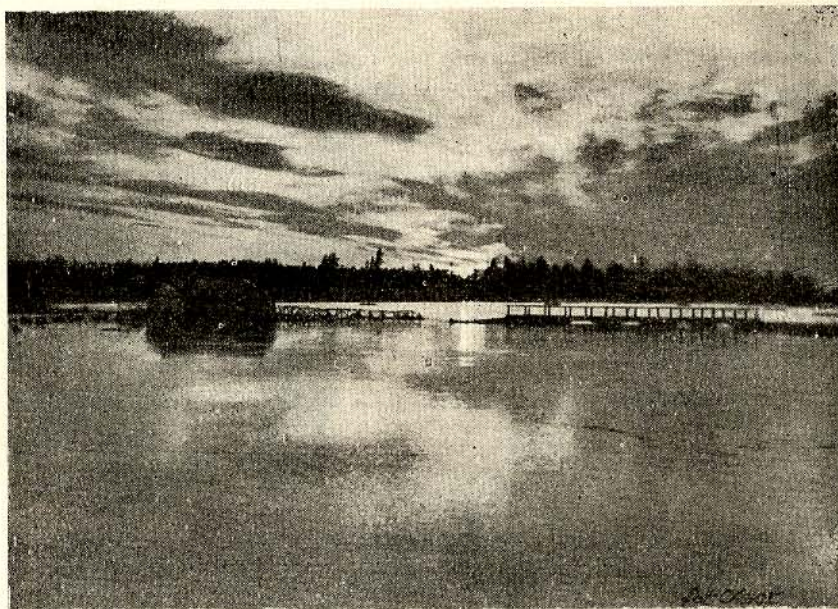
Nie traćcie nigdy nadziei i wiary w lepszą przyszłość, którą musimy wspólnie wywalczyć drogą cichej i ciągłej pracy, drogą pokonywania codziennych trudności, codziennych trosk i niepowodzeń. Nadejdzie ten dzień, że słońce radosnych chwil opromieni naszą i Waszą przyszłość, że, połączeni wspólnym węzłem miłości, spojrzymy z dumą na dzieło rąk swoich, dzisiaj tak słabych i czasem bezradnych. My o Was zawsze i zawsze myśleć będziemy i nieść Wam pomoc ofiarną i szczerą.

Z tą myślą i z tem serdecznym uczuciem w imieniu wszystkich uczniów naszej Szkoły pozdrawiamy Was!

Uczniowie klasy VII.

Państw. Gimnazjum Imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego
w Białymstoku.

Białystok, styczeń 1935 r.



SPOSTRZEŻENIA I UWAGI KOLEGI,

który w imieniu Gimnazjum został delegowany do Rożanu Wielkiego celem nawiązania bezpośredniej łączności z Gronem nauczycielskiem, dziećmi i ich rodzicami.

Kiedy ruszałem do naszych młodych przyjaciół na Polesie, brakło mi dowodu serdecznej łączności z nimi całej Szkoły, którą miałem reprezentować i w Jej imieniu zadzierzgnąć węzeł przyjaźni między młodzieżą wschodnich rubieży Polski i naszego Gimnazjum. Tym dowodem, który mi przyszedł w porę z pomocą był list, wówczas siódmej, obecnie ósmej klasy.

Czytałem go wobec młodzieży szkolnej Rożanu Wielkiego, zgromadzonej wraz z gronem nauczycieli i przedstawicieli rodziców. Jakkolwiek zdawałem sobie jasno sprawę, iż nasza akcja pomocy dla szkół kresowych nie rozwiązuje poważnej kwestji społecznej, jaką jest niedola ludności tych stron, to jednak w chwili zetknięcia się z rezultatem naszych poczynań utwierdziłem się w przekonaniu, iż w dalszym ciągu rozpoczętą akcję należy utrzymać i bardziej wzmocnić.

List, gorąco zapewniający, iż skromna pomoc nasza płynie ze zrozumienia obowiązku, jaki na nas ciąży, którego wypełnienie sprawia nam radość, że akcja nasza nie ustanie, dopóki tego zachodzić będzie potrzeba, odczytałem z prawdziwą szczerością. Na obliczach młodych słuchaczy malował się wyraz uwagi i głębokiego skupienia. Oczy ich chciały łowić każde poruszenie warg, chcąc jakby dopomóc w ten sposób w uchwyleniu treści w miejscach, gdy głos mi się załamywał.

Niektórzy od czasu do czasu ocierali łzę wzruszenia i — zapewne wdzięczności.

Gdy skończyłem, popłynęły słowa podzięki...

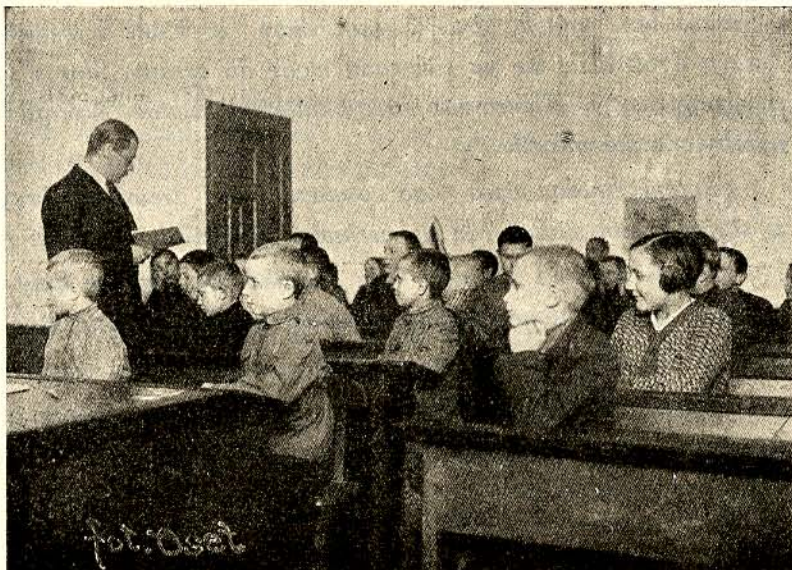
Najbardziej wzruszające było samorzutne podziękowanie jednego z przedstawicieli rodziców. Wystąpił z grupy i, mnąc czapkę w rękach, plątał się w bezładnych słowach, które mu dyktował bezpośredni, szczery odruch. Z trudnością dobierał wyrazy, lecz łatwo mu było zdobyć się na szczerość.

Uścisnąłem serdecznie jego dłoń jak i przedstawicieli młodzieży, chowając na dnie duszy nurtujące przekonanie, iż na tyle wdzięczności stanowczośmy nie zasłużyli.

Mojem najszczerzszym pragnieniem jest, by ci, którzy po nas podejmą dalszą pracę, zrobili więcej, niż myśmy zrobili.

Mieczysław Piotrowski.

Białystok, dnia 13 stycznia, 1936.



LIST OD UCZNIA Z POLESIA

Kochani Koledzy!

Opiszemy Wam zwyczaje ludowe na Polesiu, związane z Bożym Narodzeniem.

W wigilję Bożego Narodzenia, jak u nas się nazywa w „kutję”, ludzie wnoszą siano do domu i na sianie jedzą.

W wigilję Nowego Roku ludzie obwiązują słomą drzewa owocowe, żeby było dużo owoców. Wieczorem chłopcy wozą kozła i kłacz. Śpiewają i tańczą. Ludzie zaś dają im pieniądze. Do stajni wrzuca się śnieg, żeby były białe owce.

Do jednego buta wsypują żyto, a do drugiego węgle i kto, nie widząc, weźmie but z żytem, ten, mówią, będzie szczęśliwy, a który z węglem, ten będzie biedny. W wigilję Trzech Króli idzie się po święconą wodę do cerkwi. Starzy cały dzień nic nie jedzą i czekają święconej wody. Wieczorem jedzą „kutję” na sianie. Wołają też Mroza, żeby szedł jeść „kutję” i, żeby nic nie mroził.

Potem kredą piszą nad oknami i nad drzwiami krzyżyki. Rano piszą też w stodole, w stajni i koło studni. Idą do cerkwi i gdy ksiądz wyświęci wodę, to ludzie biorą ją do domu.

U nas dnia 14 stycznia była choinka. Na choince były Wasze ozdoby, które nam przysłaliście. Był też u nas Święty Mikołaj i rozdawał podarki.

U nas teraz niema śniegu i mrozu i jest ciepło. Napiszcie, jak jest u Was.

Bardzo dziękujemy Wam za gazetkę, którą nam zaprenumerowaliście. Serdecznie pozdrawiamy Waszego Pana Dyrektora, Panów Profesorów i Was, Koledzy!

Aleksy Sieczko
kl. VI.

Rożan Wielki, dnia 28. I. 1936 r.





WSZYSTKIM P.P. SUBSKRYBENTOM, którzy okazali nam zaufanie i wpłacili należność za Jednodniówkę jeszcze przed Jej ukazaniem się i w ten sposób umożliwili wydanie tej milej i drogiej dla nas pamiątki, SERDECZNIE DZIĘKUJEMY.

R E D A K C J A

N A S I S U B S K R Y B E N C I :

P. Anders Erik
 Ucz. Androsiuk Jerzy
 P. Antoniewiczówna Weronika
 „ Badzianówna Danuta
 „ Baranowska Helena
 „ Baranowski Jerzy
 Ucz. Bartnicki Tadeusz, Zygmunt
 „ Bartnicki Tadeusz, Florjan
 P. Bartoszewicz Bronisław
 Biblioteka Miejska m. Białegostoku
 Ucz. Błaszczyk Jerzy
 „ Bodak Zbigniew
 P. Bogucka Eugenja
 Ucz. Bromboszcz Jerzy
 P. Brzozowska Bronisława
 „ Budzyński Janusz
 Ucz. Chazan Lejba
 P. Chlebowicz Stefanja
 „ Chmaro Marja
 „ Chotkowski Alfons
 Ucz. Chrzanowski Tadeusz
 „ Citko Eugenjusz
 „ Cybulski Waldemar

P. Czernik Józefa
 Ucz. Drongowski Henryk
 P. Dylikowska Salomea
 Ucz. Dziedzic Jerzy
 P. Prof. Echeński Filip
 Ucz. Falkowski Mieczysław
 „ Frajfeld Maks
 P. Radca Frankowski Jan
 „ Prof. Gacińska Zofja
 „ Prof. Gaciński Jan
 Ucz. Gałazka Ryszard
 „ Gasztecki Witold
 „ Gawryluk Bronisław
 P. Gąsiorowska Anna
 Ucz. Gendler Symcha
 P. Giaro Stanisława
 Ucz. Giedrojé Romuald
 P. Gilejko Stanisław
 Ucz. Głogiewicz Tadeusz
 „ Głuszek Marjan
 P. Goławski Michał, Nacz. Wydr. Ośw. i Kult.
 „ Prof. Gosiewski Stanisław
 Ucz. Horyniecki Jerzy

Ucz. Czaplicki Stanisław
 „ Hykiel Konrad
 P. Ilczukowa Janina
 „ Jakacka Marja
 Ucz. Jakacki Adam
 „ Janiak Eugenjusz
 P. Jankowska Helena
 „ Januszkiewicz Henryk
 Ucz. Jaroszenko Eustachy
 P. Jasiński Stanisław
 „ Jukowiczowa Jadwiga
 Ucz. Kalita Włodzimierz
 P. Kamińska Helena
 Ucz. Kamiński Marjan
 „ Kańtoch Władysław
 P. Prof. Kardaszowa Małgorzata
 „ „ Karpowicz Henryk
 Ucz. Keller Alfons
 „ Kluge Leonard
 „ Koczorowski Jerzy
 „ Kolendo Edward
 Komitet Opieki Rodzicielskiej przy Państw.
 Gimn. im. Marsz. J. Piłsudskiego w Białymstoku.
 P. Kortt Marja
 „ Kot Stanisław
 Ucz. Kozicki Jerzy
 P. Kozłowski—Boleście Eugenjusz
 „ Kozłowski Ludwik
 Ucz. Kozub Edmund
 „ Kral Stanisław
 „ Krassowski Edmund
 „ Krauze Harry
 P. Krauzówna Marja
 Ucz. Krauze Jerzy
 „ Kruszewski Jan
 „ Księżniak Jerzy
 „ Kuchlewski Edward
 „ Kuczys Edmund
 „ Kulikowski Stanisław
 „ Kumpiel Piotr
 P. Inż. Kurant Jan
 Ucz. Kurjański Hirszt
 P. Dyr. Dr. Kwapiński Wacław
 „ Por. Kwiatkowski Wincenty
 Ucz. Laurecki Piotr
 „ Lenart Longin
 „ Lewicki Janusz
 „ Lewin Aron
 P. Lipska Adela
 „ Lipska Marja
 L. O. P. P. Koło Szkolne Nr. 3 przy Państw.
 Gimnazjum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
 Ucz. Luckhaus Wilhelm
 P. Łapiński Mikołaj
 Ucz. Łapiński Tadeusz
 „ Łapiński Zygmunt
 „ Łotowski Jerzy

Ucz. Łuszyński Michał
 P. Prof. Maciejewska Jadwiga
 Ucz. Maksimowicz Wacław
 „ Małanowski Tadeusz
 „ Markgraf Gerhard
 „ Mazuchowski Władysław
 P. mgr. farm. Mączewska Jadwiga
 „ Prof. Mechliński Bogdan
 Ucz. Miller Edward
 „ Mleczo Henryk
 P. Morduchowicz Chaim
 Ucz. Nejman Marjan
 „ Neuman Aleksy
 P. Nowicka Marja
 „ Prof. Oksztelówna Wanda
 „ Orłowska Janina
 Ucz. Pankiewicz Jan
 P. Parfjanowiczówna Bronisława
 Ucz. Pawłowski Jan
 P. Pazderska Stanisława
 „ Peter Zofja
 „ Pieczyńska Irena
 „ Prof. Pietraszowa Antonina
 Ucz. Piotrowski Bohdan
 P. Piotrowski Mieczysław
 Ucz. Piskorski Henryk
 P. Podgórska Stefanja
 Ucz. Podkowski Jerzy
 „ Polak Józef
 Polskie Tow. Kraj. B-stok
 Ucz. Poniatowski Józef
 „ Popiołek Edward
 „ Popławski Edward
 P. Popławski Władysław
 „ Proppé Borys
 Ucz. Prus Mieczysław
 „ Puławski Jerzy
 „ Radziszewski Mikołaj
 P. Romanowska Alfreda
 Ucz. Russin Zbigniew
 „ Ruszkowski Andrzej
 „ Rutkowski Witalis
 Samopomoc Uczniów Państw. Gimnazjum
 im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
 Ucz. Sarankiewicz Aleksander
 „ Sasinowski Michał
 P. Prof. Sawicki Marjan
 Ucz. Sawluk Włodzimierz
 „ Seeger Jan
 P. Senderacka Irena
 Ucz. Siemieńczuk Stanisław
 „ Silkiewicz Stanisław
 „ Siwkowski Wacław
 „ Skarbowski Henryk
 „ Skonieczny Leszek
 „ Skrobecki Władysław
 „ Smaczny Henryk

Ucz. Smyła Bohdan
P. Prof. Sobierajski Stefan
Ucz. Sobociński Henryk
P. Sochoń Stanisław
Ucz. Stokowski Stanisław
„ Stokowski Tadeusz
„ Szapiro Artur
P. Szczotkowski Bronisław
Ucz. Szczubefek Czesław
„ Szeremeta Aleksander
P. Sztachelska Nuna
Ucz. Sztierling Chackiel
„ Szulc Henryk
P. Szulcowa Zofja
„ Szulcówna Palagja
Ucz. Szydlik Henryk
„ Śmietana Alfons
„ Świderski Józef
„ Tabęcki Zbigniew
„ Taliński Abram
„ Terlikowski Mikołaj
„ Tomkiel Henryk
„ Ulaczyk Stanisław

P. Wagnerówna Erika
Ucz. Waluk Antoni
„ Wasilewski Stanisław
„ Weber Artur
„ Węśław Leonard
„ Wilczewski Zenon
„ Witkowski Stanisław
P. Wolterówna Anna
Ucz. Wołoszynowicz Tadeusz
P. Woroszyłówna Janina
„ Prof. Wróbel Aleksander
Ucz. Wróblewski Jan
P. Wójtowicz Stefan
Ucz. Wyporkiewicz Zbigniew
„ Wysocki Eugenjusz
„ Zachary Here
P. Zakrzewska Lucyna
Ks. Pref. Zaleski Antoni
Ucz. Zamorski Eugenjusz
„ Zelczak Henryk
„ Zimnoch Czesław
P. Życka Marja

UCZNIOWIE KL. VIII-ej

r. szk. 1935/36.

LP	NAZWISKO
1	Antoniewi
2	Chmaro
3	Czajkowski
4	Ewendt
5	Gordon
6	Januszk
7	Jukowic
8	Kluczy
9	Kortt /
10	Kropieci
11	Modrze
12	Nachim
13	Panas
14	Pużar
15	Roma
16	Sałat
17	Siedle
18	Sokoł
19	Tram
20	Weber
21	Żur

1. Antoniewicz Leopold. Białystok, ul. Ś-to-Jańska 22.
2. Chmaro Leonard. Starosielce, ul. Polowa 21. m. 1.
3. Czajkowski Ryszard. Starosielce, ul. Sienkiewicza 24.
4. Ewendt Maksymiljan. Au Theillol-Limoges. Francja.
5. Gordon Salomon. Białystok, Rynek Kościuszki 7. m. 11.
6. Januskiewicz Zygmunt. Wysokie Mazowieckie, ul. Jagiellońska 32. m. 2.
7. Jukowicz Stanisław. Białystok, ul. Słonimska 36. m. 1.
8. Kluczyński Leon. Łapy—Wygwizdowo, 81. m. 1.
9. Kortt Mikołaj. Białystok, ul. Mickiewicza 20a. m. 2.
10. Kropiewnicki Stanisław. w. Brzeziny, pow. białostocki.
11. Modrzejewski Tertuljan. Białystok, ul. Mickiewicza 2.
12. Nachimowicz Leon. Białystok, ul. Kilińskiego 14.
13. Panas Stanisław. Starosielce, ul. Choroszeckańska 7. m. 1.
14. Pużanowski Stanisław. Białystok, ul. Smolna 14. m. 1.
15. Romanowski Romuald. Białystok, ul. Antoniukowska 16.
16. Sałata Wiktor. Łapy, ul. Długa 80.
17. Siedlecki Karol. Białystok, ul. Prowjantowa 7.
18. Sokołowski Euzebjusz. Starosielce, ul. Choroszeckańska 3.
19. Trambowicz Julian. Białystok, ul. Choroszeckańska 19. m. 4.
20. Weber Waldemar. Białystok, ul. Br. Pierackiego 70.
21. Żur Witold. w. Bokiny, gm. Kowalewsczyczyna, pow. Wys. Mazowieckie, woj. B-stok, poczta Jeńki.



SPIS TREŚCI

Słowo wstępne.

ROZDZIAŁ I.

1. *Prezydent Ignacy Mościcki (Działalność naukowa).*
2. *Orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej.*
3. *Kult Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego w naszej Szkole.*
4. *Wspomnienia z pogrzebu Marszałka Józefa Piłsudskiego.*

ROZDZIAŁ II.

1. *Wywiad z Panem Dyrektorem.*
2. *Rzut oka wstecz.*

ROZDZIAŁ III.

1. *Statut Samorządu Klasowego.*
2. *Na dzień 11. listopada.*
3. *Trzeci maj.*
4. *Morze...*
5. *Przemówienie do Kolegów z okazji szesnastolecia odzyskania morza.*
6. *Morze.*
7. *Przed burzą.*
8. *Żwirko i Wigura.*
9. *Trzynasty lot.*
10. *Z gwizdem wiatru w obłoki.*
11. *Wskazania.*
12. *Wspomnienia ze zlotu w Spale.*
13. *1140 km. piechotą.*
14. *Już tego wszystkiego niema...*
15. *Burza.*
16. *Sen.*

ROZDZIAŁ IV.

1. *W setną rocznicę „Pana Tadeusza.”*
2. *W dziesięciolecie zgonu pisarza.*
3. *Powstanie styczniowe w utworach Stefana Żeromskiego.*
4. *Zofja Nałkowska.*
5. *Stanisław Wyspiański.*

ROZDZIAŁ V.

1. *Na rezurekcję.*
 2. *Hej, pieśni.*
 3. *Sen uczniaka.*
 4. *Szara, wieczorna godzina...*
 5. *Śnieg.*
 6. *Radosne skrzypce.*
-
-

ROZDZIAŁ VI.

1. *Powiew wiosny.*
2. *Wiosna.*
3. *Powrót bocianów.*
4. *Skowronek.*
5. *Przed burzą.*
6. *Rozjaśniły się...*
7. *Baśń.*
8. *Zawierucha*
9. *Przy ognisku.*
10. *W cichą, pogodną...*
11. *Las w jesieni.*
12. *Rzeka w nocy.*
13. *Kwiaty.*
14. *Wilanów.*
15. *Na skale.*
16. *Jesienny deszcz.*
17. *Słońce.*

ROZDZIAŁ VII.

1. *Teatrzyk szkolny.*
2. *Witeź.*
3. *Nie zginęła.*
4. *Korzyści z teatryku szkolnego.*

ROZDZIAŁ VIII.

1. *Nasza czytelnia.*
2. *Budujemy szkoły.*

ROZDZIAŁ IX.

1. *List do żołnierzy K. O. P'u.*
2. *Podziękowanie K. O. P., Bataljon „Sejny”.*
3. *Pokwitowanie.*
4. *Podziękowanie Grodzkiego Komitetu Pomocy Ofiarom Powodzi.*
5. *List od dzieci polskich z Brazylii.*
6. *List do dzieci na Polesiu.*
7. *Spostrzeżenia i uwagi P. M. Piotrowskiego w związku z niesieniem pomocy dzieciom Polesia.*
8. *List od ucznia z Polesia.*

ROZDZIAŁ X.

1. *Spis alfabetyczny P. P. Subskrybentów.*
 2. *Spis uczniów kl. VIII.*
-
-

BŁĘDY DOSTRZEŻONE

Str.	szpalta	wiersz	j e s t	winno być
9	lewa	21	Finsburg	Finsbury
10	prawa	8	przedstawiały	przedstawiało
10	"	10	stawiały	sprawiało
17	"	15	powinniśmy	powinniśmy
19	lewa	56	za nim!	za Nim!
23	prawa	7	właściwości	właściwości
23	"	25	starzych	starszych
24	"	29	realizmu	idealizmu
25	"	30	Książka, skłaniała	Książka skłaniała
30	lewa	11	pracujących	pracujących
43	prawa	—	Antonowicz	Antoniewicz
46	"	12	sie	Sie
56	lewa	41	„Wierna Rzeka”	„Wierna rzeka”
88	—	17	prezróżnych	przeróżnych

44056
44056

DOBRO
WYKONANIE
DOKUMENTU
"LECHJA"

BIAŁYSTOK
R. KOŚCIUSZKI
K. Nr. 75
TEL. 6-11